

JESIEŃ 2020
Cena 6 zł
ISSN 1734-0098
Indeks 361941



WIADOMOŚCI ŁOMŻYŃSKIE 63 103

WIELKI POWRÓT
STACHA KONWY
DO LASU
JEDNACZEWSKIEGO.
FOTORELACJA
W NASTĘPNYM
WYDANIU
"WIADOMOŚCI
ŁOMŻYŃSKICH"





Jerzy Michalak: utrzymujemy się na rynku i stanowimy czołówkę w branży także dzięki pomaganiu potrzebującym...

Wawrzyniec Kłosiński

Nasza siła tkwi w mądrości ludzi

Z mgr. inż. Jerzym Michalakiem, prezesem Zarządu Przedsiębiorstwa Produkcji Betonów PREFBET w Śniadowie, rozmawia Wawrzyniec Kłosiński

– **Panie prezesie, trwała pozycja na rynku od kilku dekad, to przede wszystkim spełnianie jego oczekiwań, reagowanie na to, czego rynek potrzebuje...**

– Jesteśmy jedną z niewielu firm w branży budowlanej z tak bogatą ofertą materiałów ściennych. Produkujemy beton komórkowy, który zajmuje pierwszą pozycję, nie tylko w naszym regionie, ale również w Polsce, jako element ścienny. W ostatnim czasie udało się nam zrealizować inwestycję – zakład produkcji silikatów, która jest doskonałym uzupełnieniem oferty podstawowej, czyli produkcji betonu komórkowego. Beton komórkowy dominuje w budownictwie jednorodzinny, a silikaty – w wielorodzinny. Tak więc mamy tutaj kompleksową ofertę, jeśli chodzi

o materiały na ścianę. Są jeszcze materiały uzupełniające – podstawa każdego obiektu budowlanego – beton; oferujemy zarówno beton towarowy, jak i wyroby z betonu zwykłego.

– **Ale silikaty nie są jedyną „jaskółką” nowoczesności w „Prefbecie”...**

– Żeby nie pandemia, to w tym roku powstałby już trzeci nasz zakład w Śniadowie, który będzie produkował elementy drobnowymiarowe z betonu zwykłego, i to na nowoczesnej linii. Będzie ona pochodzić z Hiszpanii, jej elementy już otrzymujemy, ale z ponad 2-miesięcznym opóźnieniem. Mam nadzieję, że do końca października, a najpóźniej listopada, zakład ruszy. Jest już prawie gotowy, czekamy tylko na to wyposażenie. Tak więc w naszej branży nie ma takiego zakładu,

który produkowałby jednocześnie beton komórkowy, silikaty i wyroby z betonu zwykłego. Jesteśmy zatem regionalnym potentatem, ale można śmiało powiedzieć, że w skali makro również. Nasz rejon działania to przede wszystkim Polska północno-wschodnia, województwo podlaskie, warmińsko-mazurskie i mazowieckie.

– **No właśnie widzę na placu załadunkowym ogromne tiry m.in. aż z Ciechanowa...**

– Bo to jest dla nas atrakcyjny kierunek, nawet bardziej, niż województwo podlaskie. Znaczna część wyrobów trafia w okolice Przasnysza, Ciechanowa, Płocka, a także do województwa warmińsko-mazurskiego: do Olsztyna, Giżycka, Augustowa, Suwałk... Elk jest też ważnym naszym odbiorcą.

– **Ta wielokierunkowość produkcji musi przekładać się na wyniki przedsiębiorstwa...**

– Wśród tych trzech rodzajów działalności zawsze któraś jest mocniejsza i dominuje. Czas pandemii wpłynął na to, że system deweloperski jest troszeczkę jakby uśpiony i czeka na lepsze czasy. Natomiast budownictwo jednorodzinne takiej zapaści nie odczuwa. Silikaty są troszkę „przystopowane” w tej chwili w produkcji, ale beton komórkowy „ciągnie” firmę. W produkcji betonu zwykłego nie notujemy żadnego spadku, poziom produkcji i sprzedaży nie jest mniejszy, niż w roku ubiegłym. Tak więc zawsze któraś z tych trzech dziedzin działalności daje firmie pewną stabilizację, poczucie bezpieczeństwa. Gdybyśmy byli monotematyczni, monokulturowi, trudniej by nam było przetrwać w ciężkich czasach...

– **Gdybyśmy zechcieli położyć na wagę to wszystko, co każdego dnia wyjeżdża za bramę firmy, o jakich wielkościach moglibyśmy mówić?**

– Najwięcej, bo około 60 proc., to beton komórkowy, 20 proc. silikaty i 20 proc. beton zwykły. Z czasem udział silikatów i betonu zwykłego będzie niewątpliwie większy.

– **Jak tylko sięgnę pamięcią, „Prefbet” był zawsze na rynku. Wiele dużych, renomowanych zakładów, jak choćby zakłady bawełniane, fabryka mebli czy wiele przedsiębiorstw z branży budowlanej nie oparło się różnym reformom gospodarczym. „Prefbet” trwa, mało tego – rozwija się i ma się coraz lepiej...**

– Zakład został wybudowany w roku 1968. Można więc powiedzieć, że wszedł w okres bardzo dojrzały. Ale w 1992 roku otrzymał jakby drugie życie. Zrobiliśmy wówczas – oczywiście za zgodą załogi i pracowników, którzy tu pracowali – w sposób pionierski przekształcenia własnościowe. Byliśmy jedną z pierwszych firm w regionie łomżyńskim i w branży, która z firmy państwowej przekształciła się w prywatną, w której udziałowcami byli zatrudnieni tu wtedy pracownicy. Ludzie po prostu zrozumieli, że żeby przetrwać, trzeba po prostu zmienić strukturę organizacyjną, sposób podejścia do pracy. Zmieniali się też ludzie, musieli być przecież odpowiedni fachowcy, żeby realizować pewne przedsięwzięcia, nawet natury technicznej. Dobór właściwej kadry pozwalał na modyfikację tego zakładu, na zmiany techniczne, dzięki którym zawsze mieliśmy na rynku pozycję mocniejszą, byliśmy zawsze w czołówce jeśli chodzi o innowacje technologiczne, wdrażanie nowych wyrobów, wprowadzanie nowych maszyn. Trzeba wiedzieć, że stara zabudowa zakładu produkującego beton komórkowy zawiera skomputeryzowane i zautomatyzowane linie produkcyjne, obecnie jesteśmy blisko trzeciej generacji, jeśli chodzi o modernizację i zmianę technologii. Rozszerzając profil firmy, również w tej podstawowej działalności dokonujemy ciągłych zmian, i to od lat. Obecnie znajdujemy się na etapie kolejnych zmian technologicznych, mających na celu przede wszystkim udoskonalenie jakości, ale też zwiększenie zdolności produkcyjnej. Chcemy ponadto

wprowadzić elementy innowacyjne – nowe nie tylko na rynku regionalnym, ale również w Polsce – chodzi o elementy wielkowymiarowe zbrojone z betonu komórkowego. Postęp w budownictwie, zmiana upodobań klientów, ale też zmiana sposobu realizacji inwestycji, kłopoty z naborem pracowników fizycznych oraz wzrastające koszty robocizny zmuszają nas do szukania takich sposobów realizacji obiektów budowlanych, żeby siły fizycznej było w tym procesie realizacyjnym jak najmniej. Przyszłość mają zmechanizowane systemy realizacji budownictwa i stąd pomysł, żeby w najbliższym czasie wdrożyć elementy wielkowymiarowe zbrojone, gdzie faktycznie praca fizyczna byłaby ograniczona do minimum. Elementy wielkowymiarowe będą powstawały tutaj, w zakładzie, natomiast sam montaż odbywałby się za pomocą sprzętu na budowie.

– **Nie wyobrażam sobie jednak tak dużej firmy bez ludzi. Ludzie to przecież dusza każdej firmy...**

– Zgoda. W ostatnich pięciu latach zatrudnienie w przedsiębiorstwie wzrosło, no bo przecież rozwinęliśmy działalność, doszedł nowy zakład produkcyjny, rozwijamy dotychczasową produkcję, zwłaszcza z betonu zwykłego. Obecnie zatrudniamy około 150 osób z całego regionu, nawet z Białegostoku i Kolna. Cała nasza siła i to, że można realizować te wszystkie cele, polega na tym, że udało się dobrać odpowiednią kadre i wartościowych ludzi. Jestem pewny, że najtrudniejsze nawet zadania, jakie stawiam, nie stanowią dla nich żadnego problemu. Na przykład zakład silikatowy – powstał w sposób autorski, dzięki wiedzy i umiejętnościom wyłącznie naszych fachowców. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają przedstawiciele firmy niemieckiej WKB, która w Europie jest potentatem w produkcji maszyn dla zakładów produkujących silikaty i beton komórkowy. Ich szef, gdy zapoznał się z naszym zakładem, był pełen uznania, że zakład jest tak kompaktowy. Wyraził nawet pogląd, że w Niemczech podobnego się nie spotyka.

– **Produkcja produkcją, ale za „Prefbetem” od lat ciągnie się marka firmy pomagającej potrzebującym. Pamiętam, że przed laty wybudowaliście w Śniadowie dom dla polskiej rodziny z Kazachstanu, sprowadziliście ich, daliście im dach nad głową, pracę... W pańskim gabinecie na półce widzę dowody wdzięczności m.in. od sportowców, których teraz także bardzo mocno wspieracie...**

– Faktycznie pomogliśmy naszym krajom – rodzinie człowieka z podłomżyńskiego Elżbiecina, który jako dziecko został wywieziony do Kazachstanu, przeżył, założył tam rodzinę i kiedy zaistniała możliwość powrotu do Polski, trzeba było pomóc. Dzisiaj są już emerytowanymi pracownikami naszego przedsiębiorstwa, zagospodarowali się, mieszkają tu do dzisiaj. W tym roku przekazaliśmy znaczne środki Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łomży na zakup samochodu. Zwłaszcza w czasie pandemii dostrzeganie problemów służby zdrowia powinno

być oczywiste, choć może nie jest to oczywiste dla wszystkich. Łatwiej zauważyć ileś tam maseczek przekazanych szpitalowi, niż właśnie samochód... A sport? To trwa już ponad 20 lat. Zaczęło się od współpracy z panem Andrzejem Korytkowskim, kiedy sam był jeszcze czynnym zawodnikiem, lekkoatletą. Gdyby nie jego cechy osobiste, upór, to pewnie byłoby trochę inaczej. Ale widząc jego zapał i zaangażowanie, trudno takim ludziom odmawiać. To samo dotyczy waszego zespołu redakcyjnego, ludzi związanych z Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, gdzie tworzy się tyle wspaniałych rzeczy... Skoro mamy pewne możliwości, to jak nie pomóc? Dużo satysfakcji daje nam to, że utrzymujemy się na rynku i stanowimy czołówkę w branży, także dzięki sponsoringowi. Cieszymy się też, że są ludzie, którzy bardzo mądrze wykorzystują te środki. Nie ukrywamy też, że np. w przypadku wspierania klubu sportowego, budujemy również markę firmy.

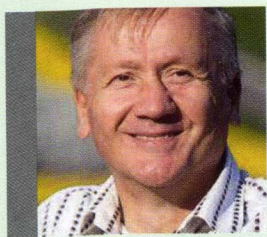
– **Czy prezes Jerzy Michalak ma czas, żeby chwycić koszyk i skoczyć do lasu na grzyby?**

– W tym roku jeszcze nie byłem, ale myślę o tym... Może w niedzielę? Moją pasją są podróże. Niestety pandemia przerwała realizację marzeń, które mam jeszcze do spełnienia. Jest przecież na świecie jeszcze tyle nie odwiedzonych miejsc, mimo że „zaliczyłem” dotychczas 75 państw. Mam w domu globus i każde miejsce zaznaczone – praktycznie na wszystkich kontynentach. Nie byłem jeszcze na południowej półkuli, na Antarktydzie. Teraz z żoną jeździmy po kraju, ostatnio byliśmy w Krynicy Morskiej. Podejmujemy znajomych, odwiedzając z nimi urocze zakątki województwa podlaskiego. Zawsze zaczynamy od Łomży. Najczęściej bywamy w Supraślu, w Tykocinie, teraz planujemy wypad do Narewki, na skraj puszczy białowieskiej.

– **Jest Pan łomżyńniakiem?**

– Pochodzę z okolic Warszawy. Pracuję w „Prefbecie” od 1977 roku. Z rodziną mieliśmy zamieszkać tu tylko przez cztery lata. Z tych czterech lat zrobiło się praktycznie całe życie. Małżonka zaczęła w urzędzie gminy, potem była sekretarzem gminy przez długi czas. Po kilku latach pracy w „Prefbecie”, w latach 80. skorzystałem z nadarzającej się przypadkiem okazji i wyjechałem na dwuletni kontrakt do Iraku. Zarobiłem na dom, samochód, potem wejście kapitałowe do tej firmy – już była pewna baza. No a potem to już nawet nie wiadomo, kiedy człowiek zżył się z tym regionem, z ludźmi. Teraz, gdy muszę czasem jechać do Warszawy, to aż mnie ciarki przechodzą, że tam można mieszkać... Niewątpliwie katalizatorem moich działań zawodowych jest udane życie rodzinne. Mam wspaniałą żonę Irenę, dumny jestem z moich synów Pawła i Piotra. Paweł związany jest z Białymstokiem, pracuje jako lekarz w szpitalu klinicznym, a młodszy syn Piotr – mam nadzieję – zwiąże się z Łomżą. W tym roku rozpoczął pracę w „Prefbecie”.

– **Bardzo dziękuję za rozmowę.**



MIROSŁAW R. DEREWOŃKO

W bezbrzeżnym lustrze czasu...

Nagrody czekają! Pisz! Na twoje wspomnienia oczekujemy jeszcze do końca października!

– W dzieciństwie i młodości świat wydawał mi się najpiękniejszy: czystszy, prostszy i pełen nadziei, dlatego moje zielone lata opisałam prozą poetycką i wysłałam na konkurs Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej i Prezydenta Łomży – wspomina malarka i nauczycielka Teresa Adamowska z Łomży, laureatka w 2015 r. ogólnopolskiego konkursu na wspomnienia pod hasłem „W mieście, co było mi rajem”. – Nie miałam śmiałości literackiej, raz mi się przytrafiło, więc zachowałam pokorę. Pomyślałam, że może otworzę wspomnienia innym ludziom, seniorom i dorosłym, i... nastolatkom.

Zapiszesz – ocalisz

Po latach dzieciństwa i młodości przyjemnie przyjrzeć się sobie w bezbrzeżnym lustrze czasu, grzać się w blasku minionych chwilodni, powracać do ludzi bliskich, ważnych, niezapomnianych. Wiem z własnego doświadczenia, jak ciężko jest rozstawać się z rodzicami na zawsze

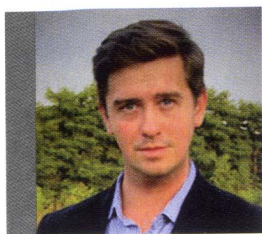
i chować przyjaciół w ciszy starego cmentarza. Ale wiem także, jak miło spotykać dawnych kolegów i nauczycieli, żeby z nimi w rozmowach radośniej i refleksyjniej raz jeszcze odwrócić karty wspomnień, które jak ptaki ulatują w nieznane. Jednak potrzeba spokoju do pisania. Ostanie się dopiero zastanowienie i namysł nad własną przeszłością, dorastaniem, miłościami, losami bliższej i dalszej rodziny, dziejami dzieci, widokiem miasta przed oczami, na zdjęciach i w sercu... Zapisanie pozwala ocalić od zapomnienia. Przypuszczam, że tym mogli kierować się laureaci poprzednich edycji, ludzie rozmaitych pokoleń, kręgów, środowisk: rozmodlony zakonnik ojciec Jan Bońkowski, miłośnik i hodowca gołębi Janusz Dąbrowski w „zakazanych zabawach”, Iwona Krzepakowska – Bułat na „ostatnich, przedwojennych wakacjach”. Amatorzy z konkursu TPZŁ wspominali dzielnice, ulice, szkoły, domy, podwórka, ale zwłaszcza ciekawych ludzi, którzy współtworzyli czarowny krajobraz dzieciństwa. Zwycięzcy

4. edycji sentymentalnej zabawy literackiej Gabriela Szczęsna, dawna reporterka „Kontaktów” opisała mieszkańców, wygląd i atmosferę ul. gen. Sikorskiego, zaś Teresa Adamowska – Wojska Polskiego.

Tekst krótki: do pięciu stron formatu A4

Organizatorzy zapraszają do snucia wspomnień wszystkich łomżyńiaków: pochodzących z Łomży i z Ziemi Łomżyńskiej; wyjeżdżających ze stron rodzinnych w świat; tych, co z wielkiego świata w rodzinne strony powracają; tych, co z Łomżą związali się na jakiś czas, ale o niej nie zapomnieli....

Forma prac jest dowolna, acz organizatorzy liczą na wzbogacenie relacji zdjęciami, lecz wierzysz nie chcą w ogóle. Można opisać, co się zechce, historie duże i małe: wydarzenia historyczne i rodzinne, środowiskowe i koleżeńskie, o spotkaniach na gorąco i po czasie z ludźmi znanymi, ale i ważnymi dla autorów. Tekst może mieć długość



MICHAŁ WOJCZYŃSKI

Wrocławska cukiernia „Łomżanka” ma już 85 lat!

Dni radości i dni, kiedy goręca musiała mieć smak słodczy...

I. POCZĄTKI, CZYLI BYŁ TAKI CZAS NAD NARWIĄ...

Mroźna zima roku 1926. Osiemnastoletni Leon wybiera się w odwiedziny do swojego kolegi Henryka. Puka do drzwi i otwiera mu młoda dziewczyna, jak się okazuje – siostra Henryka. „Heniu wyszedł, ale niebawem wróci” – oznajmia Leonowi. – To pan wchodzi, czy wychodzi?

Bo mróz okropny a drzwi otwarte!”. Po chwili namysłu Leon decyduje się wejść. Wtedy jeszcze nie przypuszczał, że Michalina zostanie jego żoną...

Tak poznali się nasi dziadkowie, oczywiście w Łomży, bo to w tym właśnie, położonym na północy Mazowsza mieście, zaczęła się historia „Łomżanki”...

Dziadek Leon Chalamoński (ur. 1908 r.) zawodu cukiernika uczył się w łomżyńskiej piekarni

państwa Krajewskich przy pl. Kościuszki, tam też uzyskał tytuł czeladnika. Naukę cukiernictwa kontynuował w Warszawie. Babcia Michalina Piotrowska (ur. 1911 r.) ukończyła z kolei warszawską szkołę kroju i szycia.

Po powrocie do Łomży dziadkowie pobraли się. Uroczystość ślubna odbyła się 24 czerwca 1933 r. w łomżyńskiej katedrze św. Michała Archanioła, w bocznej kaplicy, przed szczególnie



do 5 stron A4 (ok. 4500 znaków na stronie, czcionka: Times New Roman, nr 12). Jury oceni prace i nagrodzi najciekawsze, także publikacją. Niepublikowane teksty można wysłać do 31. października na adres mailowy: zgtpzl@lomzyniacy.org albo pocztą: Zarząd Główny TPZŁ, ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża, dopisek „Konkurs na wspomnienia”.

Gdy Tereska była dzieckiem

„Ulica, o której piszę, nie jest zwyczajną ulicą, pełną anonimowych domów i ludzi, przechodniów, pojazdów, przelotnych ptaków i uczuć” – wspomina w nagrodzonej 5 lat temu pracy „Ulica” Teresa Adamowska. „Wracam tu w snach, zachodzę do Iwony, czy Urszuli, głaszczemy bure koty, potem biegniemy do sadu po gruszki cytrynowki. Leżymy na trawie, uciekamy przed Dorotką. Przestajemy, kiedy ta zaczyna płakać. Poimy misia Iwony wodą lub karmimy zupą. Miś aż się o to prosi, bo ma otwartą paszczę. Wydłubałyśmy w gardelku dziurkę i trociny tak pięknie chłoną wszystkie pokarmy ciekłe. Miś jest coraz cięższy i nieprzyjemnie pachnie, ale wciąż chłonie i chłonie i jest wiecznie głodny.

Idę do katedry na majowe i po dowód, że byłam – papierowe serduszek, które muszę wkleić do zeszytu od religii. Na koniec ma ich być trzydzieści jeden. Ważne, aby nie opuścić żadnego nabożeństwa. Wracam szarówką i jak spod ziemi wyrasta Wojtek. Wypytuje o Basię z mojej klasy. Może o niej słuchać w nieskończoność. Wojtek ma własne laboratorium chemiczne. Próbowki, kolby, cylindry, specyficzny zapach chemikaliów. Na naszych oczach robi efektowne doświadczenia. Coś bulgocze i wydziela piekący dym, coś płonie fioletowym ogniem. Wojtek, to dopiero gość! Słucha Beatlesów, ma płyty, rysuje fajne kreskówki, pisze wiecznym piórem z zielonym atramentem, zna dużo angielskich słów. A Basia nie jest z naszej ulicy i nic z tego nie rozumie. I nie jest jego warta. Głupia!”

MIROSLAW R. DEREWOŃKO

📷 Marek Maliszewski

w Łomży czczonym obrazem Matki Bożej Pięknęj Miłości

W tym czasie dziadek urządził w domu mały warsztat, w którym produkował ciastka i herbatniki, sprzedając je następnie na okolicznych targowiskach. Własną cukiernię dziadkowie otworzyli we wrześniu roku 1935. Znajdowała się przy ul. Dwornej, naprzeciw klasztoru benedyktynek. Nowo otwarty interes odniósł sukces. Był to czas, kiedy dziadkom powodziło się bardzo dobrze. Na tyle nawet, że mogli sobie pozwolić m.in. na własną bryczkę i osobistego stangreta! Na świecie pojawiły się ich pierwsze dzieci: Edward i Alicja. Jednym słowem, wszystko było jak należy.

Niestety, spokojne łomżyńskie życie nie trwało długo. We wrześniu roku 1939 wybuchła wojna. Wcześniej, bo już w czerwcu, dziadek został powołany do 9 pułku artylerii ciężkiej, jako zwiadowca. Uczestniczył w walkach w Borach Tucholskich. Powrócił do domu 23 września i kontynuował prowadzenie zakładu w nowej, wojennej rzeczywistości. Dziadek poszerzył wówczas swoją działalność o wypiek chleba.

W sierpniu 1941 r. Niemcy utworzyli w Łomży getto, którego mury dosłownie graniczyły z zapleczem cukierni i piekarni dziadków. Wiezorami babcia przetrzucała przez mur chleb głodującym tam ludziom. Ktoś doniósł o tym niemieckim władzom. Dziadkowi cudem udało się wybronić babcię przed bardzo poważnymi konsekwencjami... Getto zostało zlikwidowane w 1942 roku... W podłomżyńskich lasach śmierć z rąk Niemców poniosło wiele znajomych dziadkom osób.

Kolejne lata wojny to dalsze życie w rzeczywistości okupowanej Łomży. Jednak najokrutniejszy ze wszystkich rok 1944 miał dopiero nadejść...

II. 1944 – ROK, O KTÓRYM LEPIEJ BYŁOBY ZAPOMNIEĆ...

Babcia Michalina, która po wielu latach wspominała ten czas, zawsze zwracała się do naszej mamy: „Ty Dorota napisz kiedyś książkę o tym moim życiu...”. Aż trudno uwierzyć, że po tylu przejściach babcia pozostała osobą pogodną, kochającą życie, zwłaszcza młodzież... Książki co prawda nie ma, ale jest za to ta skromna opowieść wysnuta na podstawie zdjęć, dokumentów

i przede wszystkim wspomnień babci, przekazanych naszej mamie.

Dziadkowie w ciągu kilku tygodni stracili wszystko, co było dla nich cenne: dom, cukiernię, dwójkę z trojga dzieci oraz wolność...

Ale zacznijmy od początku.

Jest rok 1944, trwa wojna. W Warszawie od sierpnia toczą się zacięte powstańcze walki. Tymczasem 13 września do Łomży wkraczają sowieci. Armia Czerwona ma pełnić zatem rolę „wyzwolicielem”. Zostaje wydany nakaz opuszczenia miasta przez ludność cywilną. Zaczynają się walki z Niemcami i bombardowanie Łomży.

Dziadkowie uciekli z miasta z trójką dzieci, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Jak się później okazało, zarówno dom, jak i zakład, zostały strawione przez ogień. Pozostał jeden tylko przedmiot z ich łomżyńskiego domu, który znajduje się w naszym, wrocławskim domu do dzisiaj.

Leon i Michalina zatrzymali się u znajomych w podłomżyńskich Konarzycach. Nie na długo, bo i stamtąd byli zmuszeni uciekać. Jednak w trakcie tego krótkiego pobytu dochodzi do tragedii. Ich 10-letni syn Edek, bawiąc się na pobliskim



Leon Chalamoński



Michalina Piotrowska



polu, natrafił na kulkę z karabinu, która wybuchła i rozerwała mu kolano. Chłopiec trafił do szpitala polowego, jednak nie przeżył...

Trudów wygnania nie przeżyło także najmłodsze dziecko Leona i Michaliny, 2-letnia córeczka Jadzia – zmarła na zapalenie płuc w dwa tygodnie po śmierci Edka (oboje zostali pochowani na cmentarzu w Śniadowie, w mogile bez nagrobka, nie wiadomo w którym dokładnie miejscu; zawsze jadąc do Łomży zatrzymujemy się tam, żeby zapalić świeczkę na jakimś bezimiennym grobie).

W kolejnych dniach, nie mogąc wrócić do ogarniętej działaniami wojennymi Łomży i wciąż szukając schronienia, dziadkowie z jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem, córeczką Alą i kolejnym dzieckiem, które miało przyjść na świat, znaleźli się w Zambrowie położonym ok. 25 km od Łomży. Tam miało miejsce niewiarygodne zdarzenie. Późnym, październikowym, zimnym wieczorem trafili do domu, w którym kąt znalazło już kilka rodzin z historią podobną do ich; tak przecież było, że okoliczni mieszkańcy przyjmowali do

swoich domów wysiedloną ludność. Jednak jakaś kobieta, być może gospodyni, bardzo się zdenerwowała i wykrzykiwała, że w domu już nie ma miejsca, że jest za ciasno! Dziadek nakazał babci ją zignorować, jednak babcia zdecydowała, że jeśli ich tam nie chcą, to tam nie zostaną. Oddalili się od domu dosłownie o kilkaset metrów ... a w ów dom trafiła bomba! Wszyscy tam obecni zginęli...

Pod koniec października dziadkowie wrócili do Łomży. Michalina wciąż oczekiwała na urodzenie dziecka. Nie było domu, nie było zakładu...



„Mam
wymarzone
życie...”

Heeeeee dziewczyny!!!! Zła wiadomość! 25-letni Adam Kalinowski – znakomity muzyk, łomżyński, stracił... wolność! Na facebooku skomentował to tak: „CO TO SIĘ STANĘŁO!? Generalnie śmiem twierdzić, że Ślub z Kobietą mego życia to najpiękniejszy dzień w moim życiu, a nawet dwa dni! ♥ I mógłbym się dużo na ten temat rozpisywać, dywagować, ale ograniczę się do podziękowania każdej osobie, która brała udział w tym przedsięwzięciu – tak klawej imprezie. Po raz kolejny w życiu zdałem sobie sprawę, że jestem urodzony w czepek, a otaczając się takimi ludźmi, jak na naszym weselu, mam wymarzone życie... Póki co się nie dajemy i taki jest dalszy plan”.



W zasadzie nie było miasta. Łomża została zniszczona w ok. 80 procentach. Zatrzymali się u stryja babci, Jana Piotrowskiego, w drewnianym domku przy ul. Sikorskiego. Domek ten stoi zresztą do dzisiaj. Pojawił się kolejny problem. Mała Ala zachorowała na zapalenie opon mózgowych. Potrzebna była penicylina. Babcia Michalina za ostatnie złote kosztowności sprowadza aptekarkę, która podaje dziecku... ostatnią dawkę penicyliny, jaką dysponowała. Dziewczynka wyzdrowiała. I już wtedy, jako małe dziecko postanawia, że gdy

Miło nam donieść, że wybranką Adama jest Kinga Nowicka. Pochodzi z Parczewa i tam właśnie Państwo Kalinowscy 22 sierpnia przysięgali sobie „dozgonną miłość i wierność małżeńską”... Poznali się na studiach już ponad 6 lat temu. Jak zapewnia Adam: – Kinga jest moją ulubioną osobą na tym świecie i miłością mojego życia – chyba tak by było najprościej powiedzieć, nie pisząc biografii. Zainteresowanym mogę polecić jej konto na Instagramie: mrs_lipsfreak.

Kingo i Adamie, przyjmijcie od redakcji WIADOMOŚCI ŁOMŻYŃSKICH i Czytelników najszczerze gratulacje. Niech Wam życie ściele się u stóp płatkami róż, a Wasze serca niech zawsze biją jednym rytmem ciągle niegasnącej Miłości! I niech kwitnie Wasz majątek – ślicznych róż Kalinowiatek!

urośnie, to zostanie farmaceutką. Tak też się później stało. Aptekę Nadodrzańską we Wrocławiu na pl. Krómera przy Moście Warszawskim prowadziła właśnie nasza ciocia Ala.

Ale wróćmy do Łomży. Władzę w mieście sprawował już wtedy nowy wróg – sowioci. I tu pojawia się kolejny cios od losu... W grudniu 1944 r. dziadek Leon został aresztowany przez NKWD. Osadzony został w więzieniu w Białymstoku. Babcia ostatni raz widziała się tam z dziadkiem w Wigilię Bożego Narodzenia. Ostatni, bo gdy przybyła tam kolejny raz, już go nie było. Został wywieziony. Dokąd? Tego już babcia Michalina nie wiedziała. My, dzielący się z wami tą opowieścią, wiemy. Otóż dziadek Leon został wywieziony w głąb ZSRR, do jenieckiego obozu filtracyjnego nr 283 w Stalinogorsku w obwodzie tulskim (dziś Nowomoskovsk).

Wróćmy jednak do babci.

Kobieta w zaawansowanej ciąży, z 9-letnim dzieckiem, bez męża, który zaginął bez śladu, postanowiła opuścić Łomżę i ruszyć na południe, w rodzinne strony, do brata. Wypożycza od kogoś konia i wóz i udaje się do Mrozowej Woli, wsi położonej w pobliżu Sadownego, ok. 70 km od Łomży. Brnie przez płonące lasy nadbużańskiej Puszczy Białej; jak opowiadała, musiała zakryć koniowi oczy, żeby ten szedł w miarę spokojnie. W końcu dociera do brata Piotra. Był styczeń już roku 1945. Tam, w gospodarstwie brata, Michalina urodziła córeczkę Annę. Kolejne tygodnie spędziła w Mrozowej Woli.

Gdy zima się skończyła, babcia zdecydowała się wrócić do Łomży, znów na ul. Sikorskiego. O Leonie wciąż nie miała żadnych wieści. Już traciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają. Mijały kolejne miesiące, wojna już się skończyła... W końcu, pewnego wrześniowego dnia 1945 r., do babci Michaliny dociera niewiarygodna nowina: w szpitalu w Warszawie leży umierający człowiek o nazwisku Chalamoński...

III. ZIEMIE ODZYSKANE, CZYLI JAK ZACZAĆ WSZYSTKO OD NOWA

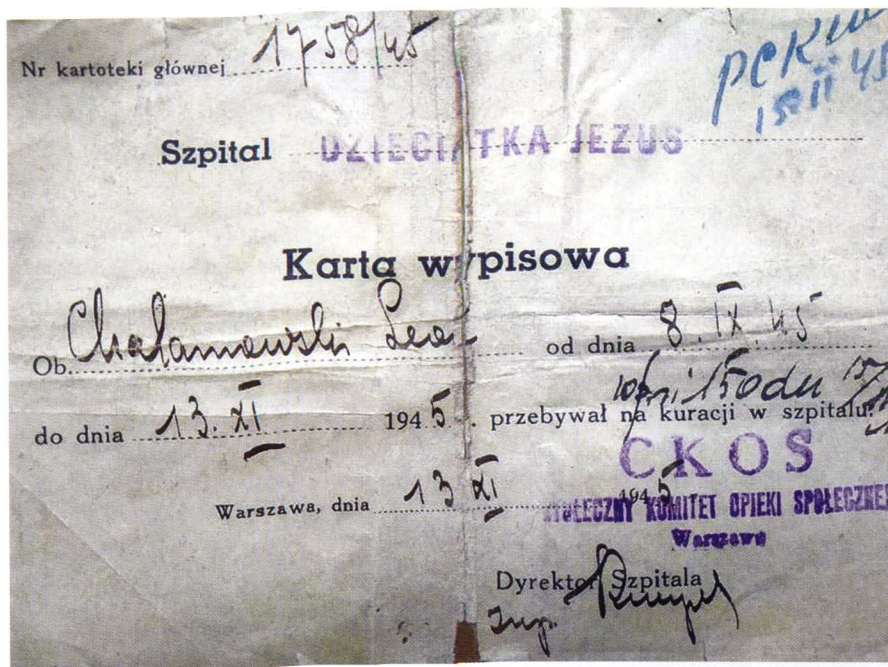
W jaki sposób dziadkowi Leonowi udało się uciec z sowieckiego obozu i jak zdołał wrócić do ojczyzny, pokonując – głównie pieszo – odległość 1500 km, tego nie wiadomo...

Mogło to zapewne przypominać sceny z filmu H. Martina „Jeniec. Tak daleko jak nogi poniosą”, choć oczywiście obóz, z którego uciekł Leon, nie leżał na Syberii. Wyczyn dziadka świadczył na pewno o jego inteligencji, odwadze oraz wielkiej miłości do babci Michaliny... Nie bez powodu też dziadek w późniejszych latach zwykł nucić nostalgiczną pieśń „Bradiaga” („Włóczęga”)...

Ale wróćmy do naszej historii, czyli tym razem do doszczętnie zniszczonej Warszawy roku 1945.

Babcia Michalina, gdy tylko dotarła do niej wiadomość, że w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus leży dziadek Leon, natychmiast tam wyruszyła, zabierając ze sobą dzieci. Widok dziadka był dla niej dużym wstrząsem. Leżał nieprzytomny, wychudzony, dosłownie wrak człowieka. Okazało

295.	✓ ЗАРЕМБА Марьян Янович	19 19	поляк
296.	✓ ЗАЩЕПКИН Эварт Андреевич	19 20	—
297.	✓ ДМОХОВИКИ Талеуш Петрович	19 16	—
298.	✓ ЗАРЕМБА Станислав Янович	19 07	—
299.	✓ САНЕВСКИЙ Эмиль Васильевич	19 14	—
300.	✓ ЮВАЛЬСКИЙ Павел Александрович	19 07	—
301.	✓ МАЛЮНСКИЙ Леон Генрихович	19 06	—
302.	✓ МАЛЮНСКИЙ Леон Генрихович	19 06	—
303.	✓ МАЛЮНСКИЙ Леон Генрихович	19 06	—
304.	✓ ГОЛАШЕВСКИЙ Станислав Васильевич	19 09	—
305.	✓ МАТЕУШЧИК Станислав Васильевич	19 09	—
306.	✓ МАТЕУШЧИК Станислав Васильевич	19 09	—



się, że w czasie wędrówki otrul się strychniną, silnie toksyczną substancją... Prawdopodobnie, aby przeżyć, jadł cokolwiek.

W szpitalu spędził dwa miesiące i na całe szczęście jakoś doszedł do siebie, chociaż z perspektywy kolejnych lat, dawnego zdrowia już nigdy nie odzyskał. Babcia odwiedzała go, przyjeżdżając z Łomży, w której wciąż korzystała z gościnności stryjka Jana Piotrowskiego.

Po wyjściu Leona ze szpitala i powrocie do Łomży, dla dziadków nadszedł czas trudnych decyzji. Co dalej? Łomża – ich ukochane miasto – leżała w gruzach. Ale Łomża stała się też dla nich miejscem najbardziej bolesnych wspomnień... W zwałach gruzu został pogrzebany ich dawny świat... W odrodzonej na nowo Polsce coraz

częściej słyszało się o wyjazdach na Ziemię Odzyskane. Agitowano wręcz, aby zasiedlać tzw. zachód. Dziadek zainteresował się ową możliwością wyjazdu. tłumaczył babci, że najlepiej będzie odciąć się od okrutnych wspomnień i zacząć wszystko gdzie indziej – od nowa...

Najpierw Leon postanowił wyjechać sam, żeby się zorientować, jaka naprawdę jest rzeczywistość daleko, po drugiej stronie Wisły. Ktoś polecił mu Jelenią Górę. To miasto jest wskazane w zaświadczeniu określającym cel podróży dziadka i tam właśnie udał się Leon w grudniu 1945 r. Stolica Karkonoszy zrobiła na dziadku całkiem dobre wrażenie, jednak postanowił wrócić do Wrocławia, który mijał wcześniej jadąc pociągiem. Pomyślał sobie, że to jednak większe

miasto, w dodatku z uniwersytetem, więc zawsze to większe szanse na zdobycie wykształcenia przez dzieci...

We Wrocławiu, który również niewyobrażalnie uciepiał w czasie wojny, Leon, szukając zatrudnienia i mieszkania, trafił na ulicę Urszulanek, czyli na dzisiejszą... Uniwersytecką na Starym Mieście. Tutaj na parterze prowadził cukiernię i mieszkał dwa piętra wyżej jakiś Niemiec, którego rodzina wcześniej została przesiedlona na drugą stronę Nysy Łużyckiej, a który sam pozostał we Wrocławiu. Pamiętamy, że mowa o czasach, w których nikt nie wiedział, jak naprawdę potoczą się losy tamtych ziem. Ów Niemiec zatrudnił Leona w cukierni. Był zachwycony uzdolnieniami cukierniczymi dziadka. Leon najpierw pracował

foto KONKURS!

Założenie 2020

Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, w porozumieniu z Prezydentem Łomży zapraszają do udziału w konkursie fotograficznym ZAŁOŻENIE. Zależy nam na uwrażliwieniu uczestników i odbiorców na walory naszego miasta. Jest to także pretekst do „założenia się” – zakochania się w Łomży.

Konkurs ma charakter otwarty i skierowany jest do fotografików zawodowych oraz amatorów. Organizowany jest w dwóch kategoriach:

- „Łomża dziś” – autorskie fotografie prezentujące krajobraz Łomży i najbliższych okolic, architekturę, wydarzenia będące odzwierciedleniem indywidualnego, kreatywnego spojrzenia na Łomżę;
- „Łomża dawniej” – stara fotografia (sprzed roku 1980). W kategorii tej uczestnicy nie koniecznie muszą być autorami zdjęć, lecz muszą posiadać dostęp i prawo dysponowania oryginalną fotografią, negatywem lub slajdem.

Uczestnik, przystępując do konkursu, zobowiązany jest do wypełnienia karty zgłoszenia.

Przystąpienie do konkursu oznacza udzielenie organizatorom zgody na prezentację fotografii na stronie internetowej www.lomzyniaczy.org, podczas pokonkursowej prezentacji, a także w wydawnictwach Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Udział w konkursie oznacza nieodpłatne przekazanie Organizatorowi autorskich praw majątkowych ograniczonych do wyżej wymienionego zakresu oraz



dosłownie za kromkę chleba i kąt do spania, czyli miejsce w pokoju, wynajętym w mieszkaniu Niemca.

Dziadek pisał wówczas do babci Michaliny, że się zatrudnił, że we Wrocławiu są jeszcze wolne poniemieckie domy i mieszkania do zajęcia. Michalina długo zwlekała, ponieważ miała wiele obaw. Nie wierzyła, że Wrocław będzie polskim miastem, że Niemcy naprawdę już tu nie wrócą. Jak sama zawsze opowiadała, przyśniła się jej postać Jezusa z ocalonego obrazu, który przemówił do niej słowami: „Nic się nie bój, tylko zrób jak ci każę”. Wtedy pozbyła się wszelkich wątpliwości i postanowiła opuścić Łomżę...

Po przyjeździe do Wrocławia babcia Michalina była przerażona miastem. Wszędzie dookoła

były ruiny. Kamienica na Uniwersyteckiej była jedną z niewielu zachowanych w dobrym stanie, w odróżnieniu od innych, których szkielety straszły na uliczkach Starego Miasta...

W 1946 r. Niemiec zatrudniający dziadka Leona ostatecznie zdecydował się również wyjechać z Wrocławia, powierzając dziadkowi zarówno mieszkanie, jak i zakład. Co ciekawe budynki, w których pomieszczenia zajmował dziadek, stały się wówczas własnością Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

Poza mieszkaniem, które zostało przyznane Chalamońskim w 1947 r., dziadek otrzymał również możliwość korzystania z pracowni cukierniczej, znajdującej się na parterze w oficynie budynku. Umowa najmu pracowni cukierniczej została zawarta między dziadkiem a samym rektorem Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, Jego Magnificencją prof. dr Stanisławem Kulczyńskim ze Lwowa, który jako pierwszy piastował to stanowisko w powojennym

Wrocławiu. Profesor Kulczyński był bardzo przychylny dziadkom, poznał ich historię, a jako anegdotę można wskazać, że podczas jednej z rozmów z Leonem zapytał go, dlaczego ten nie ukończył wyższej uczelni, bo, jak zauważył, Leon był człowiekiem bardzo czytającym...

Brak własnego punktu sprzedaży w pierwszych miesiącach nie okazał się dla dziadków dużą przeszkodą. Podobnie jak miało to miejsce na początku w Łomży, wypieki Leona, produkowane w wytwórni przy ul. Urszulanek, babcia sprzedawała na miejskim targowisku, dokładnie na Placu Grunwaldzkim. Sam dziadek natomiast, myśląc przedsiębiorczo, zdecydował się na zakup samochodu. W tamtym czasie samochody na ulicach to rzadki widok. Był to Opel P4. To nim właśnie dziadek rozwodził produkowane przez siebie ciastka do najsłynniejszych wówczas kawiarni i restauracji we Wrocławiu. Na ich liście można było znaleźć między innymi „Bagatelę” i „Teatralną” przy ul. Świdnickiej. Swoje wyroby zawoził także do przyzakładowych bufetów dużych zakładów pracy, takich jak Archimedes czy Pafawag...

Tak właśnie wyglądały pierwsze lata dziadków we Wrocławiu. Próba rozpoczęcia nowego życia dzięki ich pracowitości i zaradności okazała się udana, biorąc pod uwagę ówczesne realia. Niestety, nie miało to trwać długo. Choć od zakończenia wojny minęło już kilka lat, na dziadków czyhał nowy, całkiem inny wróg...

IV. LATA 50., CZYLI JAK BYĆ RZEMIEŚNIKIEM W CZASACH STALINIZMU

Dziadek Leon był cukiernikiem nie tylko z zawodu. Był on cukiernikiem z zamiłowania i do swojej pracy podchodził z ogromną pasją. Wspominał wypieki drożdżowe, deserowe, lody własnej produkcji... Dziadek był także karmelarzem – zajmował się produkcją cukierków. Jednym słowem

działań reklamowych i marketingowych z nim związanych.

Na prace organizatorzy oczekują do 15 listopada 2020 r. w siedzibie TPZŁ, ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża (w płaskich, usztywnionych opakowaniach, oznaczonych dopiskiem „Założenie 2020”) w formie plików cyfrowych w formacie JPG (krótszy bok nie mniejszy niż 2400 pikseli). Prace należy umieścić na nośniku CD lub DVD (opisanym nazwiskiem i imieniem uczestnika) oraz wglądówek w formie odbitek fotograficznych w formacie nie mniejszym niż 13x18 cm. W kategorii „Łomża dawniej” dopuszcza się możliwość przekazania oryginalnych fotografii, które po zeskanowaniu zostaną zwrócone uczestnikowi. Każdy uczestnik może zgłosić po 10 zdjęć w kat. „Łomża dziś” i nieograniczoną ilość starych fotografii w kat. „Łomża dawniej”. Na autorów najlepszych fotografii oczekują nagrody (nagroda główna 1500 zł w kat. „Łomża dziś” plus wyróżnienia oraz w kat. „Łomża dawniej” wyróżnienia po 200 zł).





był prawdziwym rzemieślnikiem. Ale też artystą. Mama zawsze mówi: „Jego wyroby najpierw jadło się oczami”. Wspomina chociażby żabki z pianki, polewane zielonym lukrem, z oczami z marmolady i różowymi, kremowymi języczkami, każda w papilotach... Majstersztyk!

Dziadek Leon był także bardzo wymagającym szefem. Po złożeniu egzaminu mistrzowskiego w 1950 r. zatrudniał i uczył zawodu całe rzesze młodzieży. Niektórzy z nich otworzyli w późniejszych latach we Wrocławiu własne cukiernie. Nawet obecnie zresztą, w tłusty czwartek można spotkać u nas ucznia dziadka, dziś 80-letniego pana Edwarda (fot. powyżej).

Wielka szkoda, że dziadkowi Leonowi, prawdziwemu mistrzowi w swoim fachu, przyszło prowadzić cukiernię w tak bezwzględnych dla rzemiosła czasach... Cofnijmy się zatem do lat pięćdziesiątych...

Pierwszy lokal we Wrocławiu, w którym można było kupić wyroby z cukierni dziadków, mieścił się przy ul. Stalina 42-44, czyli dziś Jedności Narodowej, w pobliżu dzisiejszej ul. Drobnera. Dziadkowie sprzedawali tam swoje wyroby, produkowane w wytwórni przy ul. Uniwersyteckiej dość krótko, bo w latach 1950-1953. Dlaczego tak krótko? No właśnie...

Lata pięćdziesiąte, czyli w znacznej mierze ciężkie lata stalinowskie, to czas, kiedy trzeba było walczyć o to, aby być rzemieślnikiem. Likwidowano prywatne zakłady, dobijano je tzw. domiarami. Domiary – były to bardzo wysokie kary pieniężne, nakładane tak naprawdę nie wiadomo

za co. W zasadzie za samo bycie rzemieślnikiem. Dla PRL-owskich urzędów każdy powód był dobry. Schemat działania był prosty: jeśli zrezygnujesz z działalności, to cofniemy ci domiar. W przeciwnym razie będziesz go spłacał przez długie, długie lata. W ten sposób kończyło działalność wiele prywatnych sklepików i małych zakładów rzemieślniczych. Takiej historii doświadczył nasz drugi dziadek – Eryk Wojczyński, który wołał z bratem zrezygnować z prowadzenia sklepu w zamian za umorzenie domiaru.

Dziadkowie Chałamońscy, nękani przez ciągłe kontrole i zasypywani domiarami, nie chcieli się ugiąć przed PRL-owskimi ciemiężycielami. Robili swoje kosztem rosnących długów. Ówczesne władze na zabezpieczenie tych długów dokonywały zajęcia ruchomości, czyli w przypadku dziadków ich mebli! Co ciekawe, zajmowane przez władzę w latach pięćdziesiątych piękny stół, kredens czy bufet nadal nam służą...

Niestety, oprócz ciągłego karania, PRL-owskie władze sięgały także po bezwzględne środki, oczywiście absurdalnie uzasadniane. W ten sposób dziadkowie utracili w 1953 r. przydział na lokal przy ul. Stalina. Własność spółdzielcza była bardziej aprobowana niż własność prywatna. Lokal stał się siedzibą Okręgowego Przedsiębiorstwa Detalu i Barów Mlecznych Dziadkom znów pozostała tylko wytwórnia na ulicy Uniwersyteckiej (a w tamtych latach – ulicy Uniwersytetów Szwedzkich – ciekawostka).

MICHAŁ WOJCZYŃSKI

Dokończenie w następnym wydaniu WŁ

Pandemia sprzyja pracy domowej, wciąż odkrywam zapomniane maszyny i napisy. Wśród nich czekał cierpliwie na swoją kolejkę tekst Bohdana Ławińskiego ze wskazaniem na podłomżyńskie wioski Elżbiecin i Kisielnica. Trochę wstyd się przyznać, tyle razy przejeżdżałem przez Elżbiecin, a tak niewiele o nim wiem. Ślad zaprowadził do Instytutu Pileckiego, Archiwum Wschodniego i Fundacji KARTA.

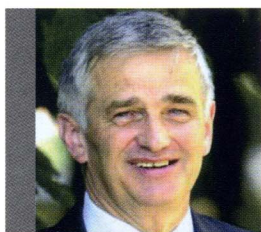
Majątek i osada

Marcin K. Schirmer w tomie wydanym w 2007 r. o dworach i majątkach ziemskich w okolicy Łomży nie podał daty założenia Elżbiecina. Były to ziemie skarbowe (królewskie) i może któryś ze starostów łomżyńskich wydzielił taki mały folwark. Prawdopodobnie nigdy nie zyskał on samodzielności i był powiązany z Piątnicą, a po rozbiorach Polski z dobrami rządowymi Mały Płock. W 1835 r. dobra przekształcono w majorat i przekazano carskiemu notablowi, tajemnemu radcy Żukowskiemu. Natomiast w 1865 r. Piątnicę i Elżbiecin potwierdzono jako własność gen. Michała Stefanowicza Żukowskiego (u Schirmera błędnie – gen. Żukow). Wiadomo też, że w latach 1887-1895 ziemie te dzierżawił Franciszek Lutosławski, właściciel Drozdowa. W wolnej Polsce Elżbiecin rozparcelowano z myślą o osadnikach wojskowych. Akcję tę rozpoczęto po grudniu 1920 roku, honorując w pierwszej kolejności żołnierzy wyróżniających się w bojach o niepodległość i granice II RP oraz ochotników służących w Wojsku Polskim. Przypomnijmy, również Józef Piłsudski i jego żona Aleksandra otrzymali w 1930 r. na mocy tej samej ustawy dworek w Pikieliszkach na Wileńszczyźnie.

Mało było takich osad w granicach przedwojennego województwa białostockiego, chyba najlepiej znaną jest Zacisze pod Zabłudowem. O Elżbiecinie zapomniano. Dodam tylko, że założono tu również po parcelacji majątku stację doświadczalną, która zajmowała się między innymi uprawą nowych odmian zbóż. W 1938 r. były to Rolnicze Zakłady Doświadczalne w Kisielnicy i Elżbiecinie. Czy istniał wówczas jeszcze także folwarczek Elżbiecin liczący zaledwie 168 mórg, należący w początkach II RP do Alojzego Sokalla? Według spisu z 1921 roku w Elżbiecinie mieszkało 68 osób w czterech budynkach. Ma natomiast rację Marcin Schirmer, że nie zbudowano tu dworu. Pewnie dlatego, że tereny te znajdowały się na przedpolach fortu carskiego.

Była sobie rodzina...

Bohaterami tej opowieści jest rodzina Ławińskich, rodzice i dwoje dzieci. Sagę rodzinną trzeba jednak zacząć od Jana Horoski, weterana wojny polsko-rosyjskiej



PROF. ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI

WYWIEZIONO ICH Z ELŻBIECINA

(bolszewickiej) 1920 roku, inwalidy wojennego, który stał się w 1923 r. w Elżbiecinie właścicielem domu z zabudowaniami gospodarczymi, sześciu hektarów ziemi i szkółki drzew owocowych. Przyjechał tu z synem Tadeuszem i córką Marią urodzoną w 1912 r. w Włostowie koło Sandomierza. Marysia ukończyła pięć klas gimnazjum w Łomży i renomowaną Szkołę Rolniczą w Miłostawicach koło Kutna, co pozwoliło jej podjąć pracę we wspomnianej, rodzinnej szkółce drzew. Była jednak na tyle ambitna, że dodatkowo odbyła w Warszawie – może i z zachętą ojca – sześciotygodniowy kurs Przysposobienia Wojskowego Kobiet (awansowała na kaprała), zaś w Łomży kurs sanitarny. W 1933 r. Maria zawarła związek małżeński z Józefem Ławińskim, który pracował jako asystent w zakładzie doświadczalnym i był podoficerem rezerwy (artylerzystą). Ławińscy zamieszkali w Kisielnicy, w 1925 r. urodził im się syn Bohdan, a w 1938 r. córka Barbara.

Mąż został 27 sierpnia 1939 roku zmobilizowany do Zambrowa. Po przegranej wrześniowej dostał się do niewoli niemieckiej. Maria z dwójką dzieci wyjechała do rodziny babci pod Sokołów Podlaski, ale po ustaniu walk postanowiła wrócić do Łomży. Z Basią na rękę i z Bogusiem czepiającym się matczynej spódnicy. Żołnierz niemiecki jak ich zobaczył nad granicznym Bugiem, to wyjął z kieszeni zdjęcie i pokazał Marii, tłumacząc, że ta pani na fotografii to jego żona, a dwójka maluchów to ich dzieci. Szczęśliwy przypadek sprawił, że tęskniący za rodziną żołnierz wrogiej armii pomógł trójce utrudzonych Polaków i ci rankiem przeprawili się z miejscowym rybakiem na drugi brzeg Bugu.

Pod okupacją sowiecką

Droga trójki Ławińskich wiodła przez mocno zniszczony Zambrów do Łomży. Maria dokładnie opisała mitręgę, była dzielną kobietą i wierzyła, że mąż też wraca do domu. W Kisielnicy zastali mieszkanie okradzione i zajęte na sowiecki punkt opatrunkowy. Nie wiele pomogły krzyki zrozpaczonej matki. Przewodniczący powołanego przez okupantów komitetu dworskiego (były kowal w majątku) znał dobrze Marię, zdobył się na gest, by zaproponować jej i dzieciom „norę” w czworakach. Wielką za to życzliwość wykazała pani Maria Machalicowa, żona kierownika zakładu w Kisielnicy, w którym pracował Józef Ławiński. I ta Maria, znana społecznie, czeka na powrót

męża, porucznika rezerwy 33 pułku piechoty Józefa Jerzego Machalicę. Dodam, że nie doczekała się, pan porucznik zginął w obronie Brześcia nad Bugiem prawdopodobnie 16 września 1939 r. To postać warta przypomnienia, autor prac broszur promujących ośrodek z Kisielnicy.

Ostatecznie, Maria Ławińska z dwójką dzieci zamieszkała u dziadka w Elżbiecinie. Wierzone, że to tylko krótkie nieszczęście. Bohdan zapamiętał powtarzany w Łomży wierszyk: „Puszczajcie ruble, niech lecą jak wróble! Trzymajcie złotówki, bo niedługo tu będą polskie placówki”. Do domu rodzinnego dotarł i brat Marii, podchorąży Tadeusz Horoszko, skoczek spadochronowy. Wyleczył rękę zranioną w okopach i zniknął nocą zostawiając list pożegnalny. Napisał, że idzie szukać Polski. Polski walczącej o wolność. Wiemy, że dotarł do Wojska Polskiego na Zachodzie, został w Anglii podporucznikiem pilotem, nie wrócił jednak po wojnie do Polski. Jest więcej jeszcze śladów naprowadzających na losy Horoszków i Ławińskich, ale z konieczności ograniczę się do kontynuowania dziejów Marii z dziećmi Bohdanem i Barbarą.

Deportacja

Osadnicy wojenni i służba leśna zostali wyznaczeni przez NKWD jako pierwsi do wywózki na „białe niedźwiedzie”. Niespodziewanie o godz. 6 rano 10 lutego 1940 roku, w siarczysty mróz, enkawudziści w towarzystwie aktywów rewolucyjnego wtargnęli do domów wrogów ludu. Tak stało się i w Elżbiecinie. We wspomnieniach złożonych w Archiwum Wschodnim Maria napisała, że dano im pół godziny na spakowanie się. Na dworze czekały sanie. „W drodze żołnierz dawał mi swoje rękawice -28° było – nie przyjmę. Ten sam pomagał mi ubierać dzieci, wyszukiwał obuwie i ubranie. Litość go brała, widział moją rozpacz i brak opanowania. Na dworcu czekało na nas 30 (może 35) wagonów towarowych, załadowanych po 100 ludzi. Nocowaliśmy w Łomży. Rano

zagrały koła – pociąg ruszył – ktoś zaintonował „Kto się w opiekę”, jęki, płacz zagłuszyły melodię”. Przejmująco brzmią opisy scen zjazdu w nieznane i warto je będzie opublikować. Do tego samego pociągu załadowano drugiego brata Marii – Edmunda (Mundka) z żoną Czesławą i córeczkami. Tym nieszczęśnikom jeszcze jedna córka urodziła się w Sowietach w tajdze, ale zmarła na tyfus w Bucharze.

Syn Bohdan pierwszy rozdział swych wspomnień zatytułował: „Z Kisielnicy do Elżbiecina, stąd na wschód i na północ”. Marię Ławińską, lat niespełna 28 z Bohdanem lat cztery i jedenastomiesięczną Basią wysadzono



Maria, Bohdan i Basia w Afryce. Zdjęcie z zasobów Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie

www.lomzyniaczy.org

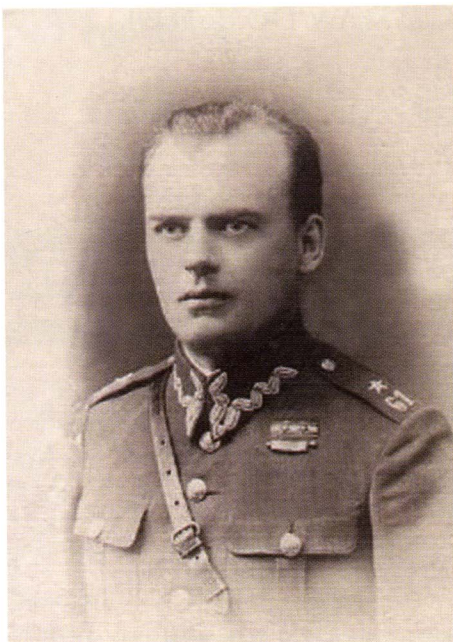
spotkania z historią

po 19 dniach jazdy z bydlęcego wagonu na stacji Buraczicha w oblasti archangielskiej. Stąd powieziono wszystkich saniami do *lesopunkta* nr 17. Na polanie w tajdze stały baraki długie, szerokie i obficie przysypane śniegiem. Zesłaniec – Rosjanin powiedział Polakom, że opalał je od trzech miesięcy, co mogło znaczyć, że wywózka się opóźniła. *Specpieresiedleńcy* otrzymali rdzawy wrzątek i chleb, który mieli już jutro odrobić.

Dlaczego taki los spotkał Ławińskich? Bohdan wskazał na co najmniej trzy powody. Pierwszy i najważniejszy, że mama była córką osadnika. Po wtóre, rodzice zaliczali się do inteligencji. Po trzecie, NKWD uznało, że Ławińscy są rodziną oficerską, bo choć ojciec dosłużył się tylko stopnia kaprała, to był w Związku Strzeleckim i uchodził za zwolennika sanacji, a dzieci wychował na bojowych patriotów.

W tajdze

Powracam do wspomnień Marii. „Rano do pracy każdy dostał książkę roboczą, na którą wykupowaliśmy 400 g chleba na osobę, a 600 g na *lesorubów* (drwali). Ja rąbałam drzewo do stołówki i wolno mi było karmić piersią Basię, a Boguś opiekował się nią w godzinach mojej pracy. Nigdy w życiu siekiery w rękę nie miałam, toteż szybko pokaleczyłam dłonie, a co dzień musiałam urąbać normę, by zarobić 3 ruble na chleb i zupę jedną porcję, bo mi na tyle wystarczało (...). Dzieci mi wychudły, ja słabłam, piłam stoik wody duszkiem, żeby mieć pokarm. Przy każdej ewidencji prosiłam o pracę, którą ja umiałam robić”. W końcu Marię z dziećmi przenieśli do *lesopunkta* Soluga, tam woziła obiady *lesorubom*, a dzieci wzięto do ochronki. W tej samej ochronce pani Ławińska została później niańką, nauczyła się rosyjskiego i pisała rodakom listy, często na brzoźowej korze, bo papieru nie było. Pomagała starszym i chorym, jak ci dostali paczkę z domu, to coś uszczknęli dla Basi i Bogusia z wdzięczności. A Bohdanowi śniły się serdelki z łomżyńskiego sklepu pani Jakubowskiej. Głodował, ale nie mógł przełknąć rybich oczu pływających w pochlipce. Sprzedawali przywiezione z sobą ubrania (Maria musiała kupić duże, męskie kalosze, bo zabrali ją w lakierkach), wiosną rwali wczesne pokrzywy, komosę i szczaw, latem grzyby i jagody. „Jajka ani mleka moje dzieci nie znały”, jak Basia „wyszła” z pieluch, to mama szyla jej ubranka ze swoich łachów”. Podobnie cierpieli rodacy z Łomżycy, Gielczyna, Konarzyc, Podgórze i Zawad. Jeźewscy z leśniczówki w Jednaczewie. „Prawie co dzień był chowany Polak w pace na piaskowej górze, bo tam [dookoła] były tereny podmokłe. (...) Pamiętam jak od lat 14 do 60 wygnano nas załadować 36 wagonów. Zauważono wagon z zamazanym orłem, przytulaliśmy się do niego, płakali, krzyczeli jak do kogoś żywego”. Władze zabroniły w maju zbiorowych modlitw do Matki Bożej, więc litanie odmawiano na korytarzach baraków. I jeszcze jedno stwierdzenie Marii brzmi oryginalnie: „Chłosty nie było, ale nas bito słowami: już Polski nie zobaczysz – zapomnij ty polska swolocz”.



Józef Jerzy Machalica jeszcze jako
ppor. 61 pp. (z *historialomzy.pl*)

Kryzys

„Panowała wśród nas cynga (awitaminoza), ja miałam ropiejące rany na nogach i wrzód zewnętrzny na szyi. Ze skierowania do szpitala nie skorzystałam – stamtąd nikt nie wracał. Temperatura mnie nie opuszczała, dobrzy ludzie dzieci prowadzali do ochronki i doglądali mnie. Postanowiłam zlikwidować dzieci i siebie. Gdyż dzieci po śmierci matek były gdzieś wywożone. Moje maleństwa nie zapamiętałiby, że są Polakami. Już jako konająca odwiedzali mnie Łomżyniacy z 17 punktu, palili papierosy, których dymek tam mi zapachniał. Zнали mnie od dziecka i Rodziców, że byłam niepalącą i nie częstowali. Poprosiłam, dali mi 3, zapaliłam po ich odejściu – zrobiło mi się ciekawiej. Nie!, ja mam ginąć z dziećmi taką śmiercią!...”. Maria zmobilizowała się, wrzód pękł od okładów z siemienia lnianego przysłanego z Polski.

Spod Archangielska na zachód i południe

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, potem układ Sikorski-Majski i tak zwana amnestia stworzyły szansę wydostania się z tajgi. Udało się Ławińskim dostać do pociągu, potem trzeba było płynąć barką i zrobić długą przerwę w kołchozie. Tu miejscowe robotnice nauczyły Polaków kraść pestki siemeczki (pestki słoneczników) i suszone liście tytoniu. Jedne i drugie bardzo się potem przydały jako zastępcza waluta, dzięki której matka z dwójką dzieci dotarła koniec końców do Tatiszczewa koło Saratowa. Spotkali w obozie wojsk polskich łomżyniacy wystarali się na powitanie o trzewiki dla Marii i podarowali trochę chleba oraz cukru, wełniane żołnierskie skarpety. Troskliwość wykazał spotkany pan Szostakowski, policjant z Piątnicy.

Ten opis też skróć. Cztery tygodnie Ławińscy odyskiwali kondycję, potem przenieśli się do Kazachstanu, wszędzie napotykając znajomych, wśród nich i ks. Jana Pierwochę, kapelana 33 pułku piechoty. 16 sierpnia 1942 roku przepłynęli statkiem przez Morze Kaspijskie do Persji, gdzie spotkali Mackiewiczów z Elżbiecina. Nie zmoęła ich malaria. 25 stycznia 1943 roku znów Ławińskich zaokrętowano, tym razem w długi rejs do Indii, a następnie do portugalskiego Mozambiku. Celem okazało się osiedle w Marandellas w południowej Rodezji. Zaczęła się tam egzotyczna sielanka, niestety daleko od stron rodzinnych i bez męża-ojca. W grudniu 1944 roku osiedle zamieszkiwały 622 osoby, w tym ponad trzysta dzieci i młodzieży. M. Ławińska objęła kierownictwo działu gospodarczego osiedla, Bohdan stał się uczniem i harcerzem drużyny im. Zawiszy Czarnego, a Basia w służbowym krakowskim stroju wręczała kwiatki przybywającym gościom.

W Marandellas dzieci dowiedziały się, że ich ojciec przeżył niewolę i wstąpił do (ludowego) Wojska Polskiego. „Głośnie modlitwy odmawiane przez mamę w intencji ojca, opowiadanie o nim i rozmowy powodowały, że śnił się nam po nocach i wołaliśmy go głośno przez sen”. O bracie mamy Tadeusza lotnika już pisałem, a drugi brat Edmund wziął udział w szturmach na Monte Cassino i rozsyłał wszystkim znajomym zdobyczne obrazki św. Scholastyki. Osiedle rozkwitło, pięknie urządzono Dom Polski, sukcesy święciły zespoły teatralny oraz pieśni i tańców ludowych, obchodzono święta kościelne i rocznice narodowe. We wrześniu 1946 roku Maria Ławińska zdecydowała się wracać z dziećmi do Polski pierwszym transportem, odrzuciła propozycję emigracji do Australii. Otrzymała na pożegnanie listy pochwalne za troskę o drogi i ścieżki, skwery i ogródki, park, obory i kwietniki.

Do Polski

Najpierw pociągiem, potem statkiem z portu Beira do Mombasy w Kenii i po długiej przerwie statkiem do Neapolu. 10 lutego (w rocznicę wywózki) 1947 roku pielgrzymi spod Łomży zobaczyli polską flagę na stacji PKP w Zebrzydowicach. Ławińscy nie wrócili jednak do Elżbiecina, gdzie po gospodarstwie dziadków została tylko studnia. Józef został administratorem majątku na Ziemiach Zachodnich i tam połączyła się wreszcie cała rodzina. Maria Ławińska i syn Bohdan napisali po latach wspomnienia, trzeba je dołączyć do źródeł obrazujących losy Łomżan. Może uda się też pozyskać materiały o innych osadnikach wojskowych z Elżbiecina i napisać dzieje tej miejscowości. Pani Maria wspomnienia z 1989 r. rozpoczęła westchnieniem do „... kochanego miasta Łomży. Tam rosłam i uczyłam się. Kocham Łomżę i tęsknię. Obecnie jestem starszą chorą na serce, po zawale. Będę może szczęśliwszą, jak opiszę swoje i dzieci moich losy z czasów straszliwej wojny. A może kogoś odnajdę z lat niewoli?”.

ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI



BENEDYKTA KRASZEWSKA

81 LAT TEMU:

Łomża pod bombami

(fragment pamiętnika)

6 IX 1939 R. PIĄTNICA; ŚRODA

Dzień dość spokojny. Bomby w Łomży. Mówią, że spadła na stadion b[isku]pi i w Łomży. U nas spokojnie. Kończę układanie książek, chciałabym pakować rzeczy i zakopać w ogrodzie, mówiłam już o tem z Jadwigą, umówiliśmy się z nią gdzie i jak to zrobić, ale nie mam z kim wziąć się do układania, Marysia u pp. Sob. Albo i tak cały czas na Piątnicy. Tata goli się, idzie kąpać się, a na moją propozycję, aby zająć się tą robotą, ofuknął „ot nie wiadomo co ci się zdaje”. Wieczór. Dzieci ułożyły się, już śpią. Myślimy to samo zrobić. Przysłuchujemy się. Na drogach ruch. Coby to znaczyło? Chyba ściągają wojska. Wpada Piotr. „Źle, pakować się, wyjeżdżać! Wojska odступują”. Chwytny płachty, prześcieradła, pakujemy w skrzynie ubranie, bieliznę, pościel i wszystko co pod ręką. Tata z niewzruszonym spokojem „zabierasz pościel, na czym będę spał?” Nie miałam słów odpowiedzi, a jednak miał rację. Po kilku godzinach miotania się, okazało się, że wyruszać nie możemy. Szosa zatarasowana, idzie wojsko, nikt inny jechać nie może, nie puszczają. Marysia wychodzi na zwiady. Wraca i uspokaja nas, że to przelokowanie wojsk, nie ucieczka. Rozpakowujemy pościel i układamy się do snu. Już po 12-tej ruch uciął, tylko od czasu do czasu samochód, koń lub wóz. Sen nie przychodzi. Już się rozwidnia, 4-ta. Czekam 5-tej żeby zbudzić Marysię, ale ona już nie śpi, zerwała się. Co robić? Budzić Piotra i jechać z rzeczami do Łomży. Pozostać tu niemożliwe. A jak odetną od Łomży? A jak spać dom? Gdzie się podziejemy? Łomża większa, tam prędzej się schronimy. Marysia idzie po Piotra. Wnet wraca z Jadwigą. Rzeczy pakują na wóz. Z żalem budzimy Jacka, Marka. Ula już nie śpi.

CZWARTEK, G. 6-TA

Dzieci ubierają się, piją mleko i wyruszają z dziadkiem za wozem z rzeczami do Łomży. Zostaję sama, jeszcze zbieram co wpadanie pod rękę. Przychodzi Gieniek, dają mu śniadanie i jem sama, wyprawiam go do domu, żeby czekał na Marysię i wpakował na wóz rzeczy, ale ona jakoś nie wraca. Bomby na fortach. Detonacja. Mówią, że zrywają mosty, dom na Marjanowie wysadzono. Idę do pp. Sob. wyglądamy i oczekujemy wozu, wreszcie przyjeżdża Marysia. Ładujemy resztę rzeczy. Jadą po rzeczy Jadzi i pp. Sob. Już

powrócili. Marysia, ja, p. Sob-wa z Zosią ruszamy pieszo. Walerja wiąże krowę i prowadzi. Przy moście żołnierze gotują się do zerwania, proszą abyśmy prędzej przechodzili. Przed fortami już się pali, cała ściana ognia. Przybywamy szczęśliwie do Łomży. Lokujemy w mieszkaniu p. Wandy.

GODZINA 11

Śniadanie, herbata, kielbasa, serdelki. Marysia o wszystkim pamięta. Idzie na miasto, kupuje trochę żywności, zarządza obiad, gotuje kaszę. Siedzę przy oknie, wychodzę na ulicę, przyglądam się ludziom pędzącym z łomokami. Już



Benedykta i Teofil Kraszewscy, 1908



Archiwum rodzinne Andrzeja i Jęzrzewa Kraszewskich

południe. Mężczyźni tłumnie uciekają pieszo, na rowerach, z rzadka fury załadowane tłumokami, ludźmi. Policjanci pędzą na rowerach. Zjedliśmy obiad. P. Sob-ka z Zosią idzie szukać męża.

GODZINA 3

Siedzimy w pokoju. Bomba w ogrodzie pocztowym naprzeciw naszych okien. Szyby lecą u nas w kuchni i stołowym. Bomba druga gdzieś niedaleko, dym, ogień. Co robić? W uszach mi dzwicz, „jechać przed siebie, uciekać”. Mówię to Marysi. Ale jak zostawić pp. Sob.? Marysia jeszcze pędzi na miasto ich szukać. Pali się koło poczty i na Bernatowicza. Marysia wraca. Nie znalazła pp. S. Ładujemy wóz, niema chwili do stracenia. Ruszamy. Na wozie, ja, dzieci, pościel. Marysia z ojcem idą pieszo, zanim wyjedziemy na szosę zambrowską. Wyjechać jednak nie możemy. Szrapnel rwie się przed koniem. Zawracamy na boczną ulicę, stajemy pod drzewami, czekamy na Marysię. Bomby na miasto coraz częstsze, jedna za drugą. Wreszcie jesteśmy wszyscy, wyjeżdżamy na szosę. Koń wyrzywa. Słychać jeszcze bomby i działa. Już zmrok. Oglądamy się. Łomża w płomieniach. Straszny widok. Co się stało z Sob.? Gdzie oni zostali? A ciotka Jadzia? Ale ona za miastem u Aszów, tam może uratuje się. Gieniek poszedł do Śniadowa, jak stał bez roweru, bez pałta, bez grosza.

Już ciemno. Jesteśmy za Starą Łomżą. Miasto się pali. Wydaje mi się, że pali się katedra, a może pałac biskupi, coś w tamtej stronie. Serce ściska się. Jedziemy bokiem. Mijają nas wozy, rowery, piesi. Błagają, aby wziąć ich na wóz, czepiają się drabin i tak biegną. Byle do Podgórz, do Czerwonego Boru, byle dalej od tej grozy, od tego straszego widoku. Wziąć na wóz nikogo nie możemy.

Dzieci leżą i ja również, a koń ustaje, cały dzień nie dostał obroku, z domu wziąć nie było kiedy, a w mieście nic się nie dostało. Zabieramy tylko tłumoczki, które rzucają na wóz, aby lżej było biec. Jadwiga z Marysią zmieniają się, jedna prowadzi, to druga idzie koło wozu pieszo, koniowi może być lżej, bo ustaje, a i pilnować trzeba, żeby nie nasiadali dzieciom na głowy. Już Czerwony Bór, kierujemy się na Zambrów. Tam może dostaniemy chleba dla siebie i coś dla konia. Mimo nas śmigają samochody, ciężarówki, sanitarki, wiozą armaty, amunicję, migają niebieskie światelka. Cieszymy się, że to w stronę Łomży. Huku dział już prawie nie słyszymy, tylko wsie okoliczne palą się.

Zambrów. Kilka domów zburzonych, trochę wojska, najwięcej uciekających. Wyjeżdżamy na szosę, jechać dalej i gdzieś stanąć. Blisko świt. Koń staje, ciągnąć nie może. Pożywienia ani dla konia, ani dla siebie dostać nie można. Rozwidnia się. Stanąć musimy. Wsie dopalają się, dymią zgłiszczą. Po prawej stronie szosy spostrzegamy sporą wioskę, po lewej również mniejszą ale z kościołkiem, wieżyczka strzela ku niebu. Nie ryzykujemy jechać ani do jednej ani do drugiej, szukamy zarosli. Oto trochę krzaków olszynowych, w oddali parę chat. Tu skręcamy. Wóz ukrywamy między olszyną, sami lokujemy się na łące w zaroślach. Słońce wesoło wschodzi, rosa srebrzy się. Dzieci budzą się. Jadwiga rusza na wieś, żeby zdobyć jakieś pożywienie. Koń wyprężony, ale leży, obawiamy się, że padnie. Dzieci noszą mu trawę, po paru godzinach wstaje, ku naszej radości pasie się na łące.

PIĄTEK 8 IX 1939

Cieszymy się, że odpoczywamy. Dzieci zjadły trochę kielbasy i chleba, które chwyciło się

do koszyka. Jadwiga dostała mleka, przyniosła ugotowanych zacierkę z kartoflami z mlekiem, jaj, obroku dla konia, już mieliśmy dzień zabezpieczony. Samoloty co chwila nad nami. Chowamy się w krzaki za drzewa. Konia siwego i wóz ochraniają zielonymi gałęziami. Ludzie idący przy szosie lub łąką padają na ziemię. Słońce świeci przecudnie, gdyby nie samoloty, mielibyśmy złudzenie majówki. Już po południu, modlimy się. Warkot. Chowamy się pod wóz. Leżymy. Naraz podnoszę z lekka głowę, patrzę w bok, widzę tuż jakiś potwór, świeci się, błyszczy, jakby srebrny czy stalowy w czarne cętki. Po chwili uświadomiłam sobie, że to samolot. Już się oddalił, terkocząc. Teraz zrozumiałam, że to był samolot, leciał wzdłuż szosy, prażąc z kulomiotu. Wkrótce do naszej olszynki przyszło kilku mężczyzn. Jeden miał osmalone oko, drugi całą twarz, wiadać kulka ich musnęła, a innemu przestrzeliła nos na wylot. Przyszły tu kobiety z Łomży znajome, namawiały aby wracać. Moc narodu szła w stronę

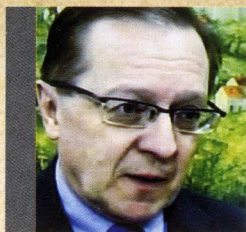
Łomży, opowiadali, że wróg odparty na 30 km i śmiało można iść. Myśmy nie mogli zdecydować się.

Nadchodzi wieczór. Trzeba jechać. Wahamy się. Czy wracać do domu, czy jechać dalej na Wysokie Mazowieckie. Radzimy i namyślamy się długo. Jadwiga prze do Łomży, grozi, że nas rzuci i pójdzie z ludźmi. Jednak nie decydujemy się. Musimy zasięgnąć języka, ale gdzie? Na Wysokie, potem Brańsk, Bielsk – może spotkamy Wiesława. W każdym razie dowiemy się, czy Łomża wolna. Zmrok zapada. Ruszamy z miejsca, chociaż jeszcze niezupełnie zdecydowani. Dwie towarzyszki podróży proszą, aby zabrać ich tłumoczki, rzucają na wóz, same idą naprzód. Wyjeżdżamy na szosę, jeszcze wahamy się. Lecz cudze tłumoczki na wozie sprawę decydują. Nie możemy z nimi wracać, musimy jechać naprzód. Ruch na szosie, migają sine światelka samochodów. Przez Szepietowo zawracamy do Wysokiego M.

GODZINA 9-TA

W mieście ciemności. Stajemy na rynku. Marysia idzie wyszukać komendę policji, aby wybać, gdzie jechać, czy można wracać do Łomży. Niewiele się dowiedziała. Do Łomży jechać nie można, bo nie wiadomo jak tam jest, jedyna droga na Brańsk. Jedziemy. Nerwy wypoczywają. Cisza. Droga szeroka, spokojna, mało kto jedzie. Koń staje coraz częściej. Trzeba śpieszyć. Zrobiono 20 km, pozostaje jeszcze 10. Pchamy się z wielkim trudem. Już się rozwidnia. Wioska na prawo, druga na lewo, do której zajechać? Decydujemy się na prawo. Marysia z Jadwigą idą na zwiady. Wracają i decydują, że tu można zajechać. Jest kościół, plebanja. Wieś Domaniewo (Domanowo) 5 km od Brańska.

BENEDYKTA KRASZEWSKA
(Cdn)



DR JERZY JASTRZĘBSKI

CERKIEW PUŁKU OŁONIECKIEGO

Po powstaniu listopadowym rosyjskie wojska liniowe stacjonowały w Łomży do sierpnia 1833 roku. Po ich wyjściu w mieście pozostał na stałe garnizon wojskowy, składający się ze sztabu brygady, sztabu pułku piechoty, batalionu piechoty, sotni kozaków, komendy inwalidów i żandarmarii. Powstała w 1866 roku gubernia łomżyńska wchodziła w skład Warszawskiego Okręgu Wojskowego. W końcu lat sześćdziesiątych w Łomży znajdował się sztab 10. Małorosyjskiego Pułku Grenadierów, a jego bataliony stacjonowały w Tykocinie, Stawiskach i Nowogrodzie.

Zasadnicze zmiany nastąpiły w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to zaostreniu uległy stosunki rosyjsko-niemieckie. Do Łomży w miejsce grenadierów przesunięto w 1875 roku sztab 4. Dywizji Piechoty, dowództwo jej 1. Brygady i 14. Ołoniecki Pułk Piechoty oraz sztab 6. Dywizji Kawalerii, dowództwo jej 1. Brygady i 17. Wołyński Pułk Dragonów przemianowany później na 6. Wołyński Pułk Ułanów. W 1889 roku do Łomży przybył jeszcze 13. Biełozierski Pułk Piechoty z 4. Dywizji Piechoty. Według danych spisu z 1897 roku kwaterowało w Łomży niemal siedem tysięcy wojskowych, czyli co czwarta osoba w mieście nosiła mundur armii carskiej. Z woli sztabowców carskich Łomża stała się twierdzą. W następnych latach ubył w Łomży sztabowców, ale za to przybył 3. Dywizjon 4. Brygady Artylerii Polowej, a po 1910 roku wycofano z miasta pułk ułanów. Wojsko, poza kadrą oficerów i podoficerów zawodowych wyższych stopni oraz ich rodzinami, w minimalnym stopniu uczestniczyło na co dzień w życiu miasta. Ogromna większość żołnierzy służby czynnej i kadry zawodowej przybywała do Łomży z różnych guberni Cesarstwa Rosyjskiego.

Pułk ołoniecki zajmował kilka obiektów na terenie miasta, a w przyległej wsi Łomżyca (teren byłej roszarni) drewniane koszary, postawione sposobem gospodarczym. 1. eskadron pułku dragonów w Łomży zajmował koszary przy ówczesnej ulicy Wasilewskiej (Stacha Konwy) wybudowane w drugiej połowie XIX wieku, a 5. eskadron w Łomży. Biełozierski pułk piechoty kwaterował w kompleksie koszarowym przy ówczesnej Szosie Śniadowskiej, wybudowanym w latach 1888-1893 w postaci czterech typowych bloków koszarowych dla batalionów, budynku dowództwa, bloku mieszkalnego dla kadry, budynków gospodarczych, pomocniczych i stajni. Dywizjon 4. Brygady Artylerii zajmował budynek przy Szosie Ostrołęckiej w jednopiętrowych tzw. starych

koszarach, wybudowanych prawdopodobnie w 1899 roku. Po przeniesieniu 6. pułku ułanów koszary przy ulicy Wasilewskiej zajmowała 7. bateria 4. brygady artylerii. Kompanie Łomżyńskiej Artylerii Fortecznej zajmowały trzy forte wokoło Piątnicy. Łomżyński Lazaret Miejskowy mieścił się w budynku przy ulicy Polowej, wzniesionym w latach dziewięćdziesiątych, magazyny żywnościowe znajdowały się w drewnianych budynkach przy ulicy Rybaki oraz w murowanym budynku nieopodal ulicy Polowej, wybudowanym pod koniec XVIII wieku. Dowództwo korpusu oraz dowództwa dywizji zajmowały dwa budynki sztabowe przy ulicy Polowej, wzniesione najprawdopodobniej w latach 1902-1903.

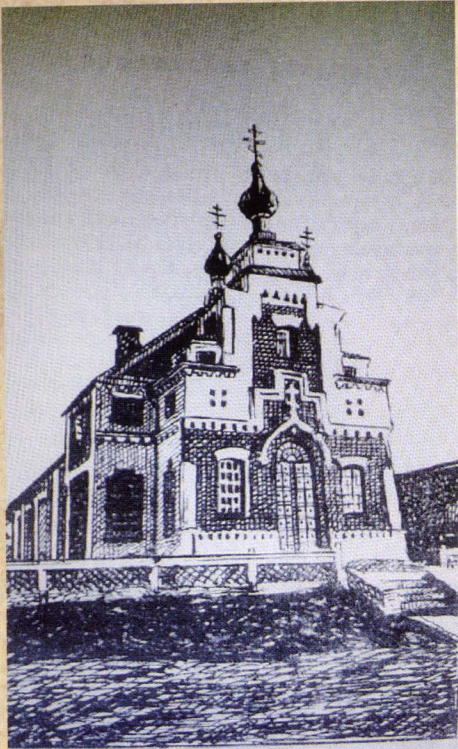
Parafia prawosławna św. Trójcy w Łomży powstała 21 maja 1834 roku. Mieściła się w prywatnym drewnianym domu, wydzierżawionym od Żyda nazwiskiem Nowina. Była to cerkiew wojskowa. W 1858 roku przeszła ona pod zarządek biskupa diecezjalnego. Zaczęto prowadzić księgi urodzeń, ślubów i zgonów, a w bibliotece gromadzono pisma nadsyłane z konsystorza. Powstała więc parafia w pełnym tego słowa znaczeniu. 11 kwietnia 1869 roku przeniesiono nabożeństwa do gmachu gimnazjum męskiego. Wydzielono na piętrze obszerny pokój, zrobiono odrębne wejście od ulicy. Założona w 1851 roku parafia

św. Konstantyna została wydzielona z parafii św. Trójcy, z przeznaczeniem dla wojskowych i pracowników czterech oddziałów 9. Pogranicznej Łomżyńskiej Brygady 2. Okręgu Oddzielnego Korpusu Pogranicznej Straży. Początkowo mieściła się w oficynie męskiego gimnazjum w Łomży. 5 kwietnia 1882 roku przeniesiono ją do Piątnicy, do drewnianego domu szkolnego, należącego do Zarządu Celnego, a później Korpusu Pogranicznej Łomżyńskiej Straży. W 1873 roku położono kamień węgielny pod budowę nowej, murowanej cerkwi św. Trójcy przy obecnym placu Jana Pawła II. Poświęcił ją 10 października 1877 roku arcybiskup Leontij. Wybudowana z cegły, o sześciu kopułach, kryta blachą. Na wieżach znajdowało się sześć dzwonów. Zimą cerkiew była ogrzewana.

W Królestwie Polskim istniała duża liczba cerkwi podlegających jurysdykcji ministerstwa wojny, a nie biskupowi diecezjalnemu. Podstawową jednostką armii rosyjskiej był pułk. Każdy z nich pielegnował swoje tradycje. Pułk posiadał swoje umundurowanie, sztandar pułkowy, patrona, odznakę i dzień święta pułku. Integralną częścią tradycji pułku była też cerkiew pułkowa. W miejscu stacjonowania pułku cerkiew urządzano na terenie koszar w namiocie lub budynku. Do lat 90 XIX wieku wszystkie pułkowe cerkwie mieściły się w salach, pokojach i jadalniach



Cerkiew pułku ołonieckiego (pocztówka)



Cerkiew pułku ołonieckiego (rysunek), 1893 r.

adaptowanych na domy modlitwy. Budowa prawdziwych cerkwi pułkowych rozpoczęła się w końcu XIX wieku. Jednak wszystkie jednostki w miarę swoich sił i posiadanych środków zakładały swoje domowe cerkwie. Termin ten oznacza, że lokowano je w pomieszczeniach adaptowanych do celów religijnych. Mogła to być np. szkoła, szpital czy budynek mieszkalny. Typowa cerkiew domowa nie wyróżniała się wyglądem spośród okalających ją budynków. Znakiem jej istnienia był jedynie krzyż na dachu lub ikona nad wejściem do budynku. Takie cerkwie domowe miały także 14 pułk ołoniecki i 17 pułk dragonów. Pułk ołoniecki miał cerkiew domową na ulicy Rybaki; za wynajem pomieszczeń płacono 236 rubli za rok. Natomiast cerkiew dragonów mieściła się w budynku narożnym przy Nowym Rynku i Placu Pocztowym. Dom należał do Władysława Czerwonko, która miała syna Jana i córkę Leokadię. Pułkowa cerkiew mieściła się na pierwszym piętrze domu. Na dachu budynku znajdował się krzyż rosyjski. Od 1917 roku trzy pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze zajmowała rodzina Bielickich, w tym matka Leokadia z córkami Marysią i Hanką.

W Łomży, dzięki inicjatywie i zaradności dowódcy pułku i wsparciu administracji gubernialnej, rozpoczęła się także w końcu XIX wieku budowa cerkwi dla ołonieckiego pułku. Budynek przy skrzyżowaniu ulicy Śniadowskiej z ulicą Polową był wznoszony przez żołnierzy pułku pod nadzorem pułkowych oficerów i projektanta inżyniera architekta Łuńskiego od 11 lipca 1890 roku. Zakończono budowę 6 grudnia 1890 roku. 23 grudnia 1890 roku cerkiew pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła została poświęcona przez metropolitę moskiewskiego Leontija. Koszt budowy to 12 312 rubli 16 kopiejek, włączając w to zakup działki za 5415 rubli 49 kopiejek. Budynek

cerkwi składał się z części głównej długości 12,5 m i szerokości 11,5 m, połączonej arkadą o szerokości prawie 5 m z przedsionkiem o długości 4 m i szerokości 8,5 m. Budynek, jeżeli chodzi o styl, mało przypominał prawosławny kościół. Szczególnie, jeżeli patrzyło się na niego z ulicy Polowej. Miał cztery nieduże kopuły. Z przodu było drewniane ogrodzenie, ograniczające plac o powierzchni 1215 mkw., obok ogrodzenia posadzono drzewa. Na piętrze przedsionka działał sierociniec dla 15 chłopców, wziętych z sierocińca z Warszawy oraz z biednych rodzin w Łomży. Dzwonnica cerkiewna usytuowana była nad wejściem i kruchtą. Wnętrze cerkwi mogło, zgodnie z *Pamiętną książką* z 1893 roku, pomieścić 700 osób. Obiekt prawdopodobnie w 1905 roku miał przebudowaną część ołtarzową i mógł wtedy pomieścić 800 osób. Remont przeprowadzono między czerwcem a październikiem, kiedy to pułk, w związku z wydarzeniami rewolucyjnymi, przebywał w Łodzi. 16 października 1892 roku z rozkazu cara, wydanego na prośbę żołnierzy ołonieckiego pułku, pochowano w cerkwi szczątki Aleksandra Tuchaczewskiego, ekshumowane z mogiły w majątku Wyczółki – obecnie Ursynów w Warszawie. Zwłoki złożono w grobowcu, zbudowanym w południowej części kruchty cerkiewnej. Grób nakryty był prostokątną płytą z piaskowca z wrytym napisem, informującym o pochowanym, z wyczeniem jego funkcji i odznaczeń. Na płycie umieszczono wykonane z brązu miecz, tarczę z herbem Tuchaczewskich i hełm koryncki z grzebieniem.

Kim był pułkownik Aleksander Nikołajewicz Tuchaczewski i dlaczego pochowano go w tej cerkwi? Urodził się w 1793 roku. Służbę wojskową rozpoczął w Siemionowskim Pułku Leibgardii. W okresie wojen napoleońskich walczył m.in. pod Borodino, Lipskiem, Budziszynem. W 1814 roku był w Paryżu. W 1826 roku został pułkownikiem, a od 15 września 1826 roku – dowódcą Ołonieckiego Pułku. W 1831 roku Tuchaczewski dowodził 14 Ołonieckim Pułkiem Piechoty, który wspólnie z 13 Biełozierskim Pułkiem Piechoty szturmował Warszawę. W pierwszym dniu szturm, tj. 6 września (kalendarz rosyjski – 25.08), pułk Aleksandra Nikołajewicza znajdował się w pierwszej linii kolumny szturmowej II Korpusu, dowodzonej przez gen. Sulimę.

Szturm na wolskie fortyfikacje rozpoczął się o świcie we mgle atakiem na południową stronę fortu nr 54, nazwanego później „Redutą Ordona”. Żołnierze rosyjscy szybko zaczęli się wdzierać za palisadę. Polski odwrót był niemożliwy. Tuż przed godziną ósmą rano w górę z hukiem wzbil się wysoki słup dymu – reduta nr 54 wyleciała w powietrze. Zginęło wówczas wielu polskich obrońców oraz atakujących Rosjan, wśród nich płk Aleksander Tuchaczewski. Pochowano go w majątku Wyczółki, skąd został ekshumowany do pułkowej cerkwi wybudowanej w Łomży.

W 1893 roku w majątku Aleksandrowskoje koło Smoleńska urodził się Michaił

Nikołajewicz Tuchaczewski, który był wnukiem Aleksandra Tuchaczewskiego. Wnuk, podobnie jak dziadek, wybrał i kontynuował karierę wojskową. Zimą 1915 roku pułkownika Michaiła Tuchaczewskiego przeniesiono na front na północ od Warszawy, w rejon granicy rosyjsko-pruskiej. 19 lutego 1915 roku, w czasie operacji przasnyskiej, dostał się pod Łomżę do niewoli niemieckiej. Po trzech nieudanych próbach, w sierpniu 1917 roku udało mu się zbiec z obozu nad granicą holenderską. Ciekawostką jest fakt, że w obozie jenieckim w Ingolstadt, położonym pod granicą belgijską, przebywał wspólnie m.in. z późniejszym gen. Charlesem de Gaulle. Po ucieczce przeszedł całe Niemcy i przekroczył granicę ze Szwajcarią, gdzie udał się do ambasady Rosji. W wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku dowodził Frontem Zachodnim. W sześć tygodni jego wojska dotarły od Auty i Berezyny pod Warszawę. Pewien ostatecznego zwycięstwa, zlekceważył możliwości ofensywne armii polskiej i poniósł klęskę w Bitwie Warszawskiej. Dowodził także podczas drugiej walnej bitwy wojny polsko-bolszewickiej – w bitwie nad Niemnem. Czy wiedział, że jego dziad spoczywa w cerkwi w Łomży i czy go odwiedził – nie wiadomo.

Pod koniec XIX wieku istniały w Łomży następujące cerkwie: cerkiew pw. Świętej Trójcy przy ówczesnym Placu Sobornym, cerkiew pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła należąca do 14 Ołonieckiego Pułku Piechoty, cerkiew pw. Świętego Wielkiego Męczennika Georgija Zwycięzcy należąca do 17 Wołyńskiego Pułku Dragonów, cerkiew pw. Świętego Mikołaja Cudotwórcy należąca do 13 Biełozierskiego Pułku Piechoty na terenie koszar pułku przy Szosie Śniadowskiej (wyświęcona w 1895 roku – mieściła 900 osób) i cerkiew pw. Mikołaja Cudotwórcy funkcjonująca od 1896 roku przy Łomżyńskim Więzieniu



Grób Tuchaczewskiego na byłym cmentarzu wojskowym w Łomży.

📷 Bolesław Deptuła, 1972 r.

Gubernialnym. Ponadto działała także cerkiew pw. Świętego Konstantyna w koszarach Łomżyńskiej Brygady Straży Pogranicznej w Piątnicy, należącej do Garnizonu Łomża. 21 października 1900 roku odbyła się na placu przed Soborem uroczystość z okazji 25-lecia pobytu w Łomży 14 pułku piechoty i 17 pułku dragonów. Ówczesny prezydent miasta Adolf Chrzanowski przekazał dowódcom pułków ikony Matki Boskiej Częstochowskiej wykonane przez łomżyńskiego malarza Tadeusza Mucharskiego, które zostały umieszczone w pułkowych cerkwiach. W 1901 roku kapelanami wojskowymi byli: w 17 pułku dragonów ks. Aleksander Uspieński, w 14 pułku piechoty ks. Bazyli (Wasilij) Turbin. Turbin, będący także dziekanem 4. Dywizji Piechoty, ofiarował 5 tys. rubli na budowę cerkwi na cmentarzu wojskowym, otoczonym ceglany murem z łukową bramą. Niewielką cerkiew (na 100 osób) z czerwonej cegły, uzyskanej z rozbiórki starego gimnazjum, wzniesiono na planie prostokąta i poświęcono 21 grudnia 1902 roku.

Cmentarz wojskowy założony został w 1861 roku poza ówczesnymi granicami miasta, nieopodal drogi do wsi Zawady. Początkowo znajdowały się na nim mogiły żołnierzy armii rosyjskiej, pełniących służbę w miejscowym garnizonie. W okresie dwudziestolecia międzywojennego były w tej cerkwi odprawiane nabożeństwa dla żołnierzy polskich przynależących do prawosławnego. Natomiast cmentarz prawosławny w Łomży założony został około 1834 roku i był częścią zespołu cmentarzy wyznaniowych, obejmującego także cmentarz ewangelicki i rzymsko-katolicki. W 1906 roku postawiono na nim kaplicę cmentarną pw. Grobu Pańskiego.

Po odzyskaniu niepodległości budynek cerkwi przy ulicy Polowej opustoszał. Na początku 1919 roku komitet miejski robót publicznych zaprojektował rozbiórkę cerkwi kosztem 25 000 marek. Zwrócono się do władz centralnych z prośbą o pozwolenie na rozebranie cerkwi, na miejscu której miały stanąć szkoła początkowa, teatr, muzeum i biblioteka. W 1920 roku, w okresie wojny polsko-bolszewickiej, w cerkwi przebywali jeńcy rosyjscy, a budynek w wyniku działań wojennych został częściowo zniszczony.

W 1921 roku powołany został Komitet Szkolny Rewindykacyjny, który miał prowadzić akcję na rzecz odzyskania przez katolików kościoła popijarskiego, przekazanego w 1853 roku parafii ewangelickiej. W styczniu 1922 roku przewodniczący Komitetu Aleksander Makowski wystąpił do Generalnego Superintendenta Kościołów Ewangelickich pastora Bursche z propozycją zamiany kościoła ewangelickiego na byłą cerkiew Ołonieckiego Pułku. Komitet Szkolny zobowiązał się dodatkowo do odrestaurowania jej zgodnie z warunkami ewangelików lub też wypłacenia odpowiedniej sumy na jej remont. W odpowiedzi pastor Bursche przyznał: „Konsystorz w zupełności uznaje, że obecny kościół jest dla nielicznej parafii ewangelickiej łomżyńskiej za duży i gotów byłby do pertraktowania, mającego na celu zamianę go na inny kościół mniejszych rozmiarów”. Jednocześnie stwierdził, że proponowana cerkiew nie

może być brana pod uwagę, gdyż nie ma jeszcze ustawy w sprawie ostatecznego przeznaczenia kaplic i cerkwi prawosławnych w Rzeczypospolitej Polskiej. Brak wymienionej ustawy nie dotyczył jednak tej cerkwi. Ministerstwo Spraw Wojskowych stwierdziło, że może oddać ją ewangelikom, o ile zażąda tego Komitet. Cerkiew „jako powstała ze składek żołnierzy i oficerów, stanowiła prywatną własność wojskowości, przeto do niej nie mogą się tyczyć ogólne przepisy o cerkwiach”, argumentowało Ministerstwo.

W 1922 roku pojawił się też pomysł przebudowy świątyni na biura, ale prace przerwano na skutek interwencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W związku z przekazaniem jej 28 listopada 1922 roku przez MSW pod zarząd Ministerstwa Robót Publicznych jako zbędnej dla wojska pojawiła się inicjatywa, aby w Łomży powstał kościół „dla uczącej się młodzieży szkół średnich i powszechnych”. Występujący o nią Komitet Szkolny Rewindykacyjny postulował jednak, aby do tego celu pozyskać dawny kościół pijarów pw. św. Stanisława Kostki. Ewangelikom proponowano zaś zagospodarowanie byłej cerkwi pułkowej. Do czasu zakończenia pertraktacji świątynia pełniłaby – w zamyśle Komitetu – funkcję kościoła dla młodzieży, gdyż „stoi od dawna pustkami [...] i jest przez miejscową ludność niemiłosiernie niszczoną i rozkradaną”. Na takie rozwiązanie nie zgodził się jednak Konsystorz Ewangelicko-Augsburski w Warszawie, podkreślając, że obiekt wymagałby kosztownych przeróbek i był zbyt daleko oddalony od plebanii.

Obawy budził też stan prawny świątyni, która w drodze przyszłej ustawy regulującej sprawy majątków cerkiewnych mogłaby zostać ewangelikom odebrana. Pastor łomżyński ks. Kacper Mikulski domagał się natomiast aby polski rząd, w zamian za kościół popijarski, wybudował ewangelikom świątynię na tysiąc osób i przekazał dodatkowo budynek mieszkalny z ogrodem. W czerwcu 1924 roku powstało w Łomży koło Polskiego Białego Krzyża, którego celem była m.in. praca oświatowa w wojsku. Prezesem Zarządu wybrano emerytowanego generała Stanisława Suryna. Zorganizowano 3 sekcje, w tym sekcję budowy domu oświatowego dla żołnierzy garnizonu łomżyńskiego. Docelowym jej zadaniem była budowa takiego domu, a na razie wyszukanie do jesieni odpowiedniego lokalu.

W styczniu 1925 roku w „Życiu i Pracy” ukazała się informacja, że koło Polskiego Białego Krzyża ośmieli się w najbliższej przyszłości zwrócić z apelem do zapisywania się na członków koła, które zamierza z wiosną roku 1925 przystąpić do



Grób gen. Stanisława Suryna
na zabytkowym cmentarzu w Łomży

Wawrzyniec Kłosiński

zrealizowania projektu budowy Domu Żołnierza Polskiego w Łomży, co umożliwiłoby danie godziwych i tanich rozrywek żołnierzom tutejszego garnizonu. 9 marca 1925 roku Ministerstwo Robót Publicznych, któremu cerkiew przekazało MSW potwierdziło, że należy ona do obiektów, którymi władze państwowe mogą dysponować swobodnie jako własnością państwową.

W sierpniu wojewoda wystąpił z zapytaniem do biskupa, czy Komitet Szkolny Rewindykacyjny i ludność rzymsko-katolicka Łomży zgodziłyby się na przyznanie parafii ewangelicko-augsburskiej pewnej rekompensaty pieniężnej lub w naturze tytułem ekwiwalentu za zamianę kościoła popijarskiego na mniej wartościowy gmach. Biskup Jalbrykowski odpowiedział: „Katolicy parafii Łomżyńskiej chętnie zgadzają się doprowadzić b. cerkiewkę pułku Ołonieckiego piechoty do stanu używalności: dać tynki, okna, podłogi, sufit, poprawić dach, tj. przeprowadzić konieczny remont. Ekwiwalentu w naturze pod postacią innego gmachu dać nie mogą i nie uważają za rzecz odpowiednią”.

Wydawać się mogło, że sprawa może zostać w końcu rozwiązana. Okazało się jednak, że stanowisko strony ewangelickiej uległo zmianie. Poznajemy je w odpowiedzi Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na memorandum posłów ziemi łomżyńskiej w 1926 roku. Stwierdza się w niej, iż „Warszawski Konsystorz Ewangelicko-Augsburski odpowiedział, że ani parafia łomżyńska, ani Konsystorz propozycji tej przyjąć nie mogą, gdyż proponowany obiekt nie stanowi ekwiwalentu obecnego kościoła ewangelickiego i poczynionych weń nakładów. Zdaniem

Konsystorza jedynie zakupienie odpowiedniego placu i wybudowanie skromniejszego wprawdzie, ale według planu przedstawionego przez parafię łomżyńską kościoła ze wszystkimi urządzeniami kościelnymi, mogłoby spowodować proponowaną zamianę. Żądania te były niemożliwe do spełnienia, przez co sprawa stała się w martwym punkcie.

Mimo zapewnień Komitetu o zagospodarowaniu cerkwi na tymczasową kaplicę dla młodzieży również i w tym kierunku niczego nie uczyniono. W związku z tym, na mocy reskryptu MRP z 21 lutego 1927 roku, obiekt został ponownie oddany dowództwu garnizonu łomżyńskiego, które już od dłuższego czasu zabiegało o wykorzystanie go dla potrzeb kulturalno-oświatowych żołnierzy. W tym czasie w budynku wykonano prace przekształcające wnętrze cerkwi na salę gimnastyczną.

W czerwcu 1929 roku, z inicjatywy dowódcy 18 Dywizji Piechoty generała Czesława Młota-Fijałkowskiego, zawiązał się w Łomży Komitet Organizacyjny, który postawił sobie za zadanie urządzenie w lecie 1930 roku uroczystego obchodu dziesięciolecia zwycięskiej wojny z 1920 roku. Finalnym punktem obchodów 10. rocznicy obrony Łomży przed ofensywą bolszewicką miało być otwarcie Domu Żołnierza. Do współpracy zaproszono przedstawicieli władz samorządowych, państwowych i duchownych. Postulowano, aby w placówce znalazły się kino, sala teatralna, czytelnia i gospoda. W planach komitetu miało to być miejsce rozrywek żołnierzy oraz ich spotkań z mieszkańcami miasta. Pod budowę jednogłównie wybrano „mury po okupantach, stojące u zbiegu Alei Legionów i ul. Polowej. Omawiane ruiny, zniszczone wpływami atmosferycznymi i ludzkim zapomnieniem, zawalone gruzem i zaśmiecone, przykry sprawiały widok w śródmieściu Łomży”.

Nie wiemy kiedy, być może dopiero w 1929 roku, po przystąpieniu do przebudowy cerkwi na Dom Żołnierza według projektu architekta Zdzisława Świątkowskiego, ponownie ekshumowano szczątki Aleksandra Tuchaczewskiego i pochowano je na dawnym rosyjskim cmentarzu garnizonowym przy ulicy Słonecznej. Na grobie zamocowano płytę z piaskowca, tarczę z mieczem i hełm koryncki. Na płycie, oprócz napisu w języku rosyjskim, był napis w języku polskim: „Tu leży pułkownik Tuchaczewski”. Dziad Michał spoczywał tam do początków budowy kościoła Miłosierdzia Bożego. Wówczas, jak twierdził ówczesny proboszcz, płytę i hełm zdemontowano i przechowywano na plebani. Z czasem zachowany hełm koryncki z grobu Aleksandra Tuchaczewskiego został wyeksponowany na trawniku przed kościołem.

Liczne ofiary, subsydia wyasygnowane przez m.in. sejmik powiatowy i magistrat oraz sprzedane cegielki przyniosły blisko 65 tys. zł, dzięki czemu zaplanowane przy budynku prace zostały wykonane w terminie. Tak więc w ciągu jednego roku zebrano potrzebne fundusze i postawiono Dom Żołnierza, który został otwarty 14 września 1930 roku z okazji dziesięciolecia obrony Łomży. Dom Żołnierza w okresie dwudziestolecia międzywojennego był miejscem imprez kulturalnych

i rozrywkowych dla żołnierzy oraz ludności cywilnej. 26 stycznia 1939 roku uchwałą Rady Miejskiej ulicę Polową, przy której mieścił się sztab 18 DP, przemianowano na ulicę Gen. Młota-Fijałkowskiego, z tej okazji 4 lutego 1939 roku dokonano w Domu Żołnierza odsłonięcia popiersia generała. Nagrobek pułkownika w cerkwi wojskowej zastąpiło popiersie generała w Domu Żołnierza.

Dom Żołnierza w czasie drugiej wojny światowej został, jak oceniono, zniszczony w 70 procentach. W styczniu 1948 roku Miejska Rada Narodowa w Łomży wystąpiła do Ministerstwa Przemysłu i Handlu z wnioskiem o przekazanie zniszczonego budynku na Dom Kultury Ludowej. Działania te były niezwykle ważne, gdyż Łomża borykała się w tym okresie z poważnym brakiem budynków, nadających się do wykorzystania. Nie zapadła jednak w sprawie tego budynku żadna decyzja. Popadał w coraz większą ruinę. Było to miejsce wagarowania, palarnia, miejsce zbiórek okolicznej młodzieży. W kilka lat po wojnie także dorośli zainteresowali się tym budynkiem. Zabierano z niego wszystko, co się mogło przydać – kaloryfery, futryny z okien, kafelki z posadzek, rozbierano ścianki działowe i wywożono furmanami cegły. W końcu władze miejskie kazały zamurować wejścia, milicja ukarała kilku amatorów darmowych materiałów budowlanych i rabunek się skończył. Wejścia zamurowano ściankami grubości jednej cegły na zaprawę wapienną, więc już po kilku dniach były w tych murach dziury. Ocalały obiekt składał się z bryły głównej o wysokości dwóch pięter i dwóch bocznych oficyn. W części głównej mieściła się sala widowiskowa z balkonem i zagłębieniem dla orkiestry. Z korytarza, który był tuż za progiem, prowadziły schody na balkon i wyższe kondygnacje. Można było dojść tylko do prawej części cerkiewnej wieży, bo po lewej stronie był zerwany strop. Na salę wchodziło się przez poczekalnię, gdzie były dwa okienka kasowe i nisza być może z czasów, gdy budynek spełniał funkcje religijne. Wejście główne usytuowane było od strony alei Legionów. W części oficyn, położonej od ulicy Polowej, do roku 1956 mieścił się zakład fryzjerski prowadzony przez panią Jabłońską.

W latach pięćdziesiątych sąsiednia Szkoła Podstawowa nr 3 uzyskała zgodę na zaadaptowanie prawej oficyny dla swoich potrzeb. Dzięki temu placówka pozyskała pomieszczenia na trzy klasy lekcyjne, część administracyjną, bibliotekę szkolną oraz kuchnię. Podobno w różnych latach, co najmniej trzykrotnie, podejmowano próby wyremontowania obiektu. Miał on solidne pocerkiewne fundamenty, grube na pół metra mury w części głównej. Jednego roku nawet położono na nim dach. Kierowniczką szkoły Aniela Rokicka próbowała w tych ruinach zorganizować uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego 1955/56. Resztki głównego budynku rozebrano ostatecznie na początku lat sześćdziesiątych. Prawa oficyna jeszcze przez kilkanaście następnych lat służyła miastu. Po wyprowadzeniu szkoły mieścił się tu zakład graficzny, a następnie część administracyjna Urzędu Wojewódzkiego.

DR JERZY JASTRZĘBSKI

Stoimy na wzgórzu. Grzegorz z przodu, przesuwa się i zatrzymuje tuż przy samej szczelinie, w którą łatwo spaść. Przychodzi często na forty, z kilku nieważnych powodów i jednego istotnego, nierozwiązanego do tej pory. Naprawdę słyszał tam, w środku, głosy, szepty, westchnienia, może jakieś rozmowy? Sam nie wie. Zszedł kiedyś bardzo głęboko, w zawalone ziemią i betonem korytarze, przeciskał się przez nie, przez ich wąskie szczeliny. Tak, bał się – uprzedza moje pytanie – ale najtrudniej się zrobiło, kiedy nagle poczuł oddech na skórze, bliski. I jęł. Uciekał z korytarzy fortowych wyczołgując się, z gęsią skórą na ciele.

Grzegorz nie zrezygnował z przychodzenia na forty, choć wrócił tu – po tamtym, pamiętnym, razie – dopiero kilka miesięcy później. Dotarł wtedy do kilku niepotwierdzonych legend, że forty w Piątnicy są połączone tunelem pod Narwią z Łomżą. Gubił się w domysłach czy tunel prowadzi do klasztoru Ojców Kapucynów, czy do kościoła popijarskiego na skarpie po drugiej stronie rzeki, ale wiedział, że coś jest pod tym monumentalnym zabytkiem sprzed stu lat, na którym stanęliśmy właśnie, żeby przywołać historię cudu nad Narwią. Słyszał życie w ciemności, nie ma wątpliwości. Coś, może duchy przeszłości, może dusze zmarłych żołnierzy, albo po prostu energia dawnych zdarzeń zatrzymała się w tej przestrzeni pomiędzy światami, żeby zostać uwolniona.

On szukał tylko zasypianych korytarzy, bo wie, że tam są. „Nie ma śladu w dokumentach powojennych, już po II wojnie światowej, w której forty też miały znaczny udział. Dlaczego zostały zasypane? I kto to zrobił? Co chciano ukryć, wysadzając i zasypując przejścia i chodniki?”. Patrzymy przed siebie na spokojne, wymarłe betonowe miasteczko porośnięte zielenią. Jest w nim jakaś nieuchwytna tajemnica, która ciągnie, więc nie dziwię się Grzeszkowi, że przychodzi tu regularnie, skubie trawki i siedzi gryząc je i dumając. Mnie bardziej pociąga druga strona, ten świat sprzed stu lat, oglądany realnie, jak teraz. Kiedy odwracam twarz, widzę odległe miasto oddzielone rzeką, która jak falująca na letnim wietrze wstążka ściele się w dole. Łomża jest majestatycznie zawieszona na górze, podobnie jak my tu, na piątnickich fortach, do których za chwilę zejdziemy, oganiając się od komarów.

Grzesiek przodem. Jesteśmy tu sami, w środku upalnego lipca. Przed nami długi i słoneczny dzień, a potem ciepła i gwiazdzista noc. Przyjechałam, żeby przypomnieć historię zatrzymania bolszewików tuż przed ich atakiem na Warszawę. Tu każdy zna historię cudu nad Narwią, opowieści powtarzane są dzieciom, a na fortowe spacerzy chętnie przychodzą też mamy z wózkami, mimo, że droga jest kręta, płaska i długa, zwłaszcza jak jedzie się od strony szosy białostockiej. Właśnie tak szli bolszewicy. Znacznie łatwiej dojść tu wydeptaną ścieżką znad Narwi. A jednak



DOROTA SOKOŁOWSKA

Gdzie ta menażka z twarzą dziewczyny?

wiedza o 1920 roku jest bardzo współczesna, oglądana z perspektywy ładnego widoku z tej malowniczej góry, a przede wszystkim odległości w czasie. Ktoś, kiedyś. Patriotyczne zatrzymanie wroga. Jakaś bitwa, jacyś bohaterowie, dawno temu. Popatrz, jaki widok, mamo!

Więcej może powiedzieć pan Ludwik, uśmiecha się na pytanie o te odległe czasy. Prowadzi muzeum forteczne w Piątnicy, zna wszystkie eksponaty, bo wielokrotnie znajdował je w dolinie Narwi, zbierał łuski, guziki, kule ołowiane. Prowadzi nas do izby z pamiątkami wojennymi w deszczu, wczoraj po kilku suchych tygodniach wreszcie spadł rześisty deszcz, ulga dla zielonych trawek, które przed chwilą jeszcze skubaliśmy, żując, na wzgórze. „Te kule ołowiane to była straszliwa broń na piechotę, stosowały ją sto lat temu obie strony. Wystrzelony pocisk leciał i rozrywał się na wysokości człowieka. Pocisk miał ponad sto kulek w sobie, średnicy około centymetra. Każda powodowała śmierć”. Pan Ludwik jest pułkownikiem, byłym dowódcą łomżyńskich jednostek wojskowych. Głuchy brzęk kul nie robi na nim wrażenia, kiedy przesypuje je w metalowym, rozpołowionym pocisku. Patrzymy na to spod półprzymkniętych powiek, kulki są malutkie, jak do zabawy, układania napisu, turlania po gładkiej powierzchni stołu, przy którym się biesiaduje. A jednak. Zebrane na polu bitwy, tu, niedaleko, na pewno wykonały swoje zadanie, trafiły, zabiły. Wyobrażam sobie, jak jakiś chłopak biegnie przez pole, z ciężkim karabinem, jest gorąco, bo końcówka lipca to nie jest czas na mundur, który krępuje mu ruchy. I jak na przeciwko niego pęka pocisk, który przeszywa go jak wzrok ukochanej dziewczyny, którą zostawił, obiecując, że wróci. Gdzieś, kiedyś. Dawno temu.

Historia nie lubi takich opowieści. Osobowe szczęście nie jest ważne, kiedy broni się ojczyznę – ironicznie podkreśla Grzegorz, choć widzę, że i on myśli o głuchym dźwięku śmierci kiedy dotykamy limonkę produkcji angielskiej. Broni nie najlepszej, bo rozrywała się tylko na dwie, trzy części, więc bez wielkiej skuteczności rażenia. „Zbieraliśmy je tu, na fortach – mówi pan Ludwik. – Było



ich tu pełno, bo z każdego wystrzału zostawało ponad sto sztuk takich szrapneli, bryzgały na odległość stu metrów do przodu i na boki. Na piechotę idącą w zwartym szyku, wyprostowaną do boju – jak znalazł”.

Aż trudno to sobie wyobrazić, tę śmierć od kuli, ku chwale ojczyzny. Widok jest rozległy, malowniczy, filmowy. Piękny. Tylko zieleń, z migoczącą w świetle południowego słońca rzeką i dachami domów po drugiej stronie. Wtedy, sto lat temu, też ktoś pewnie stał na szczycie wzgórza, schowanego za fortami i patrzył w dal. Bolszewicy nacierali na Warszawę, byli zdesperowani i silni. Okrutni i niezatrzymani przez żadną siłę szli umazani krwią ścielącego się pod ich naporem Wilna, Grodna, Białegostoku. Kozacki II Korpus Kawalerii dowodzony przez Ormianina Gaja Bożyszkiana, o mylącej łagodności spojrzenia, romantycznej twarzy, w której zapisana była śmierć. Sprzyjała im determinacja i pogoda, a także to, że w łomżyńskich koszarach niewiele było żołnierzy, tylko batalion zapasowy. Ochotnicy rekrutowali się z młodzieży łomżyńskiej i harcerzy, prawie dzieci, wszyscy stawili się przy kościele garnizonowym, tuż przy placu Sienkiewicza. Znam ten plac, kiedyś lubiłam tam przesiadywać i czytać gazety, kiedy odbierałam je ze specjalnej teczki, zaprenumerowanej przez tatę. Teraz, po latach, kiedy wracam tu z Grzegorzem myślę, że pewnie byli młodszy od mojego syna, maturzysty, kiedy usłyszeli, że wróg chce zmieść porządek znanego im świata. Plac przy małym kościółku, mówię głośno, ciekawe ile razy matki przeklinały to miejsce

przysięgi, w myśl której „przyjemnie jest umierać dla ojczyzny”.

Teraz jednak jest wzgórze, lekki wiatr czochocha wysokie, niekoszone trawy. „Było ich tylko siedmiuset i mieli sześć karabinów maszynowych – przerywa Grzegorz. – Wyobraź sobie ten oddział, powołany przez kapitana Raganowicza do ochrony przeprawy przez Narwę w Piątnicy”. Myślę o moim synu, wiotkim chłopaku słuchającym muzyki, zatopionym w swoim świecie, delikatnym, zakochanym w Klaudii. Widzę, jak nakłada za małe żołnierskie buty, jak poci się zapinając skórzany pas, jak myśli o swojej dziewczynie, której wizerunek wykrobał na menażce. Za chwilę pan Ludwik wyjmie metalowy talerz spośród wielu eksponatów, znalezionych w okopach, pokaże mi, przeniesionej teraz w tamte czasy. Poznam ją, poczuję ścisk w sercu, bo mogę go znowu zobaczyć w tym nieruchomym rysunku gwoździem – jak skrobie wytrwale twarz Klaudii, jak w dziecinny sposób wysuwa brzeg języka, jakby chciał pomóc sobie w upiększaniu jej twarzy, jak dorysowuje włos po włosku, zakręca je w warkocze, odsuwa od siebie, żeby z odległości sprawdzić, czy dobrze. Ta menażka na pewno należała do chłopaka zakochanego tak jak mój syn, więc na chwilę uosabiam ją w Mateuszu, w jego twarzy. Nie znam chłopaka od menażki, ale na chwilę sama stanę się jego matką, żeby móc dobrze zrozumieć to, co zdarzyło się tu, na fortach, sto lat temu. To się nie zmienia: lęk przed śmiercią własnych dzieci kołysze niepokój bez względu na

www.lomzyniaczy.org

bez scenariusza



to, czy jest rok 1920 czy 2020. Dławi tak samo, za-
tyka. Odbiera powietrze i uśmierca.

Dziewczyna z menażki ma wydatne usta, patrzy w bok. Musiała mu towarzyszyć przez jakiś czas, kiedy jadł zupę, szedł spać, odpoczywał w pobliskiej trawie. Teraz trawa łagodnie przyjmuje nasze ślady, gdy schodzimy w dół, do betonowych pomieszczeń, które kiedyś były koszarami. Jesteśmy tu we dwójkę, ale wokół pełno cieni żołnierzy, wychodzą z mojej głowy, głucho dudnią nasze obcasy, kiedy idziemy korytarzem wzdłuż wnęk. „Właściwie zostali tu sami, 27 lipca ewakuowano pół miasta, urzędnicy i ziemianie wyjechali, zostali najdzielniejsi, w tym lekarz miejski Rudolf Beber. To on wydawał polecenia zabezpieczające racje żywnościowe dla załogi na fortach, gdzie dostarczano kaszę, cukier, sól, tłuszcz i mąkę. Dzień później przyszedł komunikat, że bolszewicy są już w oddalonych o ponad dwadzieścia kilometrów dalej Stawiskach. I wtedy się zaczęło”. Grzegorz przechodzi przez wznie-sienie, idziemy teraz już szybciej, żeby zmierzyć odległość od miejsca, w którym musiał rozłożyć się oddział ochotników. Mieli ekwipunek, broń, amunicję, może tamten Mateusz wziął ze sobą menażkę. Tu zostawił ich kapitan Marian Ragano-wicz, który później napisze, że patrzył „z marsową miną na te dzieci, którym raczej jeszcze swawola niż „rycerskie rzemiosło”. Bolszewicy zaatakowali dzień później, wieczorem, jeden szwadron chłopcy odparli dzielnie, ogniem. Kolejny poranek też pomyślna obrona. Wyobrażam sobie tę radość młodych chłopaków, po raz pierwszy postawio-nych do bitwy, pewnych zwycięstwa, niesionych w ramionach rzymskiej bogini, zdanych na łut szczęścia bardziej niż na bojowe wyszkolenie. Ta euforia niosła ich jeszcze następnego ranka, kiedy bolszewicy natarli na forty ze zdwojoną siłą, znowu daremnie. Był 29 lipca, wczesny poranek dojrzewającego lata. W nieodległej Łomży nie-cierpliwie patrzono w stronę fortów i czekano na sygnał.

Pierwsze nie wytrzymały matki. Pobiegły na forty z ciepłym jedzeniem, opatrunkami, ubra-niem. Sprawdzić, gdzie są ich dzieci, co z nimi.

Odetchnąć z ulgą lub zabrać dziecko do domu, przygotowanego na cmentarzu. Jestem tego pew-na. Też stałabym wśród nich, niecierpliwa, płoną-ca ze strachu. Szukałabym wzrokiem mojego de-likatnego synka, biegła do innych umorusanych, rannych pytając o niego i płakała ze szczęścia, gdy-bym spostrzegła Mateusza. Tak trudno zrozumieć słowo wojna z perspektywy pokoju, w którym teraz naprawdę siedzi moje współczesne dziecko, pisząc esemesy, grając w Xboxa, komponując mu-zykę, ciesząc się nudą środka wakacji. Ale przecież jestem na fortach, zanurzona w przeszłości prze-chadzam się po zakamarkach wyobraźni, która podsuwa obrazy tamtych żołnierzy, synów czy-ichś matek, mężów i narzeczonych innych kobiet, słodkich chłopców gotowych naprawdę umrzeć dla ojczyzny.

Grzegorz nie ma wzruszeń, patrzę, jak siada w wielkich oknach fortowych pokoi, śmieje się z echa, odbijającego nasze głosy, jak bez emocji mówi o tamtym czasie: „Stało się jasne, że ta bi-twa jest ważna, że forty to „klucze do Warszawy”, a od finału rozgrywki zależy wszystko. 31 lipca nieprzyjaciół wykonał silny ogień artyleryjski, po-tem do ataku ruszyły dwie masy piechoty. Znowu się udało. Obrońcy trzymali się mocno i nawet w nocy wybierali się pod oddalone o kilka kilo-metrów Drozdowo, atakując bolszewików i roz-praszając ich oddziały”.

Co pomagało tym kilkuset chłopakom, niezaprawionym wcześniej w bitwie? Grzegorz uśmiecha się, brodą wskazuje puste fortyfikacje. „Ta carska twierdza – mówi – budowana na wzór Modlina, Dęblina, Warszawy. Budowla, którą – i to jest paradoks historii – wschodni najeźdźca stworzył dla siebie pod koniec XIX wieku, żeby bronić się przed Niemcami. Nieczynna od 1909 roku. To miejsce doskonale do obrony pomogło naszym. Mieli do dyspozycji koszary, schrony, kaponiery, podziemną komunikację, a wszystko w obwarowaniu na długości półtora kilometra. Wały, fosy, drogi do szybkiego przerzutu wojsk czy zaopatrzenia. Wojskowe miasteczko nie do zdobycia przy rozsądnym dowodzeniu i dużej woli walki”.

Z oddali patrzymy na mury porośnięte trawą. Myślę o tym, jak wiele par przyjeżdża tu z dala od wścibskich oczu wyznawać sobie miłość, leży w trawie wygniecionej przez przeszłość, wymiętej historią, pomalowanej krwią ofiar. Jak lekko wró-cić do czasów sto lat później, nie widzieć mizernej twarzy tamtego Mateusza, dojrzewającego szybko u boku tych, których musi zabić, żeby przetrwać. „Właściwie forty nigdy nie zostały zdobyte – ścisza głos Grzegorz, jakby czuł co właśnie w tej chwili próbuję sobie wizualizować. -Twierdza skutecznie broniła się do 1 sierpnia i mogła nadal, ale bolszewicy złamali obronę z drugiej strony, pod Nowogrodem i trzeba było obrońcom z Piątnicy wycofać się do okopów na Krasce”.

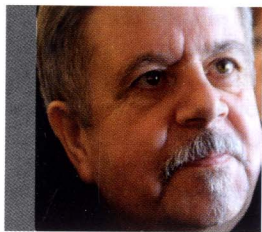
Chcę tu zostać na chwilę sama, więc oddalam się pod pozorem. Kiedy znikam z oczu Grzegorza kładę się na moment, niebo nade mną ma naj-czystszy kolor błękitu, cumulusy są jak wata cu-krowa. A lęk? Lęk współczesnej matki ma kształt kleszcza, który może zaatakować dziecko, mojego Mateusza, który leży obok, zmęczony czekaniem na strzały wroga podchodzącego coraz bliżej. Widzę go spod przymkniętych powiek, jak słu-cha rozkazów dowódcy, jak cieszy z umocnień betonowych, w których może się skryć, bo są nie-widoczne dla innych, jak kryje się przed gradem śmiercionośnych kulek. I jak myśli o Klaudii, pijąc cieką zupę na obiad z menażki o jej twarzą.

Forty w Piątnicy. Jakaś podlasko-mazurska forma Muru Chińskiego, która zatrzymuje wroga. Cud techniki, który pozwala siedzieć bezpiecznie na górze i w okopie, panować nad okolicą, być za-krytym w przeciwnieństwie do nieprzyjaciela, któ-ry zbliża się po płaskim jak kartka terenie. Spokoj-nie osadzone tuż przy brzegach Narwi, która otula tę ziemię jak kokardka we włosach dziewczynki, która nadchodzi z oddali. Słyszę ją, jej dziecięce pytania kierowane do mamy. Muszę wstać, po południu coraz więcej tu ludzi, przychodzą od-począć w tej bajkowej scenerii. Grzesiek nadal sie-dzi w jednym z koszarowych, wielkich i pustych okien, scrolluje telefon, umawia się z kimś przez messendżera na wieczór. Zbieramy się, ostatecznie każde z nas dostało wszystko, co chciało: opowieść o walecznej drużynie 33 Pułku Piechoty, która za-trzymała bolszewików, dając Józefowi Piłsudskie-mu czas na zorganizowanie skutecznej obrony Warszawy. Lekcję wyobraźni pulsującej przeszło-ścią, z osobowym uczestnictwem w tamtym, daw-nym świecie. Drgnienie serca na widok menażki należącej do jakiegoś chłopca, dziwnie mi bliskie-go. Zapach łąki, kryjącej tajemnice, krew, pamiąt-ki z wojny sprzed stu lat. I spokój letniego dnia, bez konieczności umierania za ojczyznę.

Wsiadając do samochodu Grzesiek rzuca, że nie rozumie siły, która go tu ciągnie, ale pewnie za kilka dni znowu tu wróci. Kiedy zjeżdżamy z górki, słońce nagle chowa się za chmury i jestem pewna, że widzę szczupłego chłopaka w mundurze, któ-ry szuka czegoś w trawie. Na moment nasze oczy spotykają się pomiędzy dwoma przestrzeniami – widzialną i niewidzialną, tą i tamtą. Widzę w nich pytanie: „Czy nie widziała pani mojej menażki?”

DOROTA SOKOŁOWSKA

📷 Wawrzyniec Kłosiński



WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI

Bolesna ta cisza po Jurku

23 lipca 2020 roku zmarł w Łomży Jerzy Piotr Szczechowski. Miał 54 lata. Niemal każdego dnia na tablicy przed Katedrą pojawiają się kolejne klepsydry z nazwiskami łomżyńiaków, wezwanych do wieczności. Dla jednych znani, bliscy, dla innych zupełnie obcy... Także obok tej klepsydry wielu łomżyńiaków przeszło obojętnie, bo któż znał Pana Jurka? Szczechowski? Nic mi to nie mówi...

1. Tak naprawdę znała go niemal cała Łomża. Każdego dnia z bratem Jankiem od rana przemierzali łomżyńskie ulice, z koszy na śmieci, ze śmietników, z osiedlowych kontenerów wybierając wszystko, co dało się zamienić na złotówki.

Widziałem ich jeszcze obu bodaj 20 lipca, na ulicy Chopina. 23 lipca z torbami na ulice miasta po raz pierwszy wyszedł już tylko Janek. Sam. Kurczy się ten doczesny panteon łomżyńskich osobowości...

2. Jako pierwszy o śmierci Jerzego Szczechowskiego na portalu www.4lomza.pl bardzo wzruszający tekst napisał red. Mirosław Robert Derewońko. Natychmiast pojawiło się pod nim mnóstwo komentarzy. Tylko niektóre z nich:

- Konrad Haponik: 45 lat mieszkam w Łomży i pamiętam ich od zawsze. Rodzice i synowie wrosli w historię miasta. Tak, skromni i pracowici ludzie. Świeć Panie nad Jego duszą.
- Bogumiła Gosk: Wzruszający tekst. Barwni i niezwykli bracia. Powinni mieć w naszym mieście mural!
- Prawie codziennie przechodzili koło mojego domu. Już nawet nauczyłem się rozróżniać ich głosy. A rozmawiali ze sobą zawsze bardzo głośno. Wiedziałem, kiedy mówił Jurek. A wczoraj widzę – idzie alejką sam Janek. Jakoś tak dziwnie cicho szedł obciążony torbami... Zabolęła mnie ta smutna cisza po Jurku...
- Patrycja Dąbkowska: Bardzo smutna wiadomość, jeszcze nie tak dawno widziałam ich razem na jednym z osiedli w Łomży, zawsze grzeczni. Nikomu nie przeszkadzała. Oni tworzyli historię naszego miasta.
- Dawid Adam Kozłowski: Brawa dla autora... Niesamowite, że w tych czasach, w których żyjemy – pościg za wszystkim tym co jest zbędne i cieszy jedynie oko, znalazła się osoba, która doceniła prawdziwe piękno. Niech spoczywa w pokoju...
- KM Rych Kmarzenia: Niech Bóg przegarnie go do swojego królestwa, znałem ich tyle lat, mało jest takich ludzi którzy nigdy nie zrobili nikomu krzywdy, niech spoczywa w pokoju...



Jerzy Szczechowski (z lewej) z bratem Janem na obrazie olejnym Teresy Adamowskiej „Na Starym Rynku”, (fragm.), 2018 r.

- Ewa Grabowska: (*)... Niech spoczywa w spokoju.. Szkoda mi tego młodszego brata, oby sobie poradził w tych i tak ciężkich czasach.
- Renata Burzyńska: Jeszcze nie tak dawno widziałam ich razem. Całe życie myślałam, że to bliźniaki. Pokój Jego duszy...
- Ania Anchimiuk: „Niech aniołowie zawiodą Cię do raju...” Bardzo mi przykro... blondloczek: Ci ludzie to przemijające wraz z bezlitośnie upływającym czasem społeczne symbole tego miasta. Pomimo, że osobiwi

i niewiele znaczący, paradoksalnie odcisnęli piętno swoim przyziemnym bytem. A nie byli jedynymi w swoim rodzaju (...)

• lewitan: Proponuję, założmy wątek na forum dotyczący osób podobnych braciom Szczechowski i innych, którzy wpisali się w historię Łomży, będących kolorytem naszego miasta (...). Wskazany by było pomyśleć o pomocy dla Pana Jana Szczechowskiego, który pozostał sam i należy liczyć się, że będzie w przyszłości potrzebował wsparcia. Nie muszę wspominać, że to byli uczciwi ludzie (...)



Grób rodzinny Szczechowskich na cmentarzu przy ul. Przykoszarowej.

📷 Wawrzyniec Klośński

3. Przez wiele lat jedną z najbliższych sąsiadek Szczechowskich w bloku przy Wiejskiej 5 była pani Zofia Bieniek:

– Państwo Szczechowscy mieszkali na ulicy Wiejskiej 5, zdaje się na pierwszym piętrze. W czasie wojny oboje przeżyli obóz koncentracyjny. Niestety, nie wiem który. Prawdopodobnie tam się zapoznali. Wiem na pewno, że w tym obozie byli poddawani różnym eksperymentom medycznym. Być może te właśnie doświadczenia wywarły wpływ na ich synów. O rodzicach nie można powiedzieć, że byli niepełnosprawni, upośledzeni. Pan Szczechowski na przykład bardzo ładnie się wypowiadał, posługiwał się bardzo wyraźną, polską mową. Ona też mówiła normalnie.

Pan Szczechowski początkowo pracował jako karawaniarz. Był zatrudniony przez księży przy katedrze. Długie lata jeździł tym karawanem, zaprzęgniętym w konia. Skoro został dopuszczony do powożenia karawanem, to znaczy, że na umyśle musiał być zdrowy. Trwało to do czasu, kiedy karawan konny został zastąpiony samochodem. Pan Szczechowski stracił pracę. Zatrudnił się w gospodarce komunalnej, przy sprzątanu. Oboje sprząтали. Bardzo pilni w pracy. Bardzo czyste było podwórko i piwnice wszystkie wyczyszczone. Nigdy nie było butelek... To były czasy, kiedy makulatura była w cenie, szmaty oddzielnie, no i oczywiście butelki, szkło... Wszystko to zbierali, dostarczali do skupu. Proszę sobie wyobrazić, że za tak zarobione pieniądze Szczechowski kupił mieszkanie na rogu ul. Pięknej. Nie wiem jak wielkie, ale tam ostatnio obaj bracia mieszkali.

Ojciec nie palił papierosów, nigdy go nie widziałam z papierosem. Natomiast młodszy syn palił, zawsze papieros wisiał mu przy ustach...

Wcześniej byli naszymi sąsiadami, mieszkali w naszym bloku, w trzeciej klatce. Niestety, żyło im się bardzo ciężko, biednie. Nie płacili czynszu, więc przeżyli eksmisję. Dobrze, że mieli to mieszkanie na Pięknej...

Państwo Szczechowscy bardzo dbali o obu chłopców, bardzo ich kochali. Pracowałam w szkole nr 8 – to szkoła specjalna – więc widziałam. Przede wszystkim matka utrzymywała ich bardzo czysto. Prała bardzo często. Gdy przychodzili do szkoły, widać było wyprane ubrania. To były początki, kiedy w Polsce zaczęły pojawiać się jeansy. Zbierając różne odpady, z pewnością trafiali też na dobre ubrania. Wykorzystywali je dla dzieci i dla siebie. Wyjątkowo zadbane, czyste, oprane, nie widać było najmniejszego brudu... Kiedyś raz trafiłam też do ich mieszkania, bo potrzebowałam jakiegoś naczynia i wiedziałam, że oni mają. Też nie widziałam tam żadnych brudów, było czysto, porządek był. A dbałość o dzieci to była nadzwyczajna!

Zawsze obu chłopców ojciec odprowadzał do szkoły, pamiętam – zawsze z laską. Jeśli było wszystko w porządku, zostawiał ich przed szkołą i wracał do domu. Ale niech tylko któryś chłopiec poskarżył się, że ktoś mu dokuczał, no to i my, nauczyciele mieliśmy się już „dobrze”, bo już z tą „laską” szedł, a ten, który załatwiał chłopcom za skórę uciekał, bo ojciec rozprawiał się z nim. My otaczaliśmy biedaka, tłumaczyliśmy ojcu, że załatwimy sprawę, wyciągniemy konsekwencje, żeby załagodzić... Postawa pana Szczechowskiego przynosiła taki efekt, że wszystkie dzieci musiały z jego synami obchodzić się dobrze.

Kiedyś widziałam, jak ich mama z ojcem sprzątała to nasze podwórko. W pewnym momen-

cie słyszę taką rozmowę: „Jurek, nastaw garnek wody. Jak zacznie się gotować włóż kielbasę, a my za pół godziny przyjdziemy z ojcem na jedzenie”. Świadczy to o tym, że chłopcy potrafili wykonywać różne czynności. Obaj w szkole uczęszczali do „klasy życia”. Na lekcjach w innych klasach dzieci zapisały temat, uczestniczyły w jakichś rozmowach, czegoś tam uczyły się. Natomiast w „klasie życia” uczniowie uczą się kwestii manualnych – wszystkiego, co można zrobić rękami. Uczono ich m.in. gotowania, jak jeść przy stole, jak posługiwać się nożem, widelcem, jak pić herbatę... To były zajęcia w kuchni, zajęcia z nimi miała pani Pieńkowska, rok ode mnie starsza...

Rodzice chodzili do kościoła. Byli wierzący i wydaje mi się, że kościół mógł się nimi trochę bardziej zająć...

Pan Szczechowski był bardzo uprzejmy, nie przeszedł, żeby nie zapytać o coś, zawsze przede wszystkim „dzień dobry”, z uśmiechem... Ludzie ich szanowali za to, że tak potrafili dbać o porządek, za ich pracowitość.

Jeśli chodzi o chłopców, to byli zawsze grzeczni i posłuszni. Starszy, Piotr Jerzy – wydaje mi się – był bardziej niepełnosprawny. Przede wszystkim był bardzo głuchy. Prawie zupełnie nie słyszał, nawet kiedy ktoś tuż obok niego głośniejsz stuknął, to on nie reagował. Młodszy Janek słyszy lepiej, bardziej reaguje, natomiast bardzo trudno zrozumieć jego mowę. Starszy zawsze kłaniał mi się, „dzień dobry” – niewyraźnie, ale mówił. Młodszy – nigdy się nie kłaniał. Natomiast bardziej pracowity. Grzebie w tych śmietnikach, koszach, wszystko co się nadało segregował, wrzucał do torby. A starszy – nie. Stał, ręce w kieszeniach – zawsze śmialiśmy się, że był „szefem” tego młodszego. Potem już razem pakowali to do worków i nieśli do sklepu. I też z tego mieli jakieś grosze, pewnie nie za duże... Mieli też swoje renty.

Jakieś nieszczęście wisiało nad tą biedną rodziną. Matka zginęła w wypadku samochodowym. Nie wiem jak do tego doszło, bo wtedy przebywałam w Stanach Zjednoczonych. Wiem tylko tyle, że gdzieś przechodziła przez ulicę, uderzył w nią samochód. I koniec... Odeszła jako pierwsza i to też miało wpływ na dalsze życie całej rodziny. Ojciec starał się jak mógł, opiekował się chłopakami, chodził na zakupy...

Ludzie widząc, że są zdrowi i dają sobie radę, mało się nimi interesowali... Trochę za mało... A przecież trzeba było do lekarzy z nimi, zbadać, pomóc im w życiu, otoczyć jakąś opieką...

Zawsze dobrze, zdrowo wyglądali, a szczególnie Jurek, który zmarł. W największy mróz zawsze rozpięty pod szyją, kurtka też rozpięta, z gołą głową... Bardzo rumiany na twarzy. Zawsze w dżinsach, w dżinsowej kurtce...

W ostatnich dniach ktoś spotkał tego Jurka. Czuł się bardzo źle. W mieszkaniu ogromna duszność, okna pozamykane... Bracia nie wiedzieli po prostu jak reagować na objawy choroby, jak sobie pomagać...

4. Artysta plastyk Teresa Adamowska wspólnie wykorzystwała daną jej przez Opatrzność szansę uwiecznienia najbardziej znanych

przedstawiciele łomżyńskiego „panteonu”. Na wystawie w Galerii Sztuki Współczesnej łomżniacy zachwycali się wiernym oddaniem przez Mistrznię zapomnianych już niemalże postaci, m.in. „Babci Pomoc”, „Hitlera”, „Tydyrtyki”... – Dawno temu zamierzałam namalować chłopaków. Miałam aparat exakta, a reporterskie zdjęcia nie były moją mocną stroną.

W roku 90, może 91 kupiłam szybszy elektroniczny aparat w nadziei, że ich „złowie”.

Powstał jednak problem moralny – jak to zrobić, tak z ukrycia, czy bezczelnie patrząc w twarz? Mijał czas niespełnionych zamiarów, aż wreszcie chłopaki na początku 2018 roku zaczęli Przemka wychodzącego z katedry. Uznając męża za kogoś ważnego, w poczuciu odpowiedzialności społecznej, zaczęli skarżyć na jakiegoś pracownika, który „tylko udaje, że pracuje”. Przemek, nieco zdezorientowany, uprzejmie wysłuchał i chcąc zmienić temat zaproponował im zdjęcie, uczciwie informując, że ma żonę malarkę, która chciałaby ich namalować. Chłopaki ucieszyli się z propozycji i chętnie ustawili się do zdjęć.

Na jesień tego roku miałam zaplanowaną wystawę wraz z Heniem Osickim i Maćkiem Czyżewskim w Galerii Sztuki Współczesnej. To było jak zrządzenie losu, ponieważ temat cyklu obrazów miał dotyczyć łomżyńskich legendarnych postaci. Ich wizerunki w moim obrazie zaistniały na łomżyńskim rynku – oni dyskretnie kolorowi na tle szarego, anonimowego tłumu.

Książd Proboszcz widywał ich w katedrze często. Przychodzili na modlitwę. Kiedyś sam doświadczył ich odpowiedzialności, wrażliwości, postawy prospołecznej. W koszu na śmieci znaleźli zaginione dokumenty. Bez trudu zidentyfikowali właściciela i wszystko, co znaleźli, dostarczyli do kancelarii parafialnej...

5. Red. Mirosław R. Derewońko: „W kondukcje zmierzamy chodnikiem ulicy Przykoszarowej za karawanem z trumną do głównej bramy nowego cmentarza. Słonecznie, zielono, pusto – nie tylko w okolicy, ale i w myślach, i w sercu, że to ostatnia droga razem z Panem Jerzym Piotrem... „W krainie życia będę widział Boga” – śpiewamy smętnie w Jego i swoim imieniu słowami psalmisty, wspinając się długo i w powadze po rozwidleniach alejek cmentarnych. Na szczycie czeka grób rodzinny. Starszy Syn spocznie w jednej ziemi z rodzicami: mamą Jadwigą Szczechowską (+56), zmarłą w 1989 r. po potrąceniu w wypadku samochodowym oraz tatą Piotrem Szczechowskim (+ 78), zmarłym w 2000 r. „Niech Bóg da Tobie pic ze źródła wody życia...” – życzy Zmarłemu i Jego Duszy w naszym imieniu Ojciec Kapucyn”.



KRISTYNA BORKOWSKA

Sobie stworzeni, ludziom przeznaczeni (2)

Dokończenie z poprzedniego numeru

Siedemnaście dni po natarciu Niemców na Polskę zaczęły nadciągać od strony wschodniej wojska stalinowskie. Zaczęto brać do niewoli żołnierzy wojska polskiego. Był wśród nich również Stanisław Borkowski. W tymczasowych obozach sowieci starali się identyfikować i oddzielać oficerów wojskowych i policyjnych od szeregowców. Proponowali im, by sami się zgłaszali, zapewniając o lepszych warunkach obozowych i lepszym wyżywieniu. Stanisław – jak i wielu oficerów – nie uwierzył w te obietnice i nie zgłosił się. Od zagłady uratował go kożuszek, który miał ze sobą i wcześniej zamienił go na strój cywilny. Tym samym uniknął rozpoznania. Jak się później okazało, 20 tys. polskich oficerów wojskowych i policyjnych wywieziono do obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie i słuch po nich zaginął. Chodziły pogłoski po obozie, że więzionych polskich żołnierzy zamknięto w barkach i utopiono gdzieś w rosyjskim jeziorze. Zwłoki 4500 oficerów odkryto po latach w lesie w Katyniu.

Dzięki Bogu Stanisław ocalał z sowieckiej niewoli. Według dokumentów z brytyjskiego ministerstwa obrony narodowej, przekazanych kilka lat temu na prośbę syna Kazimierza, w jego „Wykazie służby” odnotowano, że jego niewola w Związku Radzieckim zaczęła się 20 września 1939 roku. Wtedy właśnie został aresztowany przez NKWD we Włodzimierzu, a potem wywieziony do obozu „Karakub” na wschodniej Ukrainie, w pobliżu obozu Starobielsk w rejonie donieckim. Tam przebywał do 10 czerwca 1940 roku. Został przetransportowany do obozu „Siewżeldorlag” w rejonie Komi w północnej Rosji do prac przymusowych w leśnictwie. Miesiąc po wybuchu wojny między hitlerowcami i sowietami, 18 lipca 1941 roku, NKWD przewiozło go do obozu „Juża” koło Kuibyszewa w centralnej Rosji. 28 sierpnia 1941 roku zwolniono go z niewoli. Wyruszył do Tatiszczewa w południowej Rosji, gdzie gromadziły się tworzone przez gen. Andersa oddziały wojsk polskich.

Po napadzie hitlerowców na Rosję w czerwcu 1941 r. (kampania pod nazwą Barbarossa) alianci zachodni i rząd Polski na uchodźstwie w Londynie zwrócili się do Stalina, by uwolnił z niewoli polskich oficerów wojskowych i policyjnych.

Niestety, większość została bestialsko zgładzona, więc Stalin wymyślił historyjkę, że prawie wszyscy uciekli, rozproszyli się po Syberii i nie można ich znaleźć. Ci, którzy „nie uciekli” – w większości żołnierze szeregowi, wśród których znalazł się również Stanisław – rozpoczęli długą drogę do północnego brzegu Morza Kaspijskiego, gdzie według pogłosek miała powstawać armia polska pod dowództwem generała Andersa. Iskra nadziei zapaliła się w sercach żołnierzy. Wycieńczeni, niedożywieni, na nowo podjęli ćwiczenia wojskowe, by być sprawnymi, dobrymi żołnierzami.

Stanisław dotarł do polskiego obozu „Wiązники” w Tatiszczewie. 5 września 1941 roku wstąpił do polskiej armii. Po 9 dniach ćwiczeń został wcielony do Dywizjonu Kawalerii przy 5 KDP i przydzielony do 2-go Szwadronu, a miesiąc później został zaliczony do grupy podoficerów zawodowych. W grudniu 1941 roku rozpoczął kurs doskonalenia kadry podoficerskiej, a po przewiezieniu do Iranu, z początkiem 1942 roku, dokończył szkolenie i awansował do stopnia plutonowego. Nauczył się także prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Żołnierzy polskiego II Korpusu przewieziono okrętami przez Morze Kaspijskie do Persji. Tam zostali wyposażeni w mundury wojskowe odzyskane z okrętu alianckiego, zatopionego w akcji wroga na Morzu Czerwonym. Korpus rozpoczął szlak na zachód, przemierzając Iran, Irak, Jordanię, Palestynę i Egipt. Stanisław został przydzielony w dniu 17 kwietnia 1942 roku do 1 Szwadronu Rozpoznawczego 5 KDP i tam służył do 25 października 1942, gdy przeniesiono go do 1 Dywizjonu Przeciwpancernego Zmechanizowanego przy 4 Pułku Artylerii Lekkiej 5 KDP. Tydzień później zachorował na malarię i został odesłany do obozu chorych na 6 tygodni. 16 grudnia 1942 roku wrócił do służby wojskowej. Pod koniec maja 1943 roku jeszcze raz dopadła go malaria i przebywał w obozie chorych do 14 czerwca 1943 roku. Po trzech miesiącach został skierowany na kurs walki górskiej. W październiku powrócił do 1 Dywizjonu Przeciwpancernego, a cztery miesiące później rozpoczął służbę na froncie we Włoszech. Po zajęciu Sycylii i wylądowaniu sił alianckich na ziemi



Stanisław, Janina i Kazio w Bradford (UK), wrzesień 1986

włoskiej, polski II Korpus został przydzielony do brytyjskiej 8 armii pod dowództwem generała (później marszałka) Bernarda Montgomery. Bardzo trudnym terenem do zdobycia był klasztor na Monte Casino, toteż poprzednie próby zajęcia tego bastionu przez aliantów nie przyniosły rezultatu. Alianci stracili w nich około 20 tys. żołnierzy, a 50 tys. żołnierzy zostało rannych. Bombardowanie klasztoru nie było skuteczne, gdyż w wyrwach od bomb ukrywali się niemieccy żołnierze z karabinami maszynowymi.

Podjęto decyzję, by to Polacy poszli do ataku. Walki polskich żołnierzy trwały do połowy maja 1944 roku. Brał w nich czynny udział Stanisław Borkowski. Żołnierze II Korpusu odnieśli zwycięstwo, zajmując klasztor i góry wokół Cassino, przebijając niemiecką linię obrony. Wśród polskich żołnierzy również były duże straty – 2500 osób rannych i ponad 1000 zabitych. Stanisław przez resztę wojny przeszedł bez większego uszczerbku na ciele, czego nie można powiedzieć o zranionej duszy. Walczył na froncie do 6 listopada 1944 roku, kiedy to uległ wypadkowi – potrafił go opancerzony pojazd. Został skierowany do szpitala, a 11 listopada przeniesiono go ewidencyjnie do stacji zbornej, później do batalionu zasilenia przy 17 Pułku Artylerii. 22 lutego 1945 roku został odznaczony Krzyżem Monte Cassino. Do końca służby, czyli do 2 maja 1945 roku, był na froncie we Włoszech. Otrzymał jeszcze kilka innych odznaczeń, m.in. Gwiazdę za Wojnę 39-45, Gwiazdę Italii, Medal Wojny 39-45, Medal Obrony Brytanii, Medal Wojska Polskiego, Brązowy Krzyż Zasługi.

Wojna toczyła się dalej i polski II Korpus kontynuował swój marsz na północ, wzdłuż „buta” włoskiego. Z końcem walki w Europie, w maju 1945, Stanisław znalazł się w mieście Rimini nad Morzem Adriatyckim. Na początku 1946 roku wraz ze swoją jednostką został przewieziony do Anglii. 21 czerwca 1946 roku został mianowany ogniomistrzem i umieszczony w obozie wojskowym w pobliżu miasta Cheltenham w zachodnio-południowej Anglii. Rozpoczął się powolny

proces demobilizacji. Polskim żołnierzom proponowano powrót do ojczyzny, jednak mało kto podjął taką decyzję. Polska była w dalszym ciągu pod okupacją sowiecką, a poprzednie doświadczenie z sowietami wskazywało na to, że nie ma Ojczyzny, do której można bezpiecznie wracać, dlatego wielu żołnierzy postanowiło zamieszkać w Anglii. Część żołnierzy rozjechała się po całym świecie, przeważnie do Kanady, Australii czy też do Stanów Zjednoczonych.

Stanisław jako były policjant zapisał się 20 stycznia 1947 roku do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia i tam został przydzielony do służby. W tym samym czasie przygotowywał się do życia cywilnego w nowej rzeczywistości. Jednym z zajęć przygotowawczych była nauka języka angielskiego. Był sumiennym i dobrym uczniem, ale też skromnym, dokładnym i... nieco wstydliwym. Mówił po angielsku tylko wtedy, gdy był pewien słownictwa i gramatyki, gdy nie miał pewności, wołał nic nie mówić. Kiedyś w czasie nauki przeżył niezapomnianą przygodę. Wracał z kolegami z kursu ze słownikiem angielsko-polskim pod pachą. Postanowili kupić mięso z królika na gulasz. W słowniku nie mogli znaleźć wyrazu „królik”. Podchodząc do sklepu mięsnego, znaleźli w słowniku najbliższe słowo „król”, czyli w tłumaczeniu angielskim „king”, inaczej monarcha. Jakże wielkie było zaskoczenie i zdziwienie rzeźników, kiedy usłyszeli, że klienci potrzebują „króla” na gulasz!

6 sierpnia 1948 roku Stanisław został przeniesiony do klasy „W” rezerwy Armii Królewskiej jako starszy sierżant, a 19 stycznia 1949 roku, z końcem służby w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia, jego demobilizacja dobiegła końca.

Rozpoczęło się życie cywilne, trzeba było poszukać pracy. Propozycja była do kopalni węgla, ale praca pod ziemią nie odpowiadała Stanisławowi. Znalazł pracę przy tkactwie wełny. Osiedlił się w Bradford w hrabstwie Yorkshire. To tu właśnie w sali parafialnej przy kościele, na jednej

z potańcówek, poznał swoją przyszłą żonę Janinę Wysocką.

Jako tkacz pracował przez trzy lata, jednak do tej pracy bardziej były potrzebne kobiety. Zmienił pracę, zatrudnił się w fabryce produkującej części samochodowe oraz łopatki do turbin. Jako człowiek zdolny i dokładny sprytnie ustawiał swoją tokarkę, jak również pomagał współpracownikom. Pracował w tej fabryce do czasu przejścia na emeryturę w 1978 roku. W nagrodę, na jubileusz 25-lecia pracy, otrzymał złoty zegarek, z którego był bardzo dumny.

Lata leciały... Syn Kazimierz, który skończył studia farmakologiczne, pracował na uniwersytecie jako wykładowca i dalej pisał się w sferze naukowej. W 1979 roku skończył doktorat i został przyjęty do kadry profesorskiej University of Leicester. Opuścił dom rodzinny i kupił dom w zabudowie szeregowej w Leicester, 180 km na południe od Bradford. Stanisław lubił tam przyjeżdżać, pomagał synowi przy odnawianiu mieszkania, opiekował się ogrodem, dbał o trawnik oraz grządki z kwiatami i warzywami. Mama Kazika też lubiła tam przebywać, zwłaszcza gdy miała urlop. Podczas któregoś pobytu u syna, kiedy to Stanisław chciał odświeżyć klatkę schodową, zakręciło mu się w głowie i stoczył się po schodach. Dzięki Bogu nic sobie nie złamał, ale poobił się i potłukł sobie żebra. To zdarzenie już wtedy zapowiadało udar mózgu, który dopadł go kilka lat później...

W 1984 roku Kazikowi zaproponowano stanowisko w laboratorium ICI Pharmaceuticals przy pracach badawczych i produkcji leków w Alderley Park w hrabstwie Cheshire. Zapowiadała się znowu przeprowadzka, gdyż kupił dom z ogródkiem i garażem w miasteczku Macclesfield, by mieć blisko do pracy. Teraz do domu rodzinnego było około 105 km. Rodzice znowu służyli mu swoją pomocą przy odnawianiu wnętrza domu i przy doglądaniu obejścia. Stanisław lubił tam sobie wypoczywać na leżaku, ustawionym na patio w tylnym ogrodzie, który był osłonięty sporym płotem.

Kazik wybrał się na miesięczny urlop do Kanady do swojej matki chrzestnej. Nie był tam nigdy wcześniej. Chciał również odwiedzić Jarosławę Peczeniuk, przyjaciółkę swojej mamy z lat okupacji i obozu przymusowej pracy, która po przyjeździe z Niemiec do Anglii zdecydowała się wyjechać z mężem na stałe do Kanady. Osiedla w mieście Sudbury, na północy prowincji Ontario, wychowała 3 córki. Przyjaciółki utrzymywały ze sobą cały czas kontakt listowny, wiedziały o sobie dużo. Marzyły, by ich dzieci się poznały i połączyły się ich rodziny. Sława z rodziną odwiedziła Janinę w jej domu w Anglii, ale do spotkania z Kazikiem nie doszło, był wtedy na wyjeździe służbowym w Belgii. Postanowił, że będąc w Kanadzie, postara się spotkać i poznać córki przyjaciółki matki. Zadzwoił do nich. Najmłodsza, Zorika, wieczorem przyjechała do domu Kseni, matki chrzestnej Kazika. W progu domu stanęła radosna, uśmiechnięta, śliczna dziewczyna, która przyjechała sportowym samochodem, gotowa do pomocy w zwiedzaniu Kanady. Szybko znaleźli wspólne tematy. Oboje mieli przygotowanie medyczne: ona była

farmaceutką, on naukowcem w dziedzinie chorób serca. To był prawdziwy strzał Amora, który szybko zrobił swoje. Zaręczyli się i w 1986 roku wzięli ślub w Kanadzie, gdzie osiedlili się na stałe. Kazik przez lata prowadził z zespołem badania nad wynalezieniem leków na miażdżycę, nadciśnienie i na udar mózgu. Jeździł z konferencjami po całym świecie. Był bardzo cenionym szefem, otwartym, lubianym przez swoich podwładnych.

W 1991 roku na świat przyszła ich jedyna córka Emma, która poszła w ślady swoich rodziców. Od ubiegłego roku jest już doktorem nauk weterynaryjnych. Od lat dziecięcych kochała zwierzęta, lubiła im pomagać i opiekować się nimi. W domu zawsze było pełno zwierząt: psy ze schroniska, gdzie w wakacje pracowała jako wolontariusz, papużki, rybki w kilku akwariach. Najlepsze jej zabawki to miniaturowe zwierzęta, które były chyba z całego świata.

Stanisław po ciężkiej chorobie, jaką był drugi udar, nie odzyskał przytomności. Janina przez siedem tygodni była przy nim codziennie w szpitalu. Kazik po ślubie z Zoriką Peczeniuk przebywał na stałe w Kanadzie, jednak wrócił do Anglii, by być przy ojcu i wspierać swoją mamę w tych trudnych chwilach. Urlop jednak się kończył, więc musiał wrócić do Kanady. Już nic nie można było pomóc.

Stanisław zmarł 13 czerwca 1987 roku w Bradford, w obecności swojej żony Janiny i siostry ciotecznej Wandy, która od lat przebywała w Anglii. Jego zwłoki spoczywają wśród kolegów z wojska, współpracowników i znajomych w polskiej części ogromnego cmentarza North Bierley w Bradford. Na pogrzebie, oprócz najbliższych, było cioteczne rodzeństwo Wanda i Adam oraz wielu znajomych i przyjaciół, którzy przyszli wrzucić do grobu garstkę ziemi, przywiezionej z rodzinnego Jednaczewa, by mógł spoczywać w ziemi ojczystej.

Po śmierci Stanisława Janina została sama w Anglii. Syn z synową mieszkali w Kanadzie. Co prawda miała tu siostrę cioteczną męża Wandę, jej córki Hanię i Krysię oraz wielu przyjaciół i znajomych, ale sama myślała, że syn daleko przeżył ją. Było jej coraz trudniej zajmować się domem w Bradford. W kwietniu 1989 roku sprzedała dom i wyjechała do Kanady, do syna i jego żony Zoriki. Pomagała i opiekowała się wnuczką Emmą, by rodzice mogli w spokoju pracować. Była bardzo ciepłą i troskliwą babcią. Gdy Emma poszła do szkoły, Zorika zrezygnowała z pracy, by się nią opiekować, czyli odwozić do szkoły, pomagać w lekcjach, uczestniczyć w życiu szkolnym. Kazimierz był ciągle w podróżach po świecie. Kupili sobie piękny dom z ponadhektarowym ogrodem około 70 km od Toronto, który stał się dla nich oazą spokoju.

W 1998 roku, tuż przed Wielkanocą, po 28 latach od ostatnich odwiedzin, Kazik ze swoją rodziną i z mamą Janiną wybrali się do Polski na 2 tygodnie. Cóż to było za spotkanie! Każdy choć na chwilę chciał ich gościć u siebie. Triduum Paschalne przeżywaliśmy w kościele pw. Krzyża Świętego w Łomży, jeszcze wtedy w ciasnej kaplicy, wśród wielkiego tłumu ludzi. Ale to dla nas wszystkich było piękne przeżycie modlitewne. Wychodziliśmy do kościoła wcześniej, by zająć

miejsca siedzące, a zwłaszcza, żeby Janina mogła usiąść. Wtedy usłyszałam, jak Kazik pięknie i donośnie śpiewa pieśni liturgiczne podczas nabożeństwa. W sobotę z rana wszyscy pojechaliśmy wypożyczonym busem do kościoła na poświęcenie pokarmów, a potem w krótkie odwiedzin do cioci Janiny Cymek w Jednaczewie.

Wigilia Paschalna z Rezurekcją odbyła się o północy w Wielką Sobotę. Również wszyscy w niej uczestniczyliśmy. Po powrocie z kościoła wcale nam się nie chciało spać, rozpoczęliśmy świętowanie Wielkiej Nocy. Na śniadanie wielkanocne pojechaliśmy do Jednaczewa, do domu rodzinnego ojca Kazika. Zjechały się wszystkie dzieci Wojciecha z rodzinami oraz siostry: Janina z rodziną z Jednaczewa i Halinka z córką z Sopotu. Wspomnieniom, wzruszeniom, radościom nie było końca, a że pogoda była piękna, prawdziwie wiosenna, spotkanie przeniosło się na świeże powietrze. Młodzi wybrali się na spacer po Jednaczewie, w stronę łąk i lasu, a seniorzy zostali w domu, by móc w spokoju porozmawiać, nacieszyć się sobą. To był piękny, niezapomniany czas dla wszystkich. Z długiego spaceru po lesie i łąkach był powrót ze śpiewem furmanką. Takich chwil się nie zapomina. Dni leciały szybko, codziennie odwiedzaliśmy kogoś z rodziny, ale całej rodziny pragnieniem było to, żeby się spotkać wszyscy razem. Zaplanowaliśmy takie spotkanie na dziadkowej łące, tak zwanym „zapiecku”, na polance przy lesie w Jednaczewie.

Zjechali się wszyscy z całej rodziny, nikt się nie czuł skrępowany, każdy coś przyniósł ze sobą. Rozpaliliśmy ognisko, zrobiliśmy grilla i zaczęła się zabawa. Popisom i radościom nie było końca. Każdy chciał się zaprezentować z artystycznej strony, a że w rodzinie śpiew jest ważnym towarem życia, repertuar był bardzo szeroki – od piosenek biesiadnych do patriotycznych. Kazik zaśpiewał piosenkę o Franciszce, chyba z osiem zwrotek. Znał ją jeszcze z harcerstwa. Spotkanie

zakończyło się około północy, a rano był wyjazd na lotnisko. Kazik z żoną Zoriką i mamą Janiną zapowiedzieli, że będą nas częściej odwiedzać w Polsce, co było dla nas wielką radością.

Kazik wyznał, że po śmierci ojca poczuł wielką pustkę i tęsknotę. Dotarło do niego, że jest jedynym i najstarszym Borkowskim z pierwszego pokolenia i czuł potrzebę podtrzymania więzi rodzinnych. Jednocześnie czuł odpowiedzialność za rodzinę, wpojona przez rodziców. Cieszył się, że nie zmarnował tego, czego się nauczył w młodości – mowy polskiej.

Cała rodzina jest mu wdzięczna za możliwość zbliżenia się do siebie, za spotkania, rozmowy, doradzenie, za bycie razem w radosnych i smutnych chwilach. Janina przez dziesięć lat co roku przyjeżdżała do nas na kilkutygodniowe wakacje i to był zawsze piękny i oczekiwany czas dla całej rodziny.

Po kilku latach przylecieli do nas w komplecie na uroczystość zaślubin kuzynki. Potem jeszcze na uroczystości ślubne naszego syna, ale już w okrojonym składzie – tylko Kazik z córką, stryjenka Janina nie miała sił na tak męczącą podróż.

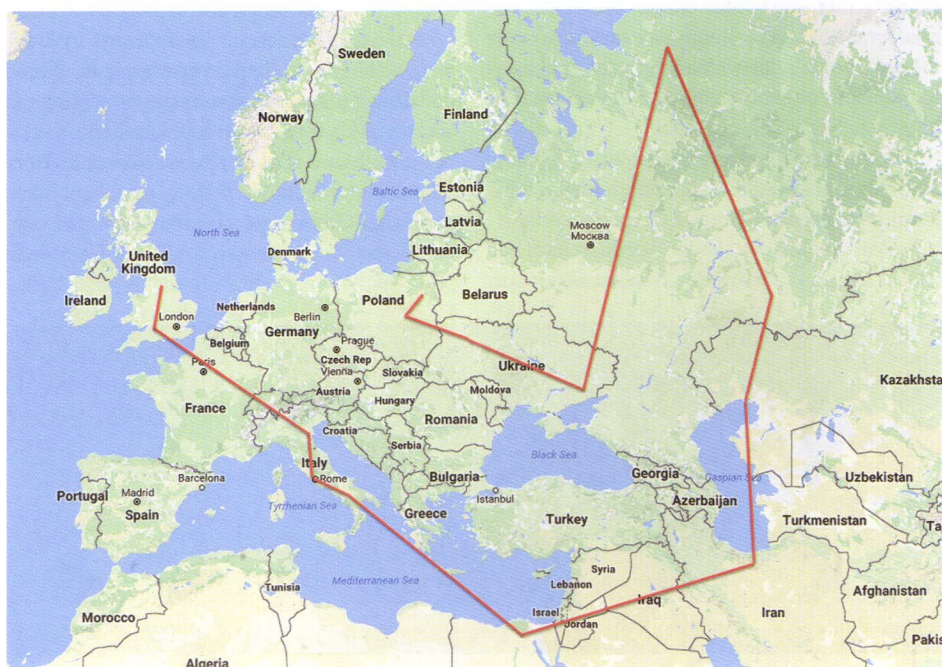
Nam również udało się być kilka razy w Kanadzie, gdzie byliśmy bardzo serdecznie przyjmowani. Dziękujemy Wam.

Śp. Janina Borkowska zmarła 20 marca 2020 roku w Kanadzie, przeżywszy prawie 94 lata. Opatrzona została sakramentami i przygotowana do spotkania z Bogiem Ojcem. Życzyła sobie być spopieloną i pochowaną u boku swego męża Stanisława w Anglii, w Bradford.

W związku z sytuacją panującą na świecie w czasie pandemii COVID-19, ciało zostało spopielone, a pogrzeb odbędzie się po ustaniu pandemii.

Pozostawiła syna Kazimierza Ryszarda, synową Zorikę i wnuczkę Emmę.

Jest i pozostanie w naszych sercach, na naszych ustach, we wspomnieniach i w codziennej modlitwie.



Szlak Stanisława Borkowskiego między 1939 a 1946 r., zaczyna się w Polsce i kończy w Bradford



DR MARIA TOCKA

Operacji zmiany płci w 1934 roku poddał się mieszkaniec Łomży

Zbyt wiele kobiety w mężczyźnie...

PANNA NECH

„Nie jest mężczyzną w ścisłym znaczeniu tego słowa”, wielokrotnie myślał i obserwował swojego syna Nachmana piekarz z Łomży Tenenbaum.

W 1934 roku, kiedy Nachman skończył 18 lat, pojechał z nim do Warszawy do doktora Arona Orko Sołowiejczyka. Lekarz był znanym w stolicy chirurgiem, absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego (studia skończył z wyróżnieniem), na którym w 1898 roku uzyskał tytuł doktora. Miał wieloletnią praktykę. Był ordynatorem oddziału chirurgicznego w Szpitalu Żydowskim i założycielem zakładu patologii, którym kierował. Prowadził też prywatną klinikę pod nazwą „Lecznica dla chorych chirurgicznych i ginekologicznych dra A. Sołowiejczyka” przy ulicy Chmielnej 34. W jego klinice było 25 łóżek.

Tenenbaum z troską i niepokojem opowiadał o zachowaniach syna. Mówił, że Nachman posiada wiele cech kobiecych i według jego obserwacji „nie jest mężczyzną w ścisłym znaczeniu tego słowa”. Prosił doktora o pomoc. Lekarskie badanie potwierdziło przypuszczenia ojca. Lekarz stwierdził, że Nachman w 75 proc. jest kobietą. Zalecił przeprowadzenie operacji. Wyzначzył wizytę w swojej klinice.

Tenenbaum z synem wrócili do Łomży. Z niepokojem, ale i z nadzieją na zmianę, czekali na wyznaczony termin operacji.

Kilka tygodni później klinikę chirurgiczną w Warszawie opuściła urodziwa, młoda dziewczyna, pisała łomżyńska prasa. Piekarsz już nie miał syna. Miał córkę. W urzędzie meldunkowym w Łomży zostały załatwione formalności. W miejsce Nachmana w spisie mieszkańców umieszczona została Necha Tenenbaum.

Rok później Necha wyszła za mąż. W kolejnym roku zgłosiła się w klinice położniczej w Warszawie w zaawansowanej ciąży. Urodziła córkę!

„Zarówno matka jak i dziecko cieszą się jak najlepszym zdrowiem. Wiadomość o tym

niezwykłym wypadku wywołała olbrzymie zainteresowanie w sferach lekarskich oraz mieszkańców Łomży i okolicy”, pisał o niecodziennym wydarzeniu „Przegląd Łomżyński”.

PAN WITOLD

„Była panna Zofia Smętkówna, obecnie pan Witold Smętek, jeszcze nie rozpoczął życia w nowej roli, a już ma pierwsze kłopoty”, opisywało w kwietniu 1937 roku „Echo”.

Zofia Smętkówna, urodzona w Kaliszu w 1910 roku, była znaną polską sportsmenką. W 1932 roku, kiedy Machman Tenenbaum z Łomży przeżywał poważne rozterki związane z określeniem swojej płci, Smętkówna zdobyła złoty medal w rzucie oszczepem na mistrzostwach Polski. W kolejnych latach (1934, 1935, 1936) zdobyła srebrne medale. W styczniu 1937 roku zdobywczyni złotego medalu została mistrzynią Polski w tenisie stołowym. Był to jej ostatni medal.

Zofia Smętkówna mieszkała w Warszawie, pracowała w fabryce samolotów. Nie czuła się w pełni kobietą. W czwartek, 22 kwietnia 1937 roku, poddała się operacji zmiany płci w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Przed operacją, co odnotowała prasa, Zofia Smętek wypowiadała się i przystąpiła do sakramentu komunii świętej. Po operacji, wykonanej przez doc. dr. Henryka Becka, Zofia została ... mężczyzną. Przyjęła dwa imiona: Witold Stanisław.

„Jestem szczęśliwy, że operację mam poza sobą i nareszcie mogę rozpocząć nowe życie”, powiedział po zabiegu „narodzony” Witold. W kwietniu, w czasie pobytu w szpitalu, Witold podzielił się swoimi rozterkami z reporterem „Echa”: „Muszę mieć garnitur, kapelusz i męskie buty. Nie wiem, skąd wezmę na adwokata, który załatwi mi formalności związane ze zmianą stanu cywilnego. Czeka mnie niejedna przeprawa: w fabryce, urzędach wojskowych, u władz. Chciałbym

jak najprędzej stać się mężczyzną nie tylko z wyglądu, lecz również z paszportu”.

W maju Witold Smętek przeszedł drugą operację. Gdy wszystkie formalności zostały załatwione Witold, którego obejmował pobór do wojska, stanął przed komisją wojskową. Nową była „męska rzeczywistość”. Zapewniał warszawską prasę: „Nie ulękę się karabinu”. Do wojska jednak nie poszedł, uzyskał kategorię C, w dokumentach zapisano, że ze względu na słaby wzrok.

Witoldem Smętkiem, który nie unikał kontaktów z prasą, interesowali się także zagraniczni reporterzy. Witold opisał swoją historię w książce „Wyznanie kobiety, która stała się mężczyzną” wydanej we Francji.

Witold Smętek po operacji zmiany płci zapowiedział: „Ze sportem rozłąki nie biorę, bo za bardzo go kocham”. Został piłkarzem Klubu Sportowego Okęcie. „Dziennik Bydgoski” informował o jego pierwszym meczu, który zagrał w niedzielę, 5 września 1937 roku, w rezerwach Okęcia. Wygrała drużyna Witolda, a on zdobył jedną z czterech bramek. Witold Smętek, który przeobraził się ze sportowej mistrzyni Zofii Smętek, do wybuchu II wojny światowej sukcesów sportowych nie osiągnął. Po wojnie skończył studia historyczne i był przewodnikiem w Warszawie. Powojenna prasa już się nim nie interesowała. Zmarł w 1983 roku.

„W OBCYM CIELE”

Operacja zmiany płci w 1934 roku Nachmana Tenenbauma z Łomży była prawdopodobnie pierwszym takim zabiegiem w Polsce. W źródłach, dotyczących zagadnienia zmiany płci w okresie międzywojennym, są informacje o pierwszym zabiegu korekty, przeprowadzonym w 1930 roku w Niemczech.

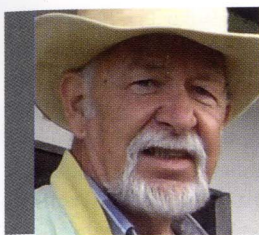
W Czechach w 1936 roku sportsmenka Zdena Koubkova zmieniła płeć na męską. W następnym roku, trzy lata po zmianie płci mieszkańca Łomży, w Polsce poddała się operacji Zofia Smętkówna.

Nie ma statystyk, dotyczących operacyjnej zmiany płci w Polsce przed 1939 rokiem. Zarejestrowany i opisany w prasie zabieg znanej polskiej sportsmenki Zofii, która została Witoldem Stanisławem, nie był wyjątkiem.

Trudno znaleźć więcej informacji o synu piekarza z Łomży, który stał się Nechą. Nie był „twarzą” centralnej prasy, jak sportsmenki Zofia Smętkówna i Zdena Koubkova. Sensacyjne wydarzenie, komentowane przez lekarzy oraz mieszkańców Łomży, trafiło na regionalne szpalty. Z pewnością przypadki korekty płci były wówczas jednostkowe. I nie o wszystkich wiedziała prasa.



Cmentarz żydowski w Warszawie, na którym pochowany został doktor Aron Orko Sołowiejczyk (1865-1942). polskanizezwykla.pl



EDWARD JACKOWSKI

Jeden z uczniów pierwszego rocznika liceum weterynaryjnego na egzaminie położył przed dyrektorem pistolet. Nie ukrywał: nie opanował wiedzy, gdyż wrócił dopiero z akcji. Pracował w UB, które w tych latach jeszcze dosyć często wyjeżdżało nocami na akcje zwalczania działającego w okolicy podziemia...

Wygrzebane z zakamarków pamięci (2)

Dokończenie z poprzedniego numeru

Na pierwszym roku mieliśmy od sześciu do ośmiu godzin lekcyjnych dziennie. Soboty były także dniami pracy i nauki. Wolna była jedynie niedziela. W technikum, podobnie jak w podstawówce i innych szkołach, też stosowany był system kwartalnej oceny ucznia, dlatego należało już od początku roku systematycznie przyłożyć się do pracy, do czego namawiali nas rodzice i profesorowie. Ale mając w perspektywie dwa i pół miesiąca do pierwszego okresu, nikt nie brał tego na serio, zwłaszcza że jesienne słońce, babie lato i dosyć długie, ciepłe wieczory nie usposabiały do wkuwania tak obszernej wiedzy. A było się czego uczyć. Kości zwierząt – jak je rozpoznać? Każda bielejąca na pulwach kość była dokładnie obejrzana i poddawana analizie: jaka to część kości i od jakiego zwierzęcia pochodzi. Ale to tylko przykład trudności, na jakie napotykalimy w tej szkole. Czas upływał, w głowie jeszcze pusto, a tutaj już oceny i zaraz pierwsza wywiadówka. Niestety, z dwójmami.

KADRA PROFESORSKA

Nad naszym wykształceniem zawodowym i ogólnym czuwała niezapomniana kadra profesorska, której zawdzięczamy to, kim jesteśmy. Wiodącą rolę odgrywali dyrektorzy: dyrektorem dwuletniego liceum był inżynier Stanisław Michalczyk. Po nim, w latach 1953-1956 – lekarz weterynarii Stanisław Wiśniewski, a od 1956 roku nomen omen Antoni Kobyłko.

Dyrektor Wiśniewski budził respekt wśród uczniów. Raz byłem wezwany przed jego oblicze do gabinetu. Jego „synku”, wypowiedziane do mnie w obecności mego ojca wystarczyło, bym pochylił pokornie głowę.

Antoni Kobyłko był mniej groźny. Nie wiem skąd przybył do szkoły, ale musieliśmy przyznać, że z racji nazwiska doskonale został dobrany do naszego technikum.

Grono pedagogiczne składało się z nauczycieli o wielkiej kulturze osobistej i zaangażowaniu w proces nauczania. Wielu było jeszcze z wykształceniem przedwojennym. Do wszystkich zwracaliśmy się „panie profesorze”.

Profesor Stanisław Michalczyk – inżynier z wykształcenia – uczył nas przedmiotów



Od lewej w służbie czynnej Leszek Tyborowski, z prawej strony podchorąży Tadeusz Najda, z tyłu Kazik Janczewski. Obie panie to moje siostry Ela i Wiesia. W środku ja, słuchacz I roku Państwowej Szkoły Rybołówstwa Morskiego w Gdyni.

rolniczych. Spokojny, zrównoważony, przekazywał nam swoją wiedzę z zakresu uprawy roślin, organizacji gospodarstw, zwracając jednocześnie uwagę na bezpośredni związek nauk weterynaryjnych z rolnictwem. Szczupły, elegancki, z charakterystycznym dla tamtych czasów wąsikiem, tak zwaną „angielką”, całkowicie oddawał się swojej pedagogicznej profesji, czym zdobywał sobie zaufanie uczniów. Z uwagą słuchaliśmy jego pouczeń o tym, co nas może spotkać w naszej pracy technika weterynarii w środowisku wiejskim. To on wspominał, jak jeden z uczniów pierwszego rocznika liceum weterynaryjnego na egzaminie położył przed nim pistolet, a tłumaczył to tym, że nie opanował dobrze wiedzy, gdyż wrócił dopiero z akcji. Był pracownikiem UB, które w tych latach jeszcze dosyć często wyjeżdżało nocami na akcje zwalczania działających w okolicy oddziałów podziemia. Profesor Michalczyk nie miał wyjścia. Zaliczył.

Bardzo ciekawą osobowością był lekarz weterynarii Wiesław Wiśniewski. Wysoki, szpakowaty, w okularach, zawsze w garniturze, najczęściej zielonym w leciutką szkocką kratę. Podobnie jak

profesor Michalczyk, nosił szpakowaty wąsik, równo przycięty nad górną wargą. Spokojnie zapoznawał nas z zagadnieniami chorób pasożytniczych, a także mięsoznawstwa. Nie zapomnę, jak wywołał mnie kiedyś do odpowiedzi. Siedząc za biurkiem nauczycielskim poszukał palcem w dzienniku delikwenta i padło na mnie.

– Jackowski – powiedział niskim głosem. Rozejrzał się po sali. Z niepokojem uniosłem się ze swego miejsca. Był poniedziałek, nie byłem przygotowany. Profesor pochylił nieco głowę tak, aby okulary opadły mu na nos i patrząc nad nimi rzekł:

– Nu, ... Jackowski, ... wążryzcu bydłecu. – Kręciłem jak mogłem, starając się wydobyć coś sensownego z ogólnej wiedzy o pelzakach. Niestety, jak było do przewidzenia, w poniedziałek były tylko dwóje.

Pochodził z Kresów, jeszcze nie pozbył się tego charakterystycznego zaśpiewu i wymowy. Miał także z nami zajęcia praktyczne w rzeźni, na terenie której, w ceglanym budynku, mieszkał razem z rodziną. Mieściła się na obrzeżach Łomży, w kierunku Kupisk. Był pasjonatem ornitologiem.

Pewnego razu, w czasie naszych praktyk w rzeźni, zaprosił nas do siebie i zaprezentował imponujący zbiór ptasich jaj. Starannie ułożone w wyłożonych wata kartonikach piętrzyły się na wysoko ustawionych regałach. Profesor, jak każdy pasjonat, opowiadał nam o każdej parze jajeczek, mniejszych i większych, nakrapianych i gładkich, białych i szarych. Jego zbiór cechowała wielka różnorodność jaj ptaków domowych i dzikich.

Lekarz weterynarii dr Józef Gabi-niewicz uczył chorób zakaźnych i inwazyjnych. Przystojny, z bujną czupryną falujących czarnych włosów, z lekkim akcentem ludzi ze wschodu, starał się dobrze przygotować nas do zawodu.

Chorób wewnętrznych uczył i opiekunem klasy był dr Daniel Malanowski. Bardzo sympatyczny i często – ku naszej ucieście, gdy już zabierał się do odpytywania – dawał się namówić na ciekawe wspomnienia ze swego zawodowego życia. Lekarz weterynarii czy też technik – mówił – często musi zastępować lekarza medycyny. Gdy pojedziecie w teren, to z pewnością przychodzić będą do was ludzie nie tylko w sprawach chorych zwierząt, ale także ze swoimi chorobami. Z powodu braku kadr lekarskich weterynarz często musi ich zastępować, a „końska dawka” mówią, lepiej poradzi niż tabletki lekarza „ludzkiego”, jak nazywają lekarza medycyny.

Położnictwa uczył lekarz weterynarii dr Kałczyński, przybyły wraz z przeniesionymi uczniami z Suwałk. Pamiętam talent, z jakim potrafił zainteresować nas zagadnieniami rozrodu zwierząt i nie tylko. Zajęcia praktyczne odbywałyśmy w lecznicy dla zwierząt na końcu ulicy Nowogrodzkiej. Prowadził je dr Kowalski, a także technik weterynarii Karwowski. Odbywałyśmy je co dwa tygodnie, począwszy od drugiego roku. Na praktyki przeznaczony był cały dzień. Obowiązkowe były białe fartuchy, w które musieliśmy zaopatrzyć się sami, a to najczęściej robiły nasze mamy, szyjąc je z białego płótna.

Po pierwszym roku odbywałyśmy praktyki w gospodarstwie Technikum Rolniczego w Dowspuździe, gdzie poznawaliśmy pracę przy żniwach. Z pracą zawodową, weterynaryjną, zapoznawaliśmy się podczas praktyk wakacyjnych w lecznicach dla zwierząt w różnych miejscowościach Polski, najczęściej jednak w województwie białostockim, ale także olsztyńskim i gdańskim. Zapamiętałem swoje praktyki w lecznicach w Piszku, Białej Piskiej i w Wysokim Mazowieckim.

Przedmioty ogólne prowadzili: język polski pani profesor Helena Bielicka, język rosyjski pani Wolska, fizykę i matematykę pan mgr Franciszek Olszański.

W 1956 roku, w ramach podnoszenia poziomu wykształcenia ogólnego, by absolwenci techników mieli prawo wstępu na wyższe uczelnie – ich wiedza i umiejętności z przedmiotów ogólnokształcących miały być podobne do tych, którymi wykazać się mógł absolwent liceum



*W drodze na praktykę do lecznicy.
Na ziemi pozuje Józef Grejdus (ten z wąsami)*

– rozszerzono naukę języka polskiego, matematyki i wprowadzono naukę historii. Niestety, nie pamiętam kto tego przedmiotu nauczał.

Pani profesor Helena Bielicka z wielkim zaangażowaniem starała się wpajać nam zasady gramatyki oraz wiedzę z zakresu literatury. Pomocne były podręczniki, w tym „Historia literatury polskiej” i „Wypisy z literatury polskiej”. Po co technikowi weterynarii znajomość wierszy na przykład Marii Konopnickiej, Słowackiego, Mickiewicza? – pytali niektórzy. Stanowiąc będziecie elitę w środowisku wiejskim, a od niej wymaga się nie tylko wiedzy zawodowej, ale także jaki wpływ na kulturę mieli ci poeci, o których się uczycie – odpowiadała. Pani profesor była wymagająca, do tej pory potrafię cytować wiele fragmentów z Mickiewicza, Słowackiego, wówczas niechętnie przyswajanych. Organizowała nam wyjazdy do Białegostoku do teatru im. Węgierki czy do teatrów w Warszawie na przedstawienia np. „Niemców” Kruczkowskiego czy „Dziadów” Mickiewicza. Nie zawsze udało się obejrzeć spektakl w całości. Niektóre sceny zamazywały się w niepamięci z powodu zapadnięcia w błogi sen. W ciepłe miękkich foteli, przy wygaszonych światłach, po długiej podróży nie można było ustrzec się krótkiej drzemki.

Matematyk Franciszek Olszański był bardzo dobrym, oddanym uczniom pedagogiem. Był wymagający i sprawiedliwy w ocenach, zależało mu, żeby nauczyć nas tego przedmiotu. To jemu zawdzięczam zdanie matury i radzenie sobie potem w przyswajaniu trudnej wiedzy z astronawigacji czy nawigacji w Państwowej Szkole Rybołówstwa Morskiego w Gdyni. W maturalnej klasie pod koniec roku dla chętnych proponował dodatkowe zajęcia z matematyki i fizyki. Zajęcia odbywały się w godzinach popołudniowych w sali nowego internatu na ulicy Stacha Konwy. Dopiero tam otworzyły mi się oczy na zakłętą rewiry matematyki, geometrii, trygonometrii i na maturze poszło

mi całkiem gładko. Przez całą szkołę ledwo czołgałem się z matematyki, a profesor Olszański sztydził ze mnie. Na koncówce ołówka pokazywał, ile to ja mam wiedzy: – O tyle – mówił – ty zero chodzące. Po kilku latach, gdy mój młodszy brat Marek był uczniem profesora, mówił do niego: – Ty jesteś zerem i tyle umiesz – pokazywał na ołówku – twój brat (mówił o mnie) to miał wiedzę nie tylko tu – pokazał na głowę – ale i tu – klepał się w ramię. Byłem wówczas na ostatnim roku przed uzyskaniem patentu porucznika żeglugał małej.

Przysposobienie wojskowe prowadził pan Mazewski. Na lekcjach przybliżał nam wiedzę z zakresu wojskowości, na podwórku uczył nas musztry, maszerowania, zajęć z bronią, a nawet – zazwyczaj na wiosnę – strzelania na strzelnicę na stadionie. Ustawieni w sztyku maszerowaliśmy w kolumnie ze śpiewem na ustach: Szumi dokoła las. Egzaminował nas w klasie. Trzeba było wykonać przed

nim kilka zwrotów w prawo, w lewo, w tył, prezentuj broń i baczność. Gdy padła komenda baczność podchodził i szczypał w pośladki sprawdzając, czy są naprawdę napięte w pozycji „baczność”.

Po 1956 roku wprowadzono naukę religii z księdzem Dobkowskim, a od 1957 roku z zakonikiem z kościoła kapucynów.

Niecodziennym wydarzeniem były dla nas przedstawienia, organizowane przez Agencję Artystyczną ARTOS. Kilkakrotnie w ciągu roku przyjeżdżali do łomżyńskich szkół, by przybliżyć nam perełki operetki i opery. Szczególnie utkwił mi w pamięci niewidomy śpiewak Ryszard Gruszczyński. Jego pasją było umuzykalnianie młodzieży. Śpiewał arie operowe, operetkowe i pieśni, najczęściej Moniuszki i Schuberta. Jego występy zawsze nagradzaliśmy entuzjastycznymi owacjami. To dzięki niemu po powrocie do szkoły zasmakowaliśmy w ćwiczeniu naszych głosów. Śpiewaliśmy „Ej dziewczyno, ej niebogo jakieś wojsko pędzi drogą”. Wiodącym głosem był Janek Peszko, który pięknym tenorem, usiłując naśladować mistrza Gruszczyńskiego, porywał nasze serca, a klasa rozbrzmiewała młodzieńczym śpiewem. Przed każdym występem, czy to solisty, czy recytatora było słowo wstępne, objaśniające utwór. Dla nas było to bezcenne. Przez to słowo mówione mogliśmy inaczej patrzeć nie tylko na aktora, ale także zwracać uwagę na treść i formę wykonania. To nie było „wycie”, jak to zwykle mówili młodzi ludzie, to było coś, co głęboko zapadało w duszę. I tak pozostało.

Chociaż szkoła była męska, udało się jednemu z naszych profesorów stworzyć kilkunastuosobowy zespół wokalo-taneczny. Ćwiczyliśmy różne układy choreograficzne do ludowych tańców, nie wiem tylko dlaczego białoruskich. Byłem w tym zespole i tańczyłem w parze z Jadzią Keller. Pamiętam jeszcze Jurka Kierażyńskiego, wywijającego w pierwszej parze, chyba z Tereską

Golińską. Występy były przygotowywane na różnych rocznice, głównie na rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Technika weterynaryjna podlegała Ministerstwu Rolnictwa. Być może z tego powodu wyjeżdżaliśmy do PGR-ów do pomocy w pracach polowych. W pierwszej czy w drugiej klasie pojechaliśmy do Bań Mazurskich pomagać w wykopkach. Tam ubrano nas w mundury SP (Służba Polsce), buty wojskowe z gwoździami, furażerki i z pieśnią na ustach (*Espe hej espe, nie lękaj się pracy nie...*) maszerowaliśmy w pole. Nasz opiekun, profesor Olszański, nie śpiewał. Może dlatego, że nie wystroił się w mundur junaka SP?

Egzaminy maturalne zdawaliśmy w auli nowego budynku internatu na ulicy Stacha Konwy. Najpierw egzamin pisemny z języka polskiego i matematyki, potem – po kilku dniach – ustny. Do sali wpuszczano po trzy osoby. Bez wychodzenia z sali zdawało się od razu wszystkie przedmioty maturalne, a wynik – zdał lub nie zdał – ogłaszany był zaraz po opuszczeniu sali. A trzeba było zdać: polski, matematykę, choroby wewnętrzne, zakaźne, inwazyjne, położnictwo. Za stołem siedziało grono profesorskie z komisji

egzaminacyjnej. Przed nimi, wachlarzowo ułożone, leżały karteczki z pytaniami – do wyboru. Zdawało się przed całą komisją, a nie przed wykładową przedmiot. Męczyłem się nad zadaniem z matematyki. Pod czujnym okiem szanownej komisji nie mogłem skorzystać z przygotowanej ściagi. Stałem bezradny przy tablicy, kreda pociła mi się w rękę, w głowie mętlik, gdy za plecami usłyszałem szept profesora Olszańskiego: „Sinus, sinus”... Rozjaśniło się i już poszło gładko. Wyszliśmy całą trójką i pod drzwiami oczekiwaliśmy na wynik. Żaden z nas nie był pewny. Drzwi się otworzyły, wyszedł dyrektor szkoły pan Kobyłko i krótko oznajmił: jeden z was nie zdał... Tu padło nazwisko nie moje. Poczulem ulgę, a jednocześnie współczucie dla kolegi.

Pisanie ściąg było doskonałą formą powtarzania przerobionego materiału. Przekonałem się, że po napisaniu ściagi prawie nie musiałem już z niej korzystać, bo wszystko było już w głowie. Potem, gdy sam byłem wykładowcą w jednym z afrykańskich państw, nawet propagowałem tę formę powtórki materiału, ostrzegając jednocześnie o katagorycznej ocenie niedostatecznej w przypadku przyłapania na ściąganiu. Raz złapałem jednego

delikwenta na ściąganiu, ale nie ukarałem, bo na oczach wszystkich wepchnął ją do buzi i połknął. A ja zbierałem. Zuch – pomyślałem. Dowodu nie było.

Wkrótce w tej sali odbył się bal maturalny. Uroczysty nastrój, ostatnie rozmowy, podniecone twarze i świadomość, że może już się nie spotkamy. Świtało. Piękny, czerwcowy brzask rozpromieniało niebo. Nadszedł moment pożegnań, orkiestra składa instrumenty jeszcze tylko w objęciach przyjaciół a capella: *Uplywa szybko życie... i Nasz pożegnalny bal już się kończy, najmilsza spójrz...*

Tak upłynęło pięć lat. W maju dostałem dowód osobisty, w kieszeni świadectwo dojrzałości, a przede mną okno na świat. Do Gdyni. Młodości ty nad poziomy wylatuj!

Wylecieliśmy, rozsypaliśmy się po świecie. Ci, którzy nie wybrali się na studia, powołani zostali do odbycia obowiązkowej służby wojskowej. Najczęściej odbywali ją jako sanitariusze, wspomagając pracę lekarzy wojskowych. Podczas ferii wielkanocnych w 1960 roku spotkałem na spacerze kolegów z pierwszego maturalnego rocznika, kończącego naukę w 1958 roku. Uwieczniliśmy się na fotografii na schodach przed naszą szkołą.



JUSTYNA BACZ-KAZIOR

Wspomnienie w 25. rocznicę śmierci

Kim dla mnie był prof. Michał Godlewski?

Przed wszystkim przyjacielem, człowiekiem, na którego można było zawsze liczyć. Na pewno również wielkim autorytetem, kimś, kto wskazywał mi drogę, którą należy podążać. Wzorem w podejściu do życia i ludzi.

Był przyjacielem – zawsze, gdy tego potrzebowałam odkładał swoje sprawy, swoje zadania i zajmował się moimi, które wówczas dla mnie, jako kilkunastoletniej dziewczynki były istotne – np. powtórzenia wiadomości z biologii czy historii. Nigdy mi nie odmówił pomocy. Mawiał: „Dobrze, to ja ciebie teraz słucham”. A gdy osiągałam najdrobniejszy nawet szkolny sukces – cieszył się, chwalił, dowartościowywał i zachęcał do dalszej pracy. Pamiętam, że wspólnie przetłumaczyliśmy z rosyjskiego, który to język świetnie znał, na polski piękny wiersz Puszkina na konkurs. Dzięki temu doświadczeniu zainteresowałam się sztuką przekładu.

Był autorytetem – tłumaczył mi zjawiska z różnych dziedzin, pokazywał świat, objaśniał mechanizmy, które nim rządzą, zachowania

społeczne, ludzkie. Imponowała mi jego niezwykła umysłowość, przenikliwa inteligencja i szeroka wiedza. Był inżynierem – humanistą: czytany, znający języki obce, a przede wszystkim świetnie wyczuwający psychikę ludzką. Jego przenikliwe spojrzenie zza okularów o mocy kilkunastu dioptrii świdrowało „na przestrzał”. Potrafił przewidzieć zachowania, konsekwencje zdarzeń, czynów, a także koleje losu ludzi. Przewidywania zwykle się sprawdzały. Sądzę, że posiadał wyjątkową intuicję.

Był wzorem w podejściu do życia – cechowało go pogodne usposobienie i postawa afirmująca życie, mimo ciężkich doświadczeń życiowych. Wcześniej bowiem stracił młodszego brata, a w tragicznych wojennych okolicznościach – rodziców. Zostali rozstrzelani przez hitlerowców w 1942 roku. Ból związany ze stratą najbliższych towarzyszył mu przez całe dorosłe życie. Ogromnym uczuciem i szcunkiem darzył swą matkę Zenaidę – lekarkę, często wspominając jej mądrość i powołując się na wartości i wiedzę, które mu przekazała. Cenił przyjaźń utrzymując kontakty ze swymi



kolegami z czasów szkolnych i studenckich, których wspierał i pomagał, gdy tego potrzebowali.

Charakteryzowała go rzadka, wyjątkowa cecha – potrafił cieszyć się z sukcesów innych ludzi, niezależnie od tego, czy byli to jego przyjaciele, znajomi, czy osoby mu mniej znane. Cieszył się z osiągnięć ludzkich, ponieważ uważał, że każdy człowiek powinien mieć aspiracje, wyznaczać sobie cele, być aktywnym, wykorzystywać czas, jaki jest mu dany od losu. Wymagał wiele od siebie, ale i od innych. Umiał zachęcać, inspirować do działania. Zachęty, pochwały wyrażał w sposób dowcipny, lekki, taki, że nie czuło się ciężaru jakiegogoś obowiązku czy też poczucia winy, że się tego nie spełnia. Wierzył w ludzi, chwalił. Pamiętam, że każde, najdrobniejsze wyróżnienie, każdy mój dobry stopień był powodem do radości i „peanów na chwałę”.

Poczucie humoru profesora Godlewskiego, które towarzyszyło mi na co dzień, było czymś niezwykle. Zaskakiwały jego niekonwencjonalne skojarzenia. Był duszą towarzystwa podczas spotkań czy uroczystości, a autoironiczny stosunek do siebie samego sprawiał, że rozmówcy czuli się swobodnie. Jego polot i fantazja spotykały się z żywą reakcją, wyzwalając dowcipne riposty uczestników spotkań. Umiał i lubił rozmawiać, nawiązywać kontakt z każdym, niezależnie od przynależności do klasy społecznej. Potrafił słuchać uważnie okazując szacunek rozmówcy, ale

także ciekawie i intrygująco opowiadać. Posiadał wyjątkową łatwość pisania dowcipnych, błyskotliwych wierszy czy wręcz całych poematów, głównie związanych z uroczystościami rodzinnymi, ale także z wydarzeniami kulturalnymi – np. wierszowane recenzje przedstawień teatralnych czy koncertów.

Lubił dobrą muzykę, kino i teatr. Cenił sobie niezwykle twórczość Wojciecha Młynarskiego, Jonasza Kofty, duetu Wasowski-Przybora, artyzm Ewy Demarczyk. Sam, uzdolniony muzycznie – w dzieciństwie uczył się przez wiele lat gry na skrzypcach i na fortepianie – potrafił się do pianina i bez przygotowania zagrać jeden z utworów, które pamiętał z młodości.

Ważną część jego życia stanowiła działalność pedagogiczna. Spełniał się jako nauczyciel akademicki w Politechnice Warszawskiej, której był prorektorem i gdzie kierował Zakładem Pedagogiki. Jego wykłady cieszyły się wielką popularnością. Posiadał umiejętność przyciągania uwagi słuchacza, intrygowania niekonwencjonalnym wstępem czy pointą. Lubił swoich studentów, a oni również darzyli go sympatią i szacunkiem. Jako nestor szkolnictwa zawodowego i były minister oświaty i wychowania działał społecznie w strukturach Zakładów Doskonalenia Zawodowego, co stanowiło dla niego źródło wielkiej satysfakcji.

Był osobą niezwykle pracowitą, o niespożytej energii. Zajmował się oczywiście swoją

działalnością zawodową i naukową, ale również rozbudzoną przez moją mamę pasją kolekcjonerstwa, a także rekonstruowania lamp, głównie z okresu secesji i art déco. Pasja ta pochłonięła go w pewnym momencie i znajdował w tym wielką radość. Odpoczynek oznaczał czytanie książek, ówczesnych czasopism: „Literatury”, „Kultury” i „Polityki”, a także pism i gazet w różnych językach: po rosyjsku, francusku, niemiecku. Zawsze żywo zainteresowany otaczającą go rzeczywistością słuchał regularnie Radia Wolna Europa. Kochał naturę, zwierzęta, jeziora i lasy. W ostatnich latach życia wiele czasu spędzał nad Bugiem, którego okolice przypominały mu rodzinne strony. Urodził się w Łomży, chętnie i często przebywał nad Narwią.

Profesorowi Michałowi Godlewskiemu zawdzięczam bardzo wiele – uwagę, mobilizację, sukcesy. Zaistniał w moim życiu jako ojczym, choć może nie jest to w pełni adekwatne słowo, ponieważ miałam ojca, który po rozwodzie z moją mamą utrzymywał z nami kontakt. Na co dzień Michał był moim opiekunem, współdecydował o moim losie i sprawach. Służył radą i wiem, że życzył mi jak najlepiej. Zresztą wszystkim życzył jak najlepiej i to było wspaniałe.

Prof. Michał Godlewski – dla mnie Michał – jest wciąż obecny w moim życiu, w mojej pamięci i sercu.

Warszawa, sierpień 2020 roku

JUSTYNA BACZ-KAZIOR



KAROLINA SKŁODOWSKA

JERZY

Wystawa upamiętniająca twórczość Jerzego Swoińskiego

W Galerii Sztuki Współczesnej do 10 października 2020 roku trwa wystawa grafik, rysunków, pastelów, akwarel, obrazów i projektów wydawniczych autorstwa Jerzego Swoińskiego, zorganizowana w 15. rocznicę jego śmierci.

Urodził się 26 grudnia 1944 roku w Chełmie nad Wisłą. W 1969 roku ukończył studia w zakresie grafiki artystycznej na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Dyplom uzyskał w pracowni prof. Edmunda Piotrowicza. W tym samym roku przybył do Łomży i podjął pracę jako nauczyciel plastyki w Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki. Uczniowie szybko go polubili. Do dziś wspominają jego wiedzę i zaangażowanie. Janina Białecka: „Jurek, «Szefer», nowy nauczyciel plastyki, dla naszej licealnej grupki nieopierzonych nastolatków był kimś więcej: przewodnikiem, któremu zależało na poszerzaniu naszych horyzontów, pokazywaniu nam świata i ludzi z zupełnie

nowych perspektyw, pokazywaniu prawdziwej sztuki i przedstawianiu sylwetek najznakomitszych artystów. Stałym punktem szkolnych wycieczek z Jurkiem były najlepsze muzea i galerie”. Gabriela Szczęśna: „Niemal na każdą lekcję nasz Profesor przynosi albumy o sztuce, by uzupełnić zawartość bardzo skromnego podręcznika. Lecz nie wyklada; opowiada. Ale jak! Nie tylko o stylach, formach, technikach, tematyce, kompozycji, perspektywie; także o mało znanych faktach z życia i twórczości wielkich artystów. Ale jak! I uczy „czytać” obrazy. Ale jak! Nie mogę doczekać się kolejnej lekcji!”. Jerzy Suchwałko: Jerzy Swoiński – wtedy: Mistrz Swoiński... Dobrze jest spotkać kogoś takiego na początku życia”.

W 1974 roku pochłonięły go nowe obowiązki. Został kierownikiem (i jedynym pracownikiem) nowo utworzonego oddziału białostockiego Biura Wystaw Artystycznych w Łomży (obecnie Galeria Sztuki Współczesnej Muzeum

Północno-Mazowieckiego). Przeprowadził pracę przez pierwsze lata działalności organizując wystawy – z powodu braku własnej siedziby – w ośrodkach kultury i bibliotekach. W drugiej połowie 1977 roku pożegnał się z usamodzielnionym rok wcześniej BWA i skupił na pracy artystycznej w dziedzinie grafiki warsztatowej i wydawniczej, malarstwa oraz projektowania i realizacji dekoracji okolicznościowych. Jedną z jego ulubionych technik był rysunek. Rysował piórką, kredką, ołówkiem, długopisem, mazakiem. Czynił to z lekkością i wprawą, nasycając indywidualnym spojrzeniem niezliczone szkice architektoniczne, panoramy, pejzaże, akty, portrety, karykatury, wizerunki zwierząt, scenki satyryczne. Wykorzystywał przy tym cały zestaw środków wyrazu z lubością dając prym kresce. Był wnikliwym obserwatorem rzeczywistości i błyskotliwym komentatorem codziennych spraw. Często mówią o tym jego znajomi i przyjaciele. Janina

pamięci Jurka Swoińskiego

tak wiele mam Ci do powiedzenia
usiądź przy mnie
nie odchodź przez chwilę
byłem
trochę na przekór
zbyt wczesnej jesieni
zaskoczony
tutaj
moje życie
i muzyka
i te ciasne ramy
i rozlane obrazy
wszystkie krótkie
poszarpane chwile
bolesne potknięcia
przepłoszone ptaki
gdyby dane mi było
żyć sto lat wcześniej
jeździłbym dorożką
w Zakopanem
gdyby dane mi było
żyć sto lat później
nauczyłbym się
rozśmieszać Ciebie
dziś zostań chwilę
popatrz ze mną
jest przecież
coś
więcej

rcgwizdon

Łomża 21.08.2020

Białecka: „Jakiś szczegół, szczegółik – dla kogoś banalny i nieistotny – jego inspirował. Kilkoma fantastycznymi kreskami potrafił uchwycić sedno. W swoich wędrowkach przez miasto czasem przystawał, kiedy coś go zafrapowało, zaciekało. Patrzył uważnie z lekko przechyloną głową i tym charakterystycznym uśmiechem, który mówił, że już coś tam sobie w swojej artystycznej głowie układał”. Teresa Adamowska: „Stan wojenny wyzwolił w nim szereg artystycznych wypowiedzi zaangażowanych społeczno-politycznie, pełnych sarkazmu, ironii, totalnej dezaprobaty dla sytuacji. Jerzy był obserwatorem życia. Spotkany na ulicy głośno komentował zjawiska, znaki czasu, te duże i te małe”.

Inspirowała go natura i człowiek. Cenił język sztuki figuratywnej, ale posługiwał się nim w szczególny sposób. By wydobyć nowe treści i skojarzenia, pozwalał sobie na kondensowanie kształtów i form. W malarstwie olejnym chętnie stosował większe płaszczyzny jednego koloru, często zestawiając czerń i czerwień. Występujące w kontraście barwy przydawały obrazom dynamiki i szerszych, niż oczywiste, znaczeń. Malując w plenerze wprowadzał szerszą gamę barwną dla

zilustrowania nastroju i zapisania ulotnych wrażeń.

Katarzyna Swoińska: „Kiedy dzisiaj patrzę na prace Jerzego, mojego ojca, widzę w nich siłę. Widzę idealne postrzeganie i spostrzeganie. Komentarz bardzo dopasowany. Ręka rysownika to warsztat, kunszt, pewność. Malarstwo konkretne, czytelne, nieprzegadane. Precyzja jest domeną tych działań. Twórczość Jerzego to mój towarzysz od zawsze. To ojciec, który czasem się czymś podzielił, chociaż skrywał wiele, tajemnic również”.

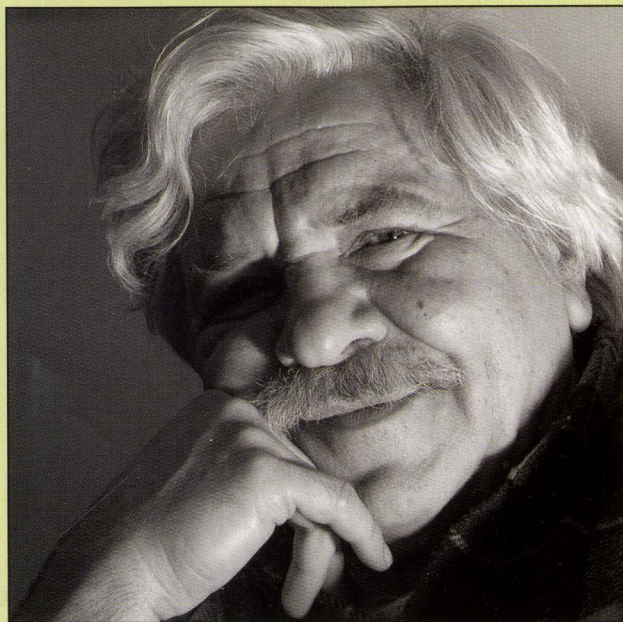
Teresa Adamowska: „W grafice najczęściej duże syntetyczne plamy, kontrast bez gradacji czerni i bieli, w malarstwie kolory posterowe, bez półtonów”.

Artysta mieszkał w śródmieściu, a jego sylwetka przez wiele lat była nieodłącznym elementem pejzażu tej części miasta.

Andrzej Cholewicki: „Jakbym go widział lekko utykającego na Długiej od Wieży do Dołki. Często zatrzymywał się, żeby pogawędzić ze znajomym lub przypadkowo napotkanym przechodniem. Otaczał go nimb pewnej tajemnicy. Wyobrażałem sobie, że tak spacerował ulicami Paryża Henri de Toulouse-Lautrec... i przyznam, że często spotykając się z Jurasem słyszałem w duchu „Popołudnie fauna” Claude’a Debussy...”.

Jacek Malanowski: „Postać tego artysty – jego sumiasty wąs i ciepłe, ironiczne spojrzenie kojarzy mi się z pejzażem naszego miasta tamtych lat. Miał wyjątkowy, urokliwy dystans do otaczającego go świata i samego siebie”.

Dorota Danielewska: „On tutaj był i był... Wystawa jego prac to najbardziej namacalny znak jego obecności w naszym mieście. A w mojej pamięci wciąż pozostaje Jerzy z butelką piwa



rysujący na kartce... I jego kartka świąteczna wetknięta za ramę mego lustra”.

Mirosław Robert Derewońko: „Spotykałem go w Łomży zazwyczaj na Długiej, Dwornej czy Krótkiej, gdzie miał w kamienicy przed laty podniebną pracownię malarską. Z siwym włosiem i wąsem kuśtykał Jerzy w kraciastej koszuli, uśmiechał się z daleka i witał: „Cześć, Pisak”. „Witaj Mistrzu” – odpowiadałem i częstowałem papierosem. Jerzy zwykle nie miał swoich – mocnych i gryzących – albo miał ich za mało, więc na środku ulicy lub Starego Rynku rozpoczynaliśmy jakby rytuał palenia fajek sztuki. W smużkach dymu wymienialiśmy kilka zdań o którymś z artystów bądź wernisaży w Galerii Pod Arkadami albo w Galerii Sztuki Współczesnej. Czas też się do nas uśmiechał” (fragment wstępu do katalogu wystawy „Wspomnienie. Jerzy Swoiński 1944-2005”, Galeria Pod Arkadami, Łomża, 2006 r.)

Jerzy Swoiński przez 36 lat brał aktywny udział w życiu łomżyńskiego środowiska plastycznego.



Córka Jerzego, Katarzyna z rodziną podczas wernisażu. © Grzegorz Gwizdon

Prezentował grafiki i obrazy na wystawach indywidualnych (1970, 1974, 1975, 1981, 1993, 1994, 1999), uczestniczył w plenerach, wystawach zbiorowych, konkursach graficznych i wszelkich wydarzeniach kulturalnych. Był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Stale współpracował z redakcją tygodnika „Kontakty”, które bardzo szeroko otworzyły swoje łamy dla jego rysunków i niezwykle trafnych karykatur.

Zmarł 4 września 2005 roku w Łomży. Spoczywa na cmentarzu w rodzinnym Chełmnie.

Najwięcej prac artysty zachowało się w zbiorach prywatnych i to one stały się podstawą

obecnej wystawy. Udało się zgromadzić z górą dwie setki eksponatów. Na wystawie znalazło się sto pięćdziesiąt. Dominują rysunki i grafiki (linoryty). Są także obrazy olejne, akwarele, plakaty, projekty graficzne i „rysowane” kartki okolicznościowe. Pochodzą one ze zbiorów Janiny i Wojciecha Białeckich, Doroty i Andrzeja Bobrow, Barbary Chojnowskiej, Andrzeja Cholewickiego, Artura Filipkowskiego – Grupa Medialna Narew, Grzegorza Gwizdona, Mariusza Gulanowskiego, Barbary Kulki, Jacka Malanowskiego, Katarzyny Swoińskiej i Gabrieli Szczęsnej. Swoje zasoby udostępniły także instytucje: Miejski Dom

Kultury-Dom Środowisk Twórczych w Łomży, Muzeum Rolnictwa im. ks. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, Portal 4lomza.pl oraz Muzeum Północno-Mazowieckie w Łomży.

Ekspozycję wzbogaciły przybory malarskie i farby używane przez Jerzego Swoińskiego oraz narzędzia do grafiki warsztatowej. Ekspozycję w ciekawy sposób zaaranżował artysta plastyk Antoni Mieczkowski. Wystawie towarzyszy starannie wydany 20-stronicowy katalog wydrukowany przez Pracownię Poligraficzną Grafis Zbigniewa Jakucia, któremu serdecznie dziękuję za wsparcie finansowe.

KAROLINA SKŁODOWSKA



TERESA ADAMOWSKA

*7 sierpnia pożegnaliśmy Kazimierz Wojewodę
– artystę, pedagoga, sybiraka, Przyjaciela...*

Drzewa, kwiaty, przestrzenie światła i cienia

W katalogu wystawy malarstwa Kazimierza Wojewody, zorganizowanej przez Regionalny Ośrodek Kultury w Galerii N w 2011 roku, Kazimierz pisze o sobie:

Urodziłem się 15 marca 1930 roku w Piątnicy. Tutaj w wieku 6 lat rozpocząłem naukę w Szkole Podstawowej. 20 marca 1941 roku wraz z rodzicami zostałem aresztowany i zesłany do Kazachstanu. Przeżyłem głód, poniewierkę, tęsknotę. Do kraju wróciłem pod koniec marca 1946 roku. By nadrobić zaległości podjąłem intensywną

naukę. Zostałem przyjęty do Liceum Pedagogicznego w Łomży. W 1950 roku zdałem maturę i zostałem nauczycielem.

Uczyłem w Szkole Podstawowej w Prostkach, a od 1953 roku w Szkole Podstawowej w Kolnie. Po odbyciu służby wojskowej 1953-55 pracowałem w Liceum Ogólnokształcącym w Kolnie. Studio wałem zaocznie – najpierw w Studium Nauczycielskim w Łodzi na kierunku zajęcia praktyczne i rysunek, a potem – po zdaniu egzaminu – w Uniwersytecie Warszawskim na kierunku pedagogika.

Pracę magisterską z wychowania estetycznego obroniłem u profesor Ireny Wojnar.

Od 1975 do 1981 roku pracowałem w Kuratorium Oświaty i Wychowania, a następnie w Studium Nauczycielskim w Łomży jako nauczyciel wychowania plastycznego.

Obecnie przebywam na emeryturze. Zorganizowałem kilkanaście wystaw indywidualnych, biorąc udział w ogólnopolskich i wojewódzkich plenerach i przeglądach plastycznych. Jestem członkiem Związku Sybiraków i autorem książki – wspomnień „Pamiętam”, wydanej w 2000 roku.

Za swoją pracę zostałem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Sybiru, Złotym Medalem Za Zasługi dla Obronności Kraju, Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, a także Odznaką Honorową Zasłużony Dla Kultury Polskiej.

Kazimierz Wojewoda, dla przyjaciół Kazio – dobry, ciepły, pogodny, kochany, delikatny, wrażliwy, służący pomocą w każdej sytuacji. Ileż to razy miałam przyjemność spotkać się z nim na polu pracy twórczej w sensie dosłownym. Plenery malarskie z lat 80. i 90. organizowane przez pracownię plastyczną Wojewódzkiego Domu Kultury dla artystów profesjonalnych i amatorów, dla młodzieży i dorosłych, cieszyły się powodzeniem i zawsze towarzyszył im niepowtarzalny duch twórczy. Polem pracy był piaszczysty teren Czartorii – o zachodzie słońca niemal księżycowy, porośnięty jałowcem rzucającym długie cienie, Nowogród ze skansenem i rzeką, była Szelażówka na Mazurach, była twierdza Osowiec, Zbójna, Szepietowo. Kazimierz zawsze bardzo dużo pracował. Malował pejzaże olejne, jednak najbardziej dał się poznać jako akwarelista i jak sam twierdził – akwarela



Jedna z nostalgicznych akwarel Kazimierza Wojewody

była jego ulubioną techniką. Powstawały zarówno szkice pejzażowe jak i niemal dokumentalne studia rzeczywistości. Plenery były niczym dzienniki z podróży, w których z precyzją i prawdą notował zjawiska w naturze.

„Wchodzę ostrożnie w obraz mojego Kolegi Kazimierza Wojewody – pisałam w 2011 roku w nocie do jego wystawy – nie chcę burzyć spokoju, jaki tu panuje...”. A dziś wchodzę w jego obrazy jeszcze ostrożniej, odkrywam, że przedstawienia malarskie natury, którą tak ukochał, są prawie pozbawione materii. Jakby Kazimierz malował ducha natury. Bez trudu przenikam drzewa, kwiaty, wchodzę w przestrzenie światła i cieni. Perspektywa powietrzna, którą tak doskonale rozumiał, prowadzi mnie w błękitną mgłę. Taka iluzja wynika z delikatnych dotknięć pędzla, plam barwnych pozbawionych faktury i nierządno laserunków.

Światło – inspiracja impresjonistów, malarzy II połowy XIX wieku – było zawsze ważnym motywem obrazów Kazimierza. Rozumiał impresjonizm i miał wielką wiedzę na temat tego okresu w malarstwie.

Wieczorami, kiedy brak światła naturalnego nie pozwalał już malować, Kazio dzielił się spostrzeżeniami na temat warsztatu, wywiązywały się ciekawe rozmowy nie tylko o sztuce, dialogi z dozą humoru, który nigdy go nie opuszczał. Można też było dowiedzieć się wiele na temat akwareli, tajemnic i efektów malarskich tej techniki. Zawsze uprzejmy, delikatny, nigdy nie starał się dominować w towarzystwie i jak nauczyciel z powołania dzielił się wiedzą. Bywało, że odwołując się do wspomnień, uświadamiał nam w jak pięknym miejscu na ziemi przyszło nam żyć i pracować twórczo.

„Kontakt z innym krajobrazem wydawał nam się dziwny, po raz pierwszy w życiu tak inny od naszego pejzażu, pełnego drzew, lasów, łąk, pól, rzek, jezior, mokradeł, świergotu ptaków i tych wieczorów pełnych tajemnych dźwięków, urokliwych koncertów. Ten step był jakby martwy, a dla nas – złowrogi, tajemniczy, nieznany.

Był lipiec, a więc lato w całej pełni – a tutaj step kazachski pusty, suchy, martwy. Stąd chyba bierze się określenie „kazachskie suche stepy”, później poznaliśmy i inne określenie: „stepy głodowe”. Ten step ożywał tylko wiosną, latem zamierał, a zimą pokrywał się śnieżną, białą pokrywą, bezkresną przestrzeń, gdzie szaleją burze śnieżne – burany.”

A my wypytaliśmy o szczegóły. Obawa o wywołanie emocji i otwieranie dawnych ran mieszała się z ciekawością. Ale on opowiadał pięknie i spokojnie, bez cienia gniewu czy nienawiści, raczej z pokorą i akceptacją zdarzeń, które były jego udziałem. Wówczas nasze gardła tężały, a oczy się szkiły.

Plenery z Kazimierzem były czasem nauki obserwacji natury i technologii malarstwa, ale także historii i patriotyzmu, wiary w Boga.

„Dzisiaj, po tych latach, kiedy odżywają te wspomnienia, uświadamiam sobie i nabieram przekonania, że nasze ocalenie zależało od jakiejś siły wyższej, że to wszystko graniczyło z dziejącym się realnie cudem! To łaska Boża, ręka



Kazimierz Wojewoda przeżył szczęśliwie z żoną Teresą 67 lat...

Stwórcy oddalała od naszego pociągu spadające bomby, rozrywające się pociski, ognie pożarów, walące się domy, strzaskane wagony. To ręka Pana otwierała nad nami parasol bezpieczeństwa i w ten sposób pozwoliła nam przetrwać największe niebezpieczeństwa.

W nasz bardzo długi skład wagonów nie trafiła ani jedna bomba, nie ulegliśmy pożarom, nie było katastrofy wykoślenia czy rozbicia wagonów. W żaden racjonalny sposób nie można sobie wytłumaczyć naszego ocalenia. Przeżyliśmy piekło, piekło, które trwało wokół nas przez wiele dni, a myśmy z niego wyszli cało uratowani (...).

„Pamiętam dokładnie wydarzenia, cały ich splot. Pociąg powoli jechał już po polskiej ziemi, jeszcze kilkadziesiąt metrów – zatrzymał się. Z wagonów wysypała się masa ludzka. Wszyscy: starzy i młodzi wybiegli na polską ziemię! Jedni padali, drudzy kłękali, jedni całowali ziemię, inni żegnali się i kłękali do modlitwy, unosząc ręce do góry. Ludzie padali sobie w objęcia, ściskając się, całując, płacząc z radości, skacząc do góry, krzyczeli, wołali, śpiewali – szła wyzwolonych ludzi, wczorajszych skazańców i zesłańców, a dziś ludzi wolnych, na swojej polskiej ziemi. Opisać tego entuzjazmu nie jestem w stanie, brak mi słów, brak określeń, brak możliwości opisanego tego, co serce, ludzka dusza i ciało może w takim momencie przeżyć, co może działać i jak się może zachować. Po tylu latach, kiedy wspominam to wydarzenie – muszę otrzeć łzy wzruszenia – to był najszcześniejszy dzień mojego życia.”

Zadawałam sobie pytanie – jak można mieć w sobie taki spokój po latach piekła na nieludzkiej ziemi. Nie mogłam pojąć, jak można malować kwiaty, kiedy w głowie wciąż złowrogo szumią kazachskie burany. A Kazimierz nie zadawał pytań, miał w sobie harmonię i pokój.

Znajomość technologii malarstwa w poręczach do „technologii życia” jaką poznał, była niewspółmierna. I czyni z niego Artystę Życia. Zaświadcza o tym książka „Pamiętam”, jego

autorstwa. Napisana niezwykle pięknie i plastycznie, operuje obrazem tak silnie, że czytelnik wręcz współuczestniczy w zdarzeniach.

Kazimierz – wielki przyjaciel liceum plastycznego, wielokrotnie zapraszany na spotkanie z uczniami w ramach obchodów Święta Niepodległości, 11 listopada. Przez pryzmat świadectwa własnych doświadczeń odkrywał przed nami wszystkimi wartość wolności, jak należy ją cenić i pielęgnować. Dzięki niemu od roku 2004 szkoła nosi imię Wojciecha Kossaka. To właśnie Kazimierz trafnie podszeptnął, by nie szukać patronów zbyt daleko, skoro nasz wielki batalista miał za żonę Marię Kisielnicką, szlachciankę herbu Topór urodzoną w Kisielnicy, a ślub brali w kościele w Porytem.

Ach, Kazimierz wiedział tyle rzeczy, tyle kultury i piękna nosił w sobie... Wiele zawdzięczał swojej babci, mawiał, że najtrudniejszą z prób przetrwali właśnie dzięki niej. Ona też zajmuje ważne miejsce w książce „Pamiętam”. „Babcia, chociaż prosta kobieta, staruszka, była zawsze jednak wielkiego serca, pełnego nadziei. W każdej krytycznej sytuacji potrafiła tworzyć dobrą atmosferę, budzić nadzieję, odsuwać zwątpienie, złość, niechęć do życia – tworzyć wiarę w przyszłość. Jej to proste powiedzenie – człek frasunkiem – Bóg ratunkiem – do dnia dzisiejszego są dla mnie przypomnieniem, że nigdy nie należy poddawać się, że w każdej sytuacji istnieją dwa wyjścia: albo, albo. Jeśli musi się stać coś najgorszego to być może, że się tak i stanie. Ale nie wolno biernie poddawać się losowi; kto się poddaje – ten sprzyja niekorzystnemu dla siebie rozstrzygnięciu swojej sytuacji. Jak wiele razy z tych jej rad w swym życiu korzystałem i korzystam. Żywi nie powinni nigdy tracić nadziei”.

Kazimierzu, jak bardzo będzie nam Ciebie brakować!

W artykule wykorzystano cytaty z książki Kazimierza Wojewody „Pamiętam”.

Przemysław Wojewoda

■ **CAFE KULTURA.** Kolejna edycja letniego cyklu wydarzeń, zaaranżowana przez Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych na Starym Rynku, rozpoczęła się 31 lipca. W programie znalazły się koncerty, wystawa i warsztaty dla dzieci i młodzieży. Na dobry początek – spotkanie z obrazami młodego artysty Mariusza Ołowskiego, który za początek swojej drogi artystycznej uznał dzień, gdy w dzieciństwie... zjadł kredki... Jak zwykle organizatorzy niezwykle nisko pokło-

podróże dla małych i dużych dzieci”. Profesjonalizm na każdym kroku, niezapomniane, wspaniałe wrażenia. WaK

MDK-DŚT

■ **WITAJ OJCZYŻNO!** Niezwykłym koncertem pod takim właśnie tytułem Filharmonia Kameralna im. Witolda Lutosławskiego uczciła Święto Wojska Polskiego i 100 rocznicę Cudu nad Wisłą. Przy bardzo licznie zgromadzonej publicz-

im. Witolda Lutosławskiego rozpoczęła 16. edycję Festiwalu „Sacrum et Musica”. W okolicznościowym słowie adresowanym do melomanów z regionu, maestro Jan Miłosz Zarzycki zapowiedział m.in.: – Jak zawsze pragniemy dostarczyć państwu niezapomnianych wrażeń w obcowaniu z muzyką wielką i piękną, choć niezwykle różnorodną. W programach naszych koncertów znajdują się dzieła sakralne i świeckie. Będą wspaniałe harmonizować z wnętrzami świątyń, które jak zawsze otworzą na muzykę swoje gościnne podwoje. Tym razem jednak będzie nieco inaczej: trudna sytuacja, w której znaleźliśmy się w związku z panującą od kilku miesięcy epidemią sprawia, iż ten festiwal będzie różnił się od poprzednich. Z uwagi na obowiązujące obostrzenia będziemy musieli ograniczyć liczbę słuchaczy, ale też wykonawców biorących udział w poszczególnych koncertach. Będą one jednak transmitowane online, co umożliwi wszystkim melomanom doświadczanie piękna wykonywanych tam dzieł. Niektóre z koncertów z konieczności odbędą się tylko w formie internetowej transmisji, co z pewnością nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z artystami. Mamy nadzieję, że mimo to dostarczą one Państwu wielu wspaniałych i głębokich wzruszeń. Rozpoczynamy więc naszą kolejną duchową i muzyczną ucztę, a Państwa zapraszamy do wspólnej biesiady!

Solistami koncertu inauguracyjnego byli: Anna Mikołajczyk-Niewiedział (sopran) oraz Leszek Świdziński (tenor). Artyściom towarzyszyli muzycy Filharmonii Kameralnej im. Witolda Lutosławskiego w Łomży pod batutą Jana Miłosa Zarzyckiego. W programie koncertu znalazły się słynne dzieła między innymi Jana Sebastiana Bacha, Wolfganga Amadeusza Mozarta i Antonio Vivaldiego. WK

☞ Marek Maliszewski



nili się miłośnikom muzyki: 1 sierpnia swingowali więc „Grzeczni chłopcy”, nazajutrz z muzyką country pojawiła się grupa „Colorado Band”, „Arek Czernysz Trio” zaczarowało miłośników jazzu, a „Bethel” uwodził miłośników reggae. Potem Dorota Lulka z zespołem przypomniła łomżaniakom świat piosenki francuskiej, znanej z interpretacji samej Edith Piaf. Z anonsu medialnego: „Piaf po polsku” w wykonaniu Doroty Lulki oraz Pawła Nowaka grającego na akordeonie i Macieja Sadowskiego na kontrabasie, to koncert najpiękniejszych piosenek Edith Piaf, śpiewanych w polskich tłumaczeniach Andrzeja Ozgi, Marcina Sosnowskiego i Wojciecha Młynarskiego. Niepowtarzalny klimat tego koncertu budują subtelne aranżacje utworów, wirtuozeria akordeonu Pawła Nowaka, kontrbasu Macieja Sadowskiego i wysokiej próby interpretacji aktorskie Doroty Lulki. Cały repertuar „Cafe Kultura” spiął Kuba Blekiesz z zespołem wieczorem zatytułowanym „Wiersze podróże”. W ramach towarzyszących spotkaniom warsztatów, od 3 do 7 sierpnia trwał łomżyński plener malarski dla dzieci i młodzieży. Warsztaty wokalne w dwóch grupach przebiegały pod hasłem „Muzyczne witaminy”, a warsztaty garncarskie nazwano „Letnie lepić”. Odebyły się ponadto warsztaty umuzykalniające pod hasłem „Muzyczne

ności w Parku Papieża Pielgrzyma 15 sierpnia 2020 roku, w ramach Rodzinnego Pikniku Patriotycznego, wystąpili: Andrzej Bator (baryton), Piotr Sawicki (skrzypce) oraz Małgorzata Marczyk (fortepian).

■ **SACRUM ET MUSICA.** 30 sierpnia koncertami najpierw w katedrańskim kościele, a potem w katedrze łomżyńskiej, Filharmonia Kameralna



WALIZKA

w czasach pandemii

– Epidemia przewartościowała i zmieniła wiele planów. Nagle zatrzymaliśmy się w miejscu, wygasiliśmy światła sceny, staliśmy się zakładnikami COVIDA i zastanawiamy się, co dalej z teatrem, festiwalem, niedokończonymi projektami czy odwołanymi spektaklami. To wszystko wymusiło przystosowanie 33 edycji festiwalu WALIZKA do sytuacji zupełnie nowej, nieprzewidywalnej w skutkach i nie do końca poddającej się naszej kontroli. Dbając o bezpieczeństwo widzów i artystów oraz niemożliwość przeprowadzenia planowanego wydarzenia, odwołaliśmy czerwcowy festiwal, który był przygotowany tak od strony programowej, jak i formalnej. W programie miało znaleźć się 20 teatrów z 11 krajów i w naszej ocenie festiwal miał być wydarzeniem artystycznym. Tak zapowiadał to „nadzwyczajne” wydarzenie festiwalowe jego dyrektor i dyrektor Teatru Lalki i Aktora w Łomży Jarosław Antoniuk.

Spotkania, zachowując kolejny, 33 numer, w założeniu miały kontynuować doroczną WALIZKĘ pod przypudrowaną nieco nazwą „33 Spotkania Teatralne WALIZKA – MOJE MIASTO”. Impreza – przy zachowaniu pełnego reżimu sanitarnego – pozbawiona została waloru rywalizacji. Na scenach improwizowanych w różnych przestrzeniach miejskich pojawiły się teatry wyłącznie polskie (zapowiadany na afiszach teatr z Ukrainy, z przyczyn niezależnych od organizatorów nie dojechał do Łomży) o bardzo różnorodnym charakterze i formie. Każdy jednak był na swój sposób bardzo oryginalny, nowatorski i mądry w przekazie, zapadający w pamięci widza. Bo nawet jeśli ktoś z założenia znudzony siedział na tak „oklepanego” „Czerwonego Kapturka”, to obudzony już w pierwszych chwilach spektaklu, świetnie zaaranżowanego przez Henryka Hryniewickiego, śledził z wypiekami na twarzy akcję aż do ostatniej chwili. „Czerwony Kapturek” zgromadził nadkomplet publiczności, ograniczonej wymogami sanitarnymi – pustą halę posklepową w galerii Veneda wypełnili malcy z mamami i tatuziami, rozłożonymi wprost na dywanie lub sklepowych poduchach. Wspaniała atmosfera i żywa reakcja dzieciaków na wszystko, co miał im do zaproponowania Henryk Hryniewicki z rzeszowskiego Teatru Nemno, wcielający się we wszystkie postaci z bajki o Czerwonym Kapturku, sprawiły, że i publiczność, i realizator zapewnili sobie wzajemnie znakomitą zabawę, głównie z czerwonym aksamitem w tle.

Zupełnie odmienna atmosfera panowała wieczorem drugiego dnia Spotkań na dziedzińcu klasztoru kapucynów, gdzie swoją scenę

zaimprovizował doskonale znany już łomżyńskiej publiczności Grzegorz Kwieciński – dyrektor i aktor Teatru Ognia i Papieru z Łodzi. To jego nazwisko ściągnęło publiczność, która z trudem mieściła się na klasztornym dziedzińcu. Przez bli-



sko godzinę w napięciu obserwowała ona działania Mistrza, który snuł bardzo mroczną opowieść o ludzkiej egzystencji, zatytułowaną „Relikwiarz” – według własnego pomysłu, scenografii, we własnej realizacji. Wszystko, o czym opowiadał, wypełniało zbudowany z metalu, papieru i dewastowany zachłannymi płomieniami relikwiarz,

a elementy tej opowieści to właśnie wypełniające go osobiste relikwie. Na uwagę zasługiwała towarzysząca aktorowi muzyka live w wykonaniu młodego kompozytora Piotra Zygmy oraz wiersz „wprowadzający”, wykonany przez Krzysztofa Zygme.

Ogromnym zainteresowaniem publiczności cieszyły się także inne „klasyczne” pozycje tegorocznej WALIZKI – na czele z „Calineczką” gdańskiego Teatru Barnaby czy równie znanym i popularnym „Jasie i Małgosią” Teatru Falkoshov. To także klasyczne dowody na to, jak bezkresna jest wyobraźnia twórców teatru, jak bardzo zdecy-

dowanie ich realizacje podążają poza utarte schematy i dotychczasowe standardy.

33 Spotkania Teatralne WALIZKA – MOJE MIASTO, z udziałem przedstawicieli władz, rozpoczynały się w bardzo symbolicznym miejscu. Nie jak dotychczas – w zacisznej, najeżonej „pomocami technicznymi” sali teatralnej, a w wolnej

przestrzeni miejskiej, w centrum miasta, na ul. Farnej, obok ławeczki jednej z najsłynniejszych polskich aktorek Hanki Bielickiej. Dzień inauguracyjny był pełen niespodzianek, dobrych emocji, radości, wspaniałych wrażeń. Taki sam był każdy z czterech dni festiwalowych. Rozpoczynający Spotkania spektakl z przemówieniami był na szczęście niezbyt długi, wkrótce potem uczestnicy mieli szansę obejrzenia w pobliskiej galerii „Pod Arkadami” retrospekcji fotograficznej z dotychczasowych WALIZEK, opartej głównie na dziełach fotografików z Gabs Foto: Marka Kucisza, Sławomira Klimczuka i nieżyjącego już Krzysztofa Sokolika.

No i zaraz potem ruszyła festiwalowa machina. Zabawny, inteligentny, wciągający do akcji publiczność muzyczny spektakl Teatru Muzikanty z Gliwic, to świetnie zainscenizowana, szalona lekcja muzyki wędrownych muzykantów, wykorzystujących m.in. instrumenty skonstruowane przez siebie, np. z czajnika, lub uznających za instrumenty stare garnki, kubki, szczotki itp. Kolejna tegoroczna „spotkaniowa” propozycja to widowisko Teatru Mígro z Krakowa, zatytułowane „Drom – ścieżkami Romów”. Plac przed katedrą łomżyńską okazał się – wbrew pozorom – wymarzoną miejscą dla tej inscenizacji, obrazującej historię Cyganów, wędrujących z taborami jeszcze nie tak dawno również w okolicach Łomży. Piękne, bardzo dynamiczne, w szczegółach dopracowane

widowisko bardzo gorąco zostało przyjęte przez publiczność.

Nie mogę nie zauważyć w tej, nieco chaotycznej, relacji jeszcze jednej prezentacji. Warszawski Teatr Pijana Sypialnia zapadł mi głęboko w serce trzy lata temu, podczas pozakonkursowej prezentacji na WALIZCE „Wodewilu warszawskiego”. Tym bardziej byłem ciekaw, co kryje ich nowe przedstawienie pod zapowiadaniem w katalogu tytułem „Klasy”. No i nie zawiodłem się. Każdy z pewnością smakował znakomite gruszki klasy, ale mało kto wie, że pewna podpoznańska klasa (drzewo, gruszka) ma ogromne zasługi w sprowadzeniu nieśmiertelności na każde ludzkie istnienie. Legenda, która z tym się wiąże, stała się podstawą dla przedstawienia, które przez godzinę daje szansę dwunastce młodych aktorów zaprezentowania swego naprawdę mistrzowskiego kunsztu. Towarzyszy im muzyka live, świetnie spójna z akcją przez Daniela Zielińskiego. Cudnie przeżyta, niezwykle absurdalna i zabawna akcja, w której nawet samobójcy i terroryści nie mają szans na spełnienie swoich osobistych planów, świadczą o ogromnych możliwościach Pijanej Sypialni. Dlatego wołam głośno: – Sypialnio, nie trzeźwiej! Szkoda, że niespodziewanym orzeźwieniem dla sobotniej prezentacji w Łomży okazała się potężna nawałnica i konieczność przerwania spektaklu, na szczęście już w końcowej jego fazie.

Bardzo mocny akcent przygotował dyrektor Jarosław Antoniuk na finisz tegorocznych Spotkań – spektakl „Ja gorę” w realizacji warszawskiego Teatru Akt, w którym nadzwyczaj wszechstronnie utalentowani artyści profesjonalnie wykorzystali sztukę „żywego” ognia, tańca, pantomimy, sztucel czy cyrkowych ekwilibrystów. Publiczności ręce puchły od braw, a i wykonawcy nie kryli radości z bardzo udanego przedstawienia.

33 Spotkania Teatralne WALIZKA – MOJE MIASTO są już historią. Pracownicy łomżyńskiej sceny mieli naprawdę pełne ręce ciężkiej, często fizycznej roboty. Mogą już spokojnie odpoczywać. Myślę, że z satysfakcją, bo choć pracy mieli co nie miara, to bilans wypada nader korzystnie. Teatr po raz kolejny udowodnił, że nawet w krytycznej sytuacji radzi sobie znakomicie, że jest przygotowany na wszystkie „niespodzianki”, że jest po prostu profesjonalny. Spotkania są tego bardzo dobrym potwierdzeniem pod każdym względem – od momentu projektowania całego wydarzenia aż po ostatnie szczegóły jego realizacji. Aż cisną mi się pod pióro słowa niezapomnianego Piotra Skrzyneckiego z krakowskiej Piwnicy pod Baranami: „Kochajcie Teatr, kochajcie Artystów, kochajcie Ludzi Teatru!” No i miejcie nadzieję, że w czerwcu przyszłego roku w Łomży ogłosimy inaugurację 34. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego WALIZKA!

WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI

Wawrzyniec Kłosiński

■ „BALLADYNA” NARODOWO CZYTANA.

Zrozumienie, co kieruje parą prezydencką przy dobieraniu lektury na doroczne „narodowe czytanie”, graniczy z cudem, więc nawet nie będę sobie zwracał tym głowy, pozostając w nieosamotnionej – z tego co wiem – nadziei, że dożyję czasów, gdy pan prezydent zarządzi narodowe czytanie Konstytucji i wtedy może również sam ją przeczyta. Tegoroczny pomysł z „Balladyną” potwierdza nie tylko moje rozterki. Nie jest to bowiem porywająca lektura, mimo że o ulubionym przeze mnie zabarwieniu kryminalnym. I wcale się

nie wstydzę, że ostatni raz miałem ją w rękach w technikum, jako wówczas lekturę obowiązkową. Mało tego – pamiętam, że potem jeszcze na maturze rozkminiłem jakieś wątki z awantury pomiędzy Balladyną i Aliną i całkiem dobrze na tym wyszedłem. Dlatego kiedy zadzwoniła pani Basia Piotrowska z Miejskiej Biblioteki Publicznej z propozycją przypomnienia sobie jednego z największych dzieł Słowackiego w „narodowym czytaniu”, nie zastanawiałem się. Tym bardziej, że bardzo odpowiadała mi rola Pustelnika w duecie z Balladyną, czyli zastępczynią starosty

łomżyńskiego panią Marią Dziekońską. A przy okazji ogromna radość z podglądania prezentacji innych wykonawców – pana posła L. A. Kołakowskiego, panów prezydentów, aktorów Teatru Lalki i Aktora, którzy znają „Balladynę” niemal na pamięć, bo przecież sztuka przez długi czas była na deskach tej sceny, mieszkańców miasta, nauczycieli czy wreszcie uczniów i Liceum Ogólnokształcącego pod wodzą Doroty Przestrzelskiej, których postępy oratorskie śledzę od dłuższego czasu i po „narodowej” walce z „Balladyną” mogę powiedzieć, że było dobrze, a momentami nawet bardzo dobrze! Mnie zachwycił specjalnie (a publiczność podzieliła moje zdanie) red. Adam Dąbrowski z Radia Białystok, znakomicie i ze swadą ripostujący Bogumile Olbryś, dyrektorce Wety, która momentami też nieźle sobie radziła, choć mam wrażenie, że dla potrzeb własnej „produkcji” nieco poprawiła Słowackiego. Znakomita organizacja, świetne, profesjonalne prowadzenie – to główne atuty tej imprezy. Obecna dyrektor MBP Teresa Fromelc-Pawelczyk witała swoją poprzedniczkę Krystynę Sobocińską i podkreślała znakomitą współpracę m.in. z Teatrem Lalki i Aktora, który użyczył imprezie scenografii z „Balladyny”, zaprojektowanej przez Pavla Hubiczkę.

Nie mogę natomiast zapomnieć zdziwienia reporterki tv, podpytującej mnie o patronat pary prezydenckiej „dla tej pięknej inicjatywy”. A ja powiedziałem jej tylko tyle, że czytałem, czytam i będę czytał, bo po prostu lubię i żaden patronat do tego nie jest mi wcale potrzebny. WaK

Adam Dąbrowski



Wawrzyniec Kłosiński (Pustelnik) i zastępca starosty łomżyńskiego, Maria Dziekońska (Balladyna)



DAWNO TEMU W BIBLIOTECE...

KADRY

Pierwszym kierownikiem, a zarazem organizatorem otwartej 3 maja 1946 roku Biblioteki Publicznej w Łomży został Tomasz Plebański. Był on równocześnie kierownikiem szkoły, w budynku której znajdowała się biblioteka (zdjęcie dolne).

Pod koniec 1946 roku w bibliotece została zatrudniona Kazimiera Gnattowa oraz Wanda Sypniewska, która 1 lutego 1947 roku zastąpiła Tomasza Plebańskiego na stanowisku kierownika biblioteki. Funkcję tę sprawowała do 31 sierpnia 1951 r. Nowym kierownikiem biblioteki została Helena Czernek.

Od 1948 roku w bibliotece zatrudniona była na stanowisku pomocy bibliotecznej Celina Przychodzeń (z d. Leszczyńska).

PROMOCJA KSIĄŻKI I CZYTELNICTWA W PIERWSZYCH LATACH POWOJENNYCH

Okazją do promocji czytelnictwa były organizowane od 1946 roku obchody „Święta Oświaty”. Zasady organizowania i realizacji uroczystości określała instrukcja wydawana na szczeblu centralnym w oparciu o uchwałę Rady Ministrów.

Podstawowym celem organizowanych przedsięwzięć była walka z analfabetyzmem poprzez promocję książek, prasy i instytucji publicznych w lokalnych społecznościach. Naturalnie imprezy te miały silny kontekst ideologiczny. Było to realizowane za pośrednictwem cyklu wystaw na stoiskach przede wszystkim bibliotek i szkół. W akcję włączały się też inne instytucje funkcjonujące w środowisku lokalnym, tj. sądy, ZNP czy też PZU.

W 1949 r. „Święto Oświaty” zmieniło nazwę na „Tydzień Oświaty Książki i Prasy”. 8 maja tegoż roku w Łomży, wzdłuż ulicy Dwornej, zorganizowano wiele stoisk różnych instytucji miejskich, wśród których znajdowała się też ekspozycja Biblioteki Publicznej.

Lokalny kronikarz tamtych czasów doliczył się 21 stolików ekspozycyjnych. Stoisko biblioteki zostało wyróżnione przez organizatorów. Biblioteka publiczna zdobyła pierwsze miejsce i została nagrodzona pamiątkowym albumem.

DANIEL FRĄCKIEWICZ



Stoisko Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Łomży
(oryg. w zbiorach MBP w Łomży)



Stoisko Szkoły nr 4



Stoisko Szkoły nr 2



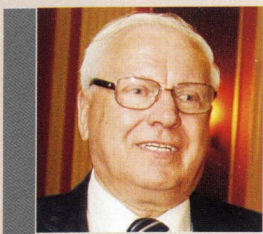
Stoisko ZNP



Stoisko Sądu Okręgowego



Pracownicy w pomieszczeniu biblioteki: Tomasz Plebański, po prawej – Wanda Sypniewska, po lewej – Kazimiera Gnattowa, stoi – Celina Przychodzeń (oryg. w zbiorach MBP w Łomży)



ZYGMUNT ZDANOWICZ

KRONIKA Łomżyńska

■ Decyzją wojewody podlaskiego od 1 czerwca Szpital Wojewódzki w Łomży przestał być tzw. szpitalem jednoimiennym; jednak pięć oddziałów nadal jest przeznaczonych tylko dla pacjentów zarażonych koronawirusem. Spotkało się to z niezadowolaniem mieszkańców Łomży i okolic. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ Z początkiem czerwca, mimo trwającej ciągle pandemii koronawirusa, otwarte zostały ośrodki kultury, muzea i parki.

■ Z okazji Dnia Samorządu Terytorialnego prezydent RP Andrzej Duda przyznał Złoty Krzyż Zasługi burmistrzowi Czyżewa Annie Boguckiej, Srebrny Krzyż Zasługi wójtowi gminy Zbójna Elżbiecie Parzych. Obie odebrały odznaczenia podczas uroczystości w pałacu prezydenckim w Warszawie. Wojewoda podlaski Bohdan Paszkowski wręczył odznaczenia kolejnym 19. samorządowcom z Podlaskiego. Złoty Krzyż Zasługi otrzymał instruktor Urzędu Gminy Kolno Antoni Lewandowski, Srebrne – wójt Gminy Mały Płock Józef Dymerski, wójt Gminy Łomża Piotr Kłys i radny Rady Miejskiej w Szepietowie Jan Ołdakowski. Brązowe Krzyże Zasługi otrzymali wójtowie gmin Śniadowo Rafał Pstrągowski i Grajewo Stanisław Szlefer oraz przewodniczący Rady Miejskiej w Czyżewie Witold Sienicki.

■ 6 czerwca jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej w Kołakach Kościelnych (gm. Zambrów) świętowała 95-lecie powołania.

■ 7 czerwca zmarła Helena Polewaczyk († 82), magister geografii, wybitny pedagog, doradca metodyczny nauczycieli geografii. Pracę zawodową rozpoczęła jako nauczycielka Szkoły Podstawowej w Miastkowie; następnie pracowała



w Rogienicach i Szkole Podstawowej nr 4 w Łomży. Do ostatnich dni życia angażowała się w pracę na rzecz emerytów Związku Nauczycielstwa Polskiego, w szczególności jako przewodnicząca Nauczycielskiej Sekcji Emerytów, później członek Rady Emerytów i Rencistów przy prezydencie Łomży. Była współtwórczynią Uniwersytetu Trzeciego Wieku przy Wyższej Szkole Agrobiznesu w Łomży, członkinią Zarządu Oddziału TPZŁ w Łomży. Odznaczona m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką ZNP i wieloma innymi.

■ 7 czerwca Łomża dołączyła do miast polskich, w których można wypożyczyć elektryczną hulajnogę na minuty. Rozstawione zostały w kilku punktach miasta.

■ 8 czerwca maturzyści przystąpili do egzaminu maturalnego z opóźnieniem jednego miesiąca. W tym roku miał on wyłącznie formę pisemną.

■ 9 czerwca zmarł Stanisław Roszkowski († 76), były trener i nauczyciel wychowania fizycznego w Zespole Szkół Budowlanych w Łomży. Uehonorowany m.in. przez prezydenta Łomży „Laurem Sportowym” za całokształt działalności na niwie sportu; wychowawca wielu juniorów odnoszących sukcesy w lekkiej atletyce w województwie i kraju. Sam uprawiał sport, w pchnięciu kulą uzyskał czwarty wynik w Polsce; odnosił także sukcesy w podnoszeniu ciężarów.



■ 10 czerwca w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku prezydent Polski Andrzej Duda wręczył przedstawicielom samorządów tablice upamiętniające zwycięstwo nad bolszewikami w 1920 roku. Trafiły one do wszystkich samorządów, na terenie których 100 lat temu trwały walki o wolność i suwerenność Rzeczypospolitej. Pierwsze z nich odebrali między innymi prezydent Łomży Mariusz Chrzanowski oraz burmistrz Zambrowa Kazimierz Dąbrowski.

■ Uroczysta plenerowa sesja Rady Miejskiej w Łomży (15 czerwca, w 602 rocznicę nadania Łomży praw miejskich), w roku Świętego Papieża Jana Pawła II, związana była z aktem symbolicznego odsłonięcia kamiennych tablic zawierających myśli Jana Pawła II oraz otwarciem Parku Papieża – Pielgrzyma w Łomży. Fot. Kamil Brzostowski



■ W okolicach Nowogrodu znajdują się trzy linie umocnień z czasów II wojny światowej – linia schronów bojowych SGO „Narew” (1939 r.), sowiecka linia Mołotowa (1941 r.), bunkry niemieckiej linii obrony z 1944 r. W czerwcu w Nowogrodzie nową serię programów dla Polsat Play z cyklu „Tajna historia

XX wieku” realizował dziennikarza i popularyzator historii Bogusław Wołoszański.

■ 19 czerwca odbyło się uroczyste przekazanie zakupionych przez łomżyński WORD 10 alkomatów komendantom policji z Łomży, Zambrowa, Kolna i Wysokiego Mazowieckiego. Przekazali sprzęt dyrektor WORD Mirosław Olieruk i wicemarszałek województwa Marek Olbrys.

■ 19 czerwca Jan Błażuk, uczeń Szkoły Podstawowej nr 4 w Zambrowie, odebrał nagrodę z rąk wojewody podlaskiego Bohdana Paszkowskiego za zdobycie siedmiu tytułów laureata konkursów przedmiotowych (matematyki, biologii, geografii, chemii, fizyki, informatyki i języka angielskiego) oraz tytułu finalisty z języka polskiego. To najlepszy wynik w województwie podlaskim. Fot. wspolczesna.pl



■ 20 czerwca w Piątnicy ruszyła pierwsza stacja wypożyczania rowerów (przy ul. Szkolnej 25). Mieszkańcy będą mogli swobodnie przemieszczać się na terenie Łomży i gminy Piątnica. Sponsorem stacji jest Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy.

■ Łomża stała się ponownie siedzibą garnizonu obejmującego miasto oraz powiaty łomżyński, zambrowski, wysokomazowiecki, kolneński i moniecki. Dowódcą garnizonu został płk Paweł Gałązka, dowódca 18 Pułku Logistycznego. Fot. Marek Maliszewski



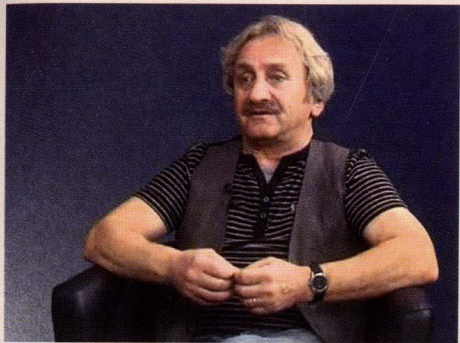
■ Starosta Lech Marek Szablowski został odznaczony 22 czerwca przez Zarząd Główny Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych medalem za zaangażowanie w działalność środowiska kombatanckiego w powiecie łomżyńskim. Medal za czynny udział w pracach Związku otrzymała też Małgorzata Modzelewska.

■ 26 czerwca wicemarszałek woj. podlaskiego Marek Olbrys z radnym sejmiku Piotrem Modzelewskim otworzyli bez rozgłosu ukończoną kilka miesięcy wcześniej obwodnicę Kupisk; drogi nie można było oddać do użytku z powodu skargi jednego z mieszkańców.

■ Grupa archeologów odkryła na Starym Rynku wiele artefaktów z przeszłości miasta, m.in. fundamenty trzeciego ratusza oraz blisko 7 tysięcy fragmentów ceramiki i monety. Prace wykopaliskowe ujawniły tego lata kilkanaście obiektów i ponad 46 tysięcy zabytków ruchomych, np. fragmenty ceramiki, kafle, kości

zwierzęce, monety, plomby i przedmioty codziennego użytku.

■ 40 lat temu, 29 czerwca 1980 r., ukazał się pierwszy numer tygodnika „Kontakty” – informuje redakcja na łamach swojego 1959 wydania. Redaktorem naczelnym tygodnika obecnie jest Władysław Tocki.



■ Z dniem 1 lipca ks. dr Robert Bączek, od 2010 roku wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży, został rektorem tej uczelni. Fot. www.wzasiegu.pl



■ OSM w Piątnicy wyróżniona została w rankingu dziennika „Rzeczpospolita” „Najważniejsze firmy dla Polski”, zorganizowanego z okazji 100-lecia istnienia pisma. OSM w Piątnicy została doceniona za nieustanny rozwój i konsekwentne umacnianie swojej pozycji na rynku krajowym i zagranicznym. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ Marek Olbrys, wicemarszałek województwa podlaskiego oraz ks. Krzysztof Jurczak, proboszcz z Łap, zostali uhonorowani Kordelasem Leśnika Polskiego. To najważniejsze odznaczenie, przyznawane przez Lasy Państwowe, zostało wręczone przez Andrzeja Józefa Nowaka, dyrektora RDLP w Białymstoku podczas uroczystości w szkółce leśnej Nadleśnictwa Giżycko (podległej RDLP w Białymstoku).

■ 4 lipca w Radziłowie ruszyło Kino Nadziei 2020. Odwiedzi ono 13 miejscowości na terenie diecezji łomżyńskiej. Ostatni seans odbędzie się w Tykocinie.

■ 5 lipca na parkingu przy PWSliP w Łomży ruszyło Letnie Kino Plenerowe – „Kino Samochodowe” (4 seanse); w sierpniu „Kino na Leżakach” przy Domku Pastora (6 seansów). We wrześniu i październiku ponownie ruszy „Kino Samochodowe”.

■ 6 lipca prezydent Łomży Mariusz Chrzanowski powołał od 1 września dyrektorów szkół na kadencję 2020-2025: w II LO mgr Jolanę Kossakowską, dotychczasową dyrektorkę; w III LO mgr Katarzynę Życzkowską, dotychczasową wicedyrektorkę; w Szkole Podstawowej nr 4 mgr Marcina Piotrowskiego, nauczyciela tej szkoły.

■ Łomżyńscy społecznicy: Jarosław Kaja – przewodniczący Łomżyńskiej Społecznej Rady ds. Osób z Niepełnosprawnością, Stanisław Kaseja – zastępca przewodniczącego Łomżyńskiej Rady Seniorów oraz Tomasz Wróblewski – prezes Łomżyńskiego Kłosa Ekonomii Społecznej otrzymali z rąk ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Marleny Małag certyfikaty „Lider Społeczności Lokalnej”.

■ Łomża kupiła 27 tzw. bezdotykowych urządzeń do darmowej dezynfekcji rąk, które rozmieszczono przed obiektami użyteczności publicznej w różnych punktach miasta.

■ Od jesieni 2019 roku we wsi Konopki Jalbryków Stok (gm. Zambrów) działa pierwsze w Polsce Stowarzyszenie Dżentelmenów Wiejskich. Przewodniczy mu Karol Klimaszewski. 26 lipca stowarzyszenie zorganizowało grilla, w którym uczestniczyli m.in. członkinie czterech sąsiednich Kół Gospodyń Wiejskich.

■ 13 lipca była posłanka na Sejm RP Bernadeta Krynicka objęła stanowisko dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży.



■ W rankingu państwowych wyższych szkół zawodowych miesięcznika „Perspektywy” Państwowa Wyższa Szkoła Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży zajęła 7 lokatę wśród 34 sklasyfikowanych uczelni, zdobywając 68,1 na 100 możliwych punktów.

■ Po 22 latach pracy i posługi siostry nazaretanki (m.in. S. Maksymiliana na zdj.) zamknęły swój dom w Łomży. Prowadziły sekretariat biskupa łomżyńskiego, katechezę w Szkołach Katolickich oraz zakrystię w katedrze. Fot. www.wzasiegu.pl



■ 15 lipca, jak co roku przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej oddali hołd ofiarom hitlerowskiego barbarzyństwa w Lesie Jeziorowskim. Modlitwom przewodniczył kapucyn, o. Jan Bońkowski. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ Z okazji 40 rocznicy powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” na placu Jana Pawła II w Łomży stanęła wystawa „Tu rodziła się Solidarność”, obrazująca najważniejsze regionalne fakty z okresu narodzin niezależnego ruchu związkowego.

■ 27 lipca prezydent Łomży Mariusz Chrzanowski podpisał z wicepremierem – ministrem kultury i dziedzictwa narodowego Piotrem Glińskim aneks do umowy z 2018 roku na współprowadzenie Filharmonii Kameralnej im. Witolda Lutosławskiego w Łomży do końca 2023 roku. Uroczyste podpisanie odbyło się w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Na uroczystości obecny był dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii Jan Miłosz Zarzycki.

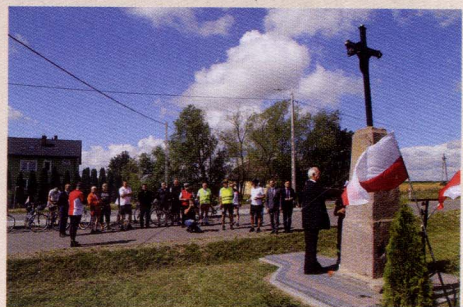
■ 28 lipca w Łomży ukazała się po raz pierwszy Gazeta Seniora, w całości zredagowana przez „Srebrnych 60+”, jako wkładka do 571 wydania „Narwi”.

■ 1 sierpnia w Łomży i innych miastach regionu uczczono 76 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. W pałacu prezydenckim 30 sierpnia prezydent Andrzej Duda odznaczył Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski uczestnika Powstania Warszawskiego mjr. Mieczysława Bruszewskiego ps. „Pudel” z Łomży.



■ 36 Piesza Pielgrzymka Łomżyńska na Jasną Górę, z powodu pandemii koronawirusa, wyruszyła z katedry 1 sierpnia w formie sztafety. Każdego dnia szło w niej od 5 do 9 osób z różnych dekanatów diecezji łomżyńskiej.

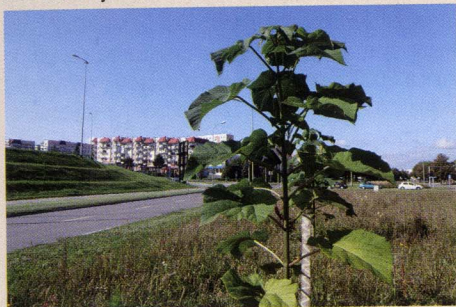
■ 17 uczestników XIII Rowerowej Pielgrzymki z Parafii Krzyża Świętego wyruszyło na trasę Szlakiem Bitwy Warszawskiej, by w ciągu 4 dni odwiedzić miejsca związane z Cudem nad Wisłą: Piątnicę, Mątewicę, Nowogród, Ostrołękę, Różan, Nasielsk, Nieporęt, Radzymin, Ossów, Sulejówkę, Wyszaków, Szumowo, Śniadowo i Łomżę. Fot. Jarosław Kucisz



■ 2 sierpnia w Piątnicy odbyły się uroczystości związane z uczczeniem setnej rocznicy obrony Łomży podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. W kościele pw. Przemienienia Pańskiego odsłonięto tablicę w hołdzie obrońcom ojczyzny i chrześcijańskiej Europy. Po mszy świętej władze złożyły kwiaty na grobach uczestników walk.

■ Od 24 lipca do 2 sierpnia trwał XXVII Festiwal Muzyczne Dni Drozdowo – Łomża. Pandemia koronawirusa znacznie ograniczyła liczbę koncertów i wykonawców, a także publiczności. Po inauguracji festiwalu w Drozdowie koncerty odbyły się w kościołach Łomży, Dąbrówki Kościelnej, Jedwabnego i Stawisk.

■ Wyższa Szkoła Agrobiznesu w Łomży bierze udział w adaptacji drzew tlenowych oxytree, dostarczających 10 razy więcej tlenu niż inne gatunki drzew liściastych, spotykanych w Polsce. Uczelnia współpracuje ze Stacją Badawczą Instytutu Ochrony Roślin w Białymstoku oraz Miejskim Przedsiębiorstwem Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży. Jest pionierem tych działań na Ziemi Łomżyńskiej. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ W Paproci Dużej (gm. Szumowo) uroczystie otwarto Izbę Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego, zorganizowaną przez Koło Gospodyń Wiejskich „Paprotki” w budynku po byłej zlewni mleka.

■ 2 sierpnia w Szumowie odbyły się uroczystości upamiętniające 100. rocznicę bohaterskich walk żołnierzy 201. Ochotniczego Pułku Piechoty, którzy 4 sierpnia 1920 r. na polach Paproci i Pęchratki stanęli naprzeciw armii bolszewickiej. Uhonorowano m.in. zasłużonych dla upamiętnienia wydarzeń z sierpnia 1920 r. Medale „Anioł Pamięci” im. Wiliama Beyera wręczyli wójt gminy Szumowo Jarosław Cukiernik i Monika Beyer – wnuczka pchor. Wiliama Beyera, który zginął w tym boju.

■ 3 sierpnia zmarł Kazimierz Wojewoda († 90) – nauczyciel, wychowawca, artysta plastyk. Zawód nauczycielski był jego wyborem, wypełniał go z pasją, zaszczepiając miłość do sztuk plastycznych uczniom i nauczycielom. Sam tworzył. Swoje akwarele prezentował na wystawach zbiorowych i indywidualnych. Sybirak, autor wspomnień „Pamiętam. Wspomnienia z Kazachstanu 1941-1946”. Współzałożyciel Związku Sybiraków w Łomży. Przez wiele lat także członek TPZŁ. Ceniony za skromność, pasję, mądrość życiową i życzliwość. Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Sybiru i Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.



■ Film „Jak najdalej stąd” w reżyserii Piotra Domańskiego z Łomży został zakwalifikowany do konkursu „Nowi reżyserzy”, w którym będzie rywalizować z 10 produkcjami, między innymi z Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Rosji, Chin oraz Brazylii podczas 68 Międzynarodowego Festiwalu w San Sebastian (Hiszpania) od 18 do 26 września.

■ 5 sierpnia w Jedwabnem uroczystie przecięto wstęgę i przekazano strażakom remizę po generalnym remoncie i rozbudowie.

■ 5 sierpnia Kapituła Podlaskiej Marki Roku 2019 ogłosiła nominowanych do nagrody w dziewięciu kategoriach. Urząd Miejski w Łomży otrzymał nominację w kategorii „Społeczeństwo” za samorządowe „becikowe”.

■ 6 miejsce w Polsce wśród miast powiatowych zajęło Wysokie Mazowieckie w rankingu najbogatszych samorządów w 2019 roku pisma samorządu terytorialnego „Wspólnota”. Zamożność miasta w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiła 4669,17 zł.

■ 100 rocznicę Bitwy Warszawskiej i święto Wojska Polskiego bardzo uroczystie obchodzono na Ziemi Łomżyńskiej. Oddano hold bohaterom tamtych wydarzeń. W Łomży obchody trwały trzy dni; m.in. na starym cmentarzu w kwatrze ofiar 1920 r. odsłonięto nowe nagrobki Franciszka Penkali i Janka Żbikowskiego. W Zambrowie odbył się koncert patriotyczny. Na cmentarzu w Lemanie przy grobie 53 polskich żołnierzy poległych w walce pod tą miejscowością została odsłonięta tablica pamięci Bitwy Warszawskiej, którą przekazał prezydent RP Andrzej Duda przewodniczącemu Rady Miasta Kolno Mariuszowi Rakowskiemu. Fot. Wawrzyniec Kłosiński.



■ 6 sierpnia zmarła siostra służka Teresa Kuryła († 69). Śmierć spowodował koronawirus. Od 1976 roku pracowała w łomżyńskim szpitalu jako dyplomowana pielęgniarka na oddziale kardiologii. Siostra należała do Zgromadzenia Sióstr Służek Najświętszej Marii Panny Niepokalanej, nosiła imię zakonne Paulina od Świętej Rodziny. Była dla chorych cierpliwa, pogodna i odpowiedzialna. Niosła pomoc pielęgniarską siostrom we wspólnocie zakonnej. Od 40 lat organizowała pielgrzymki do Częstochowy i Lichenia dla pracowników służby zdrowia. Fot. Wawrzyniec Kłosiński.



■ Grand Prix Mistrzostw Polski w Siatkówce Plażowej Kobiet rozegrano w Łomży na boiskach obok Orlika przy ul. Katyńskiej. Zwycięstwo w temperaturze 30 stopni C odniosła para Weronika Antczak – Justyna Kozłowska.

■ 9 sierpnia po raz pierwszy odbył się Bieg na Królową Bonę na dystansie 9 km (trzy pętle), z sześciokrotnym podbiegiem pod górę. Wśród kobiet zwyciężyła Patrycja Bereznowska – wielokrotna mistrzyni świata i Europy w biegu 24-godzinny; wśród mężczyzn najlepszy był białostoczanin Andrzej Leończuk.

Organizatorami zawodów były Stowarzyszenie „Biegamy dla Zdrowia” i gmina Łomża.

■ 9 sierpnia podczas Biegu na Wielką Sowę (1014 m n.p.m.) rozegrano Mistrzostwa Polski Seniorów w Biegu Alpejskim na trasie 10 km. Wygrał reprezentant ŁKS Prefbet Śniadowo Łomża Piotr Łobodziński i zakwalifikował się na Mistrzostwa Świata, które odbędą się na Lanzarote (Wyspy Kanaryjskie).

■ W sierpniu we wsi Przyborowo (gm. Grabowo, pow. kolneński) stwierdzono ognisko zgnilca amerykańskiego – niebezpieczną, zakaźną chorobę pszczoł. Wojewoda podlaski strefą zapowietrzoną objął 31 miejscowości w gminach Grabowo, Kolno, Szczuczyn.

■ Na polskiej mapie rejonów zagrożonych koronawirusem powiat grajewski trafił do strefy żółtej. Od 14 sierpnia na 2 tygodnie wprowadzono specjalne obostrzenia zapobiegające rozprzestrzenianiu się koronawirusa.

■ 14 sierpnia zmarła Hanna Kościuszko († 72), nauczycielka, pedagog, harcerka, członek ZNP, przewodnik wycieczek zagranicznych. Absolwentka Liceum Pedagogicznego w Łomży, magister pedagogiki opiekuńczej Uniwersytetu Warszawskiego. Nauczycielka szkół podstawowych w Tarnowie, Miastkowie i Łomży. Pełniła funkcję pedagoga szkolnego, kierownika świetlicy, kierownika Domu Studenta Studium Nauczycielskiego w Łomży i WSP w Olsztynie Wydziału Zamiejscowego w Łomży. Wychowawca Bursy Szkolnej nr 3, pracownik Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, kierownik Wydziału Harcerskiego Łomżyńskiej Chorągwi ZHP, inspektor do spraw hufców sezonowych Wojewódzkiej Komendy OHP w Łomży. Melomanka, wielbicielka opery, teatru, sztuki i literatury pięknej. Spoczęła na zabytkowym cmentarzu w Łomży.



■ 15 sierpnia w kaplicy cmentarnej w Śniadowie odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy poświęconej wywiezionym na Sybir. Inicjatywę zgłosiła i zajęła się sprawami organizacyjnymi nauczycielka miejscowej szkoły Elżbieta Mierzejewska. Poparły ją rodziny Sybiraków, wójt gminy Rafał Pstrągowski i proboszcz parafii ks. Tomasz Wilga.

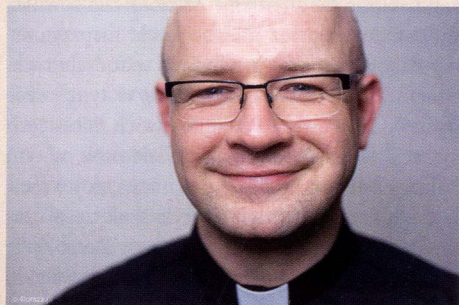
■ Dominik Boltralik, absolwent łomżyńskiej „Wety”, podopieczny lek. wet. Joanny Cwaliny pracą na temat „Ketoza – schorzenie metaboliczne bydła mlecznego w praktyce terenowej” i jej obroną zwyciężył w XVII konkursie im. dr. Jana Stypuły o indeks na I rok Wydziału Medycyny Weterynaryjnej SGGW w Warszawie.



■ 15 sierpnia droga ekspresowa S8 przebiegająca przez Podlaskie otrzymała nazwę „Trasa Bohaterów Bitwy Warszawskiej 1920 roku” na wniosek m.in. samorządów Szumowa i Kolak Kościelnych.

■ W bieżącym roku poziom wody w rzekach regionu jest bardzo niski. Z portu Łomża nie wypływają nawet kajaki i rowery wodne, a kładka Waniewo – Śliwno w Narwiańskim Parku Narodowym została zamknięta, gdyż pływające pomosty osiadają na mieliźnie.

■ 25 sierpnia proboszczem parafii Trójcy Przenajświętszej w Zambrowie i dziekanem dekanatu zambrowskiego został ks. dr Wojciech Nowacki – dotychczasowy proboszcz parafii Bożego Ciała w Łomży, rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży w latach 2006-2012. Parafię Bożego Ciała w Łomży objął ks. Radosław Kubel (na zdjęciu) – dr teologii, licencjat ratownictwa, koordynator Grupy Ratowniczej „Nadzieja”.



■ Koncertem „Preludium Festiwalowe” w kościele pw. Świętego Ducha w Kadzidle 30 sierpnia rozpoczął się XVI Międzynarodowy Festiwal Kameralistyki „Sacrum et Musica”, organizowany przez Filharmonię Kameralną im. Witolda Lutosławskiego w Łomży.

■ Damian Śliwiński, uczeń I LO w Łomży, zwyciężył w kategorii wiekowej 14 – 17 lat pop vocal podczas XXVIII Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Dzieci i Młodzieży „My XXI wiek” w Słonecznym Brzegu w Bułgarii.



■ 20 lat temu, 30 sierpnia 2000 roku, ks. kanonik dr Marian Mieczkowski objął obowiązki proboszcza parafii katedralnej w Łomży. Z okazji jubileuszu gratulujemy dzieł dokonanych w katedrze i parafii. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ 26 sierpnia rektor Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży dr hab. Dariusz Surowik został wybrany przez Zgromadzenie Plenarne Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych w Polsce na nowego przewodniczącego tego gremium. Gratulujemy.



■ XXV Zambrowska Pielgrzymka do Matki Bożej Pojednania w Hodyszewie (28-29 sierpnia) zgromadziła 30 pątników.

■ 29 sierpnia Mateusz Ramatowski, kulturysta z Zambrowa, podczas Mistrzostw Polski w Kulturystyce i Fitness w Siedlcach wywalczył złoty medal w kategorii open oraz srebrny medal i tytuł wicemistrza Polski w kategorii do 90 kg kulturystyka ekstremalna.

■ 29 sierpnia Paweł Gębusiak, zawodnik z Łomży, podczas Mistrzostw Europy federacji XPC w trójbój siłowym zdobył złoty medal w konkurencji Deadlift RAW w kategorii Paralympic Open do 82,5 kg i ustanowił nowy rekord Polski i Europy (180 kg).

■ 30 sierpnia ks. Tadeusz Kaczyński został proboszczem parafii Chrystusa Króla Wszechświata w Kolnie.



■ 1 września w Polsce rozpoczął się Powszechny Spis Rolny prowadzony przez Główny Urząd Statystyczny.

■ Z dniem 1 września w Łomży ruszył projekt „Fachowiec dla Seniora” poprawiający jakość życia osób 60+ i osób z niepełnosprawnością przez

zapewnienie dostępu do bezpłatnych usług w zakresie napraw drobnych usterek domowych. Zgłoszenia przyjmuje Centrum Integracji Społecznej.

■ 3 września w Łomży, pomimo pandemii koronawirusa, rozpoczęła się 33 edycja Spotkań Teatralnych WALIZKA – Moje Miasto, z udziałem 7 teatrów z Polski. Tegoroczny festiwal nie miał charakteru konkursowego i przebiegał na zmienionych zasadach. Było to piękne spotkanie ze światem teatru. Fot. Wawrzyniec Kłosiński



■ 4 września, w 15 rocznicę śmierci Jerzego Swoińskiego – nauczyciela i artysty plastyka, Galeria Sztuki Współczesnej Muzeum Północno – Mazowieckiego oraz przyjaciele artysty przygotowali wystawę upamiętniającą jego twórczość.



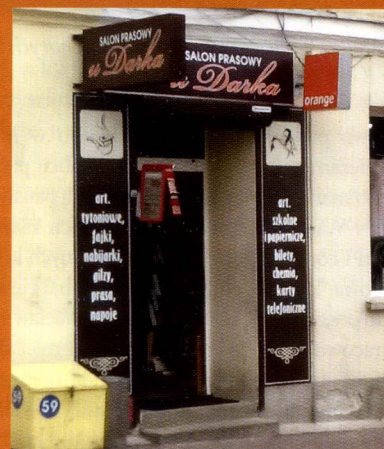
■ 5 września na Ziemi Łomżyńskiej odbyła się kolejna edycja Narodowego Czytania. Tym razem czytane były fragmenty „Balladyny” Juliusza Słowackiego.

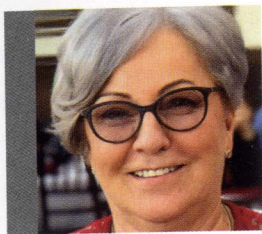
■ 6 września, podczas jubileuszowego spotkania z publicznością w Dworze Artusa w Gdańsku, brązowymi medalami Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” oraz nagrodami pieniężnymi ministra kultury i dziedzictwa narodowego uhonorowani zostali Jacek Szymański i Dariusz Wójcik z okazji 35-lecia pracy artystycznej i organizacyjnej.

■ Prezydent Łomży Mariusz Chrzanowski zwrócił się do mieszkańców miasta o konsultację w sprawie zagospodarowania terenu przy Parku Papieża – Pielgrzyma. We wcześniejszych konsultacjach najliczniejsza grupa łomżyńców wypowiedziała się na temat propozycji zagospodarowania Starego Rynku po zakończonych wykopalskach archeologicznych.

**WIADOMOŚCI
ŁOMŻYŃSKIE**
**kupisz z przyjemnością
w Salonie Prasowym**

u Darka
Łomża, ul. Dworna 4





JOANNA BANASIAK

O Leokadii Gorlińskiej, położnej z Wygody

*Życie wśród ludzi (4)***Na Syberii**

Babcia z dziećmi najpierw barką dotarła do miejscowości Bolszereczje, a następnie samochodem do sowchozu Czebaky 155, który był oddalony 180 kilometrów od poprzedniej miejscowości.

Zesłańcy byli zaskoczeni przychylnym przyjęciem ze strony mieszkańców. Okazało się, że większość z nich to potomkowie zesłańców z czasów carskich.

Deportowani zostali ostrzeżeni, że nie mogą oddalać się bez przepustki na odległość większą niż 20 kilometrów od sowchozu. Złamanie obowiązujących nakazów groziło karą, a jak twierdzili mieszkańcy, gdy człowieka zabiera milicja – to jeszcze wróci, lecz jak aresztuje NKWD – rodzina nigdy go nie zobaczy. Tak stało się z jednym z Polaków, panem Gronostajskim, który pewnego dnia został zatrzymany i wywieziony w nieznanym kierunku. Nigdy do rodziny nie wrócił.

W sowchozie elektryczność była tylko zimą, wtedy reperowano maszyny rolnicze i do tego potrzebny był prąd, więc go włączano. Poza tym okresem żyło się przy naftowym kaganku. W porównaniu z czasem transportu poprawiły się warunki higieniczne, bo była łaźnia, tzw. bania, z której zesłańcy mogli korzystać.

Dzieci w wieku szkolnym zaczęły chodzić do radzieckiej szkoły, także moja mama i wujek, którzy potem świetnie mówili po rosyjsku. W szkole brakowało papieru i atramentu, ale ten problem rozwiązała moja babcia, przynosząc z izby chorych nadmanganian potasu służący do odkażania ran. Rozpuszczała go w wodzie i roztwór służył dzieciom jako atrament.

Dotkliwie brakowało żywności, a jedynym sposobem uzupełnienia zapasów był handel wymienny. W sowchozie można było „zorganizować” wełnę, z której babcia i mama robiły na drutach skarpety, rękawiczki i swetry, dokonując później wymiany na jedzenie. Moja mama nigdy potem nie chciała wziąć drutów do ręki, tak przykre budziło to w niej wspomnienia.

Przełamała się dopiero, gdy urodziły się jej wnuki, którym kilka razy zrobiła rękawiczki. Innym sposobem handlu była wymiana części garderoby i rzeczy przywiezionych z Polski. Babcia za przywiezione z Polski prześcieradło i poszwę przez miesiąc otrzymywała litr mleka dziennie. Zamiast herbaty parzono suszone zioła, zbierane na polach.

Odmienne warunki życia i niedożywienie powodowały, że osłabione organizmy Polaków były ciągle atakowane przez różne choroby. Izby przyjęć w okręgu dostały instrukcje, jak postępować w razie ewentualnej epidemii tyfusu. Był to znak,

że epidemia wybuchła i się rozszerza. Wiadomo było, że zapewne dotrze i do sowchozu Czebaky. I tak się stało.

W szkole utworzono prowizoryczny szpital, gdzie na snopkach zboża służących za łóżka leżały chore osoby, w tym dużo dzieci. Zdrowym zakazano zbliżać się do szkoły. Zachorowała również moja mama i przez miesiąc leżała nieprzytomna. Babcia cały czas przebywała wśród chorych. Synem Tadeuszem zajmowali się w tym czasie państwo Dąbrowscy. Po około dwóch miesiącach sytuacja została opanowana. Wiele osób, w tym kilku zesłańców, zmarło. Moja mama, gdy wróciła do jako takiej formy, przeżyła szok, że w czasie choroby straciła swoje długie warkoczki. Życie w sowchozie wróciło do normy, dzieci wróciły do szkoły, ludzie do pracy.

Pewnego razu moja babcia dostała od wdzięcznej pacjentki małego prosiaka. Ze względu na duże mrozy początkowo trzymano go w domu. Dzieci traktowały go jak żywą zabawkę, a moja mama zawiązywała mu kokardę na szyi. Latem znajome Rosjanki, pracujące przy pryzmach zboża, przynosiły w gumowcach ziarno dla niego. Był tak nauczony, że nie ruszył się, dopóki nie wytarto mu ryjka. Najsmutniejszy był moment, kiedy podrosł na tyle, że trzeba było przeznaczyć go do konsumpcji.

Babcia kilka razy była wzywana na przesłuchania. Pytano, czy ma jakieś wiadomości od męża. Wypytywano o innych Polaków, jakie są nastroje wśród zesłańców, wśród pracowników w izbie chorych. Za każdym razem żegnała się z dziećmi, jakby miała je widzieć ostatni raz. Na szczęście zawsze wracała, była po prostu potrzebna w pracy, brakowało personelu.

Pewnej zimy chłopcy wybrali się po szkole nad Irtysz, by się poślizgać. Mimo zakazu babci wujek wybrał się razem z nimi. Nagle lód zaczął pękać i kilku chłopców, w tym wujek, zaczęli oddalać się na krze od brzegu. Ci, którzy zdołali wrócić na ląd, powiadomili starszych i wszczęto akcję ratunkową. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, poza mokrym ubraniem, mantem w domu i zapaleniem płuc.

Polacy mieli skąpe wiadomości o swoich bliskich czy znajomych z listów, które wprawdzie rzadko, ale przychodziły. Zachował się jeden z takich listów. Wysłała go do mojej babci dobra znajoma z Wygody, pani Franciszka Modzelewska, przebywająca także na Syberii, w miejscowości Jewgaszczyno. Opisuje sytuację swojej rodziny oraz dzieli się informacjami z Polski. Píše jaki los spotkał mieszkańców Wygody pochodzenia żydowskiego (...).



Babcia kąpie noworodka w izbie chorych na Syberii

Nowo przybyłych porozmieszczano w małych, niezamieszanych domkach. Babci przydzielono małą kwaterę wraz z rodziną państwa Reginy i Wacława Dąbrowskich oraz ich mamą Salomeą i córką Janiną z Kołak Kościelnych koło Zambrowa. Jako położną przydzielono babcię od razu do pracy w izbie chorych. Z kolei Wacław zaczął pracować w ubojni, a pani Regina w mleczarni. Pracujący otrzymywali deputat 25 dekagramów chleba dziennie. Był to chleb, który zawierał dużo plew z owsa, więc na początku nie bardzo smakował.

STEFAN KURPIEWSKI

Do 18 czerwca roku 1941, to jest do dnia wywiezienia nas do ZSRR, mieszkaliśmy z całą naszą rodziną we wsi Rozwory. Byli to: Roman Kurpiewski – ojciec, Marcjanna Kurpiewska – matka, Bolesław Kurpiewski – brat lat 27, ja miałem lat 17, Henryka Kurpiewska – siostra lat 14, Marian Kurpiewski – brat lat 11 i Apolonia Kurpiewska – siostra lat 7. Rodzice posiadali gospodarstwo rolne o powierzchni 8 ha i wszyscy pracowaliśmy na tym gospodarstwie. Pracy było dużo, ale żyliśmy dostatnio i szczęśliwie.

W połowie sierpnia 1939 roku najstarszego brata Bolesława powołano do wojska, do 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich w Grodnie, do jednostki, w której wcześniej odbywał służbę czynną. Z chwilą wybuchu wojny znalazł się w obronie Warszawy, gdzie walczył do kapitulacji.

Po wycofaniu się wojsk niemieckich znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. W końcu października 1939 roku powrócił z niewoli brat i jak dawniej pracował na gospodarstwie razem z rodziną, aż do marca 1941 roku. W marcu 1941 roku – dokładnej daty już nie pamiętam, tylko że było to w niedzielę – aresztowano brata Bolesława i odwieziono do nowo wybudowanych koszar w lesie obok przystanku kolejowego Kurpie i tam umieszczono w areszcie. Trzy dni później przyjechało do nas dziesięciu żołnierzy NKWD i zrobili rewizję. Przewrócili wszystko do góry nogami w domu, stodołę oraz oborach, a nawet kopali łopatami w szopie na drzewo. Pomimo, że nic nie znaleźli, aresztowali ojca.

Ja miałem już 17 lat i byłem najstarszy z pozostałego rodzeństwa, więc jeden z żołnierzy zabrał mnie ze sobą do stajni, tam złapał mnie za gardło, popchnął pod ścianę, mówiąc: „Ty swolocz, mów, gdzie brat ma broń”. Tłumaczyłem, że nic nie wiem, że brat żadnej broni nie ma, a on na to wyciągnął pistolet, trzasnął zamkiem, wymierzył do mnie i powiedział: „Gawari, a to ubiję jak sobaku”. Gdy nic nie odpowiedziałem, podszedł do mnie, uderzył w twarz, kopnął w tyłek i powiedział, żebym zaprzęgał konia do wozu i odwiózł ojca z nimi do Kurpi, do aresztu. Gdy ze strachu nie szło mi to zaprzęganie, sam zaczął mi pomagać. Wyprowadzili ojca. W domu zrobił się krzyk mamy i młodszego rodzeństwa. Ruszyliśmy, ja z ojcem na wozie, a czterech enkawudzystów na koniach za nami.

Gdy przyjechalśmy do koszar, zabrali ojca, a mnie kazali jechać do domu. W powrotnej drodze nic nie widziałem od łez, nie wiem, jak koń sam doprowadził mnie aż na podwórze. Cała rodzina wybiegła z domu i znów był krzyk i płacz, bo myśleli, że może zwolni ojca. I tak było przez cztery dni. Czwartego dnia wieczorem wrócił ojciec, już było trochę radości, ludzieliśmy się nadzieją, że może wypuszczą i brata, ale

niestety, brata nie zwolnili. Po tygodniu wywieziono go z koszar do więzienia w Łomży. Kilka razy jeździł do niego ojciec, ale do widzenia z nim nie dopuścili, tylko chyba dwa razy zezwolili na podanie paczki żywnościowej.

W nocy z 18 na 19 czerwca w 1941 roku nasz dom został otoczony przez NKWD i rozległo się walenie do drzwi, z okrzykami „odkrywaj”. Ojciec poszedł otworzyć drzwi i został otoczony przez żołnierzy. Jeden rozmawiał z ojcem, a trzech wpadło do mieszkania. Gdy ojciec wrócił, kazał nam wszystkim wstawać i ubierać się, bo będziemy wywiezieni. Mama zaczęła krzyczeć okropnie, płakać, a za nią cała rodzina. Powstał sądny dzień, nikt nie mógł ruszyć się z miejsca, aż bojcy zaczęli wypędzać z łóżek.

Kazano nam zabrać tylko to, co mamy w domu, ponieważ nikogo nie wypuszczano na podwórze, przy drzwiach i oknach stali enkawudziści. Na spakowanie się dali dwie godziny, nie mogliśmy nic zabrać z wyjątkiem rzeczy, które mogliśmy założyć na siebie i czegoś do jedzenia.

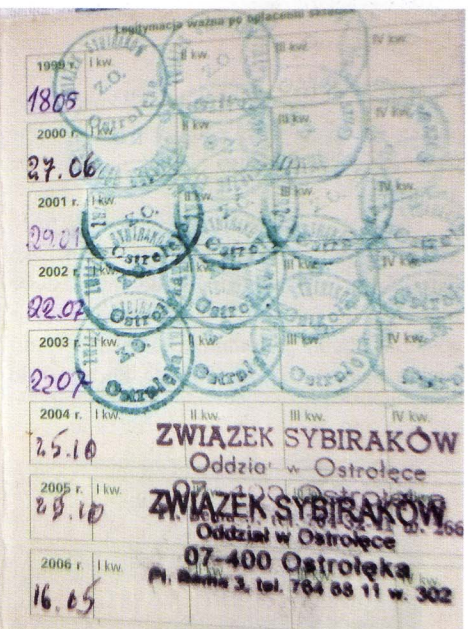


strony ulicy – Mieczysław Kryszpin i jego siostra Stefania Kryszpin.

Był 19 czerwca 1941 roku. Po załadowaniu na samochód zaraz ruszyliśmy wśród placu wywożonych i mieszkańców wioski, którzy zostali. Obstawa odjechała razem z nami.

Zawieźli nas na stację kolejową Śniadowo, gdzie już stało bardzo dużo wagonów. Podwieźli nas do rampy i kazali szybko wyładować się z samochodu. Naokoło było bardzo dużo wojska. Cały plac był zapchany ludźmi i tobołami, a wciąż jeszcze przywozili nowych, wszystko otoczone było enkawudzistami.

Koło godziny 11 rozpoczęto załadunek. Przyjechało kilku oficerów z listami, według których kolejno rodzinami prowadzono do wagonów. Nasza rodzina trafiła do dużego wagonu, do którego wpełniło aż 17 rodzin, a w kilku rodzinach były i niemowlęta. W dodatku tyle tych tobołów – okazało się, że nie wszędzie podchodzono tak rygorystycznie do tego, co można i ile zabrać. W sumie po załadunku brakowało miejsca dla ludzi, więc



„Zapomnijcie o Polsce”

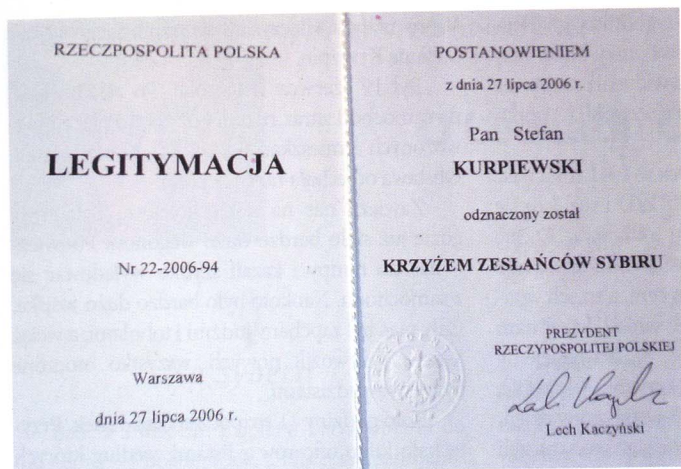
Na prośbę ojca zezwolono zabrać pościel i trochę bielizny. I tak wśród placu i popędzania zebraliśmy się, nie wiedząc, co się wokół naszego domu dzieje. Gdy ktoś chciał wyjść za swoją potrzebą, szedł z nim żołnierz. Czekaliśmy na samochód, który miał nas zabrać. Koło godziny 3-4 rano podjechał samochód i wśród krzyku i placu załadowano nas.

Proszę się nie dziwić naszej rozpacz, ponieważ dorobek całego życia ojca, matki i całej rodziny, cały inwentarz, dom, budynki gospodarcze, całe gospodarstwo, w którym mieliśmy wszystko i wszystkiego pod dostatkiem, szło na zatracenie.

Teraz dopiero zauważyliśmy, że oprócz naszej rodziny, w której brakowało tylko brata Bolesława, wywożone są jeszcze dwie, to jest Pani Choroszewska z dwoma synami oraz sąsiedzi z drugiej

każda rodzina siedziała, a nocą spała na swoich tobołkach. O chodzeniu nie mogło być mowy. Duży problem sprawiało przejście do drzwi, w których była umieszczona rura blaszana zamiast ubikacji, w kształcie lejka tak szerokiego u góry, że gdy przyszło załatwić obie potrzeby na raz, trzeba było dłużej wprawy, żeby trafić do rury. Towarzyszyły nam więc dość przykre zapachy, do których początkowo trudno się było przyzwyczaić, a ponadto trzeba było się załatwiać na oczach wszystkich. Dopiero dzięki współlokatorom, które zabrały większy zapas bielizny pościelowej, zorganizowano zasłonę. Najgorzej było gdy przyszła chęć załatwienia się nocą, to już była makabra.

Załadunek zakończono przed wieczorem, na zachód słońca wszystkie wagony były zaryglowane, a naokoło warty. Ktoś w tajemnicy dowiedział się od kolejarzy, że nad ranem mamy ruszać.



I rzeczywiście, tylko zaczęło się rozwidniać, podjechały parowozy i ruszyliśmy. Pomimo takich przeżyć, takiego zmęczenia – nikt nie spał. We wszystkich wagonach, jak pociąg długi, rozległ się krzyk rozpacz, płacz, ludzie modlili się, śpiewali pieśń „Kto się w opiekę odda Panu swemu” i pieśni do Matki Boskiej Częstochowskiej. Jak kto mógł, tak żegnał się ze swoją ziemią, rodziną, z Polską, Ojczyzną. Drugi taki moment rozpacz i pożegnania przeżyliśmy, gdy przekraczaliśmy granicę polsko-sowiecką, chociaż nikt dobrze nie wiedział, czy to naprawdę w tym miejscu była granica.

Dalsza droga to już tylko liczenie dni i nocy, a potem to w ogóle straciliśmy rachubę dni, tylko czekaliśmy, kiedy dadzą nam wodę, której zawsze było brak. Był czerwiec, a potem lipiec, okropne gorączki, wagon przeładowany, duszno, wprost trudno było wytrzymać. Jedynie nocami było

trochę ulgi, gdyż próbowano odsuwać trochę deski zasłaniające okna, jednak gdy strażnicy zauważyli, że chociaż trochę odsunęto te deski, za karę zatrzymywano przydział wody. Była to największa kara z powodu pragnienia, bo o myciu to nie było mowy. Wody otrzymywaliśmy sześć wiader dziennie na 17 rodzin, ale czasami, gdy nie było dłuższego postoju, ilość ta musiała wystarczyć na 2 albo 3

dni. Wtedy to już była rozpacz, a najgorzej było z małymi dziećmi. W czasie transportu, a było to już daleko za Moskwą, dwoje niemowląt zmarło. Doszło do ostrych starć w wagonie, bo matki ukrywały zmarłe dzieci tłumacząc się tym, że chciały je pochować, gdy dojedziemy na miejsce, jednak z powodu temperatury musiały się z nimi rozstać. Na którejś ze stacji odebrano im zwłoki, a gdzie je pochowano, nikt nie wie.

W miarę przedłużania się podróży pogarszały się warunki w wagonie. Brud, smród okropny, ludzie zaczęli chorować. Stan ten pogarszały jeszcze długie postoje na bocznicach, bo linie kolejowe były zajęte przez transporty wojskowe, załadowane wojskiem i sprzętem, które jeden za drugim jechały na zachód, w stronę frontu. W dodatku zaczęli karmić nas solonymi śledziami, co potęgowało pragnienie, a potem nie dawali wody, co

było nie do wytrzymania. Po przejechaniu Nowosybirsk, od stacji Barnaul zaczęli co kilka przystanków zostawiać po dwa – trzy wagony i tak dojechalśmy do stacji Topczycha (na południowy zachód od Barnaulu). Był 22 lub 23 lipca, dokładnie nie pamiętam. Na tej stacji zostały odpięte od transportu trzy wagony, w tym i nasz. Ponieważ była noc, staliśmy na stacji do rana. Do południa czekaliśmy na rampie, a potem umieszczono nas w magazynach zbożowych obok stacji. W tych magazynach byliśmy tydzień. Po tygodniu przyjechało kilku cywilów. Okazało się, że są to przedstawiciele kołchozów i sowchozów z rejonu topczyńskiego i każdy wybierał sobie tyle ludzi, ile było mu potrzeba do roboty.

Moja rodzina z szesnastoma innymi trafiła do sowchozu oddalonego o 15 km od Topczychy. Był to Czystiński Swiekłosowchoz. Ze stacji przewieziono nas samochodem i umieszczono w baraku, w którym przed nami trzymano owce. Do baraku tego wpełniono aż 12 rodzin. Na sześć osób, z których składała się moja rodzina, dostaliśmy dwa żelazne pojedyncze łóżka, które ustawiliśmy wzdłuż obok siebie, gdyż inaczej sześć osób w żaden sposób by się nie zmieściło. I tak leżeliśmy prawie jedno na drugim, co – gdy przyszła zima – okazało się bardzo dobre, bo było ciepło. Było tak ciasno, że łóżka nasze stykały się z łóżkami drugiej rodziny, a jedynie w środku baraku było przejście szerokości około 60 cm (...).

Od redakcji: tekst publikujemy za zgodą ks. Mieczysława Kobrzeńskiego z Ostrołki – siostrzeńca S. Kurpiewskiego, dysponenta Jego praw.

STEFAN KURPIEWSKI



Biało-czarny patriotyzm

Nasza flaga narodowa po ostatnich wyborach powinna być symbolicznie biała – czarna, tak jak niemal równiutko podzielił się na dwie zupełnie różne części. Niezależnie od tego, która połowa społeczeństwa jest tą czarną, a która białą. A właściwie która za taką samą się uznaje, w opozycji do tej drugiej części. Polaryzacja udała się znakomicie. Tym, którym na niej zależało. I nie chcę wskazywać kto – moim zdaniem – zawińł bardziej, bo każda z tych dwóch części społeczeństwa na pewno doskonale wie, że to wina tej drugiej, która myśli czy czuje inaczej.

I z tego już chociażby wynika, że ów podział to „zasługa” obu stron.

Z jednym poglądem, głoszonym zresztą, o dziwo, zgodnie przez obie, mogę się zgodzić – podzielono nas z pełnym rozmysłem i premedytacją, żeby łatwiej było rządzić. Zresztą w myśl starorzymskiej zasady: divide et impero. Tyle, że mniej lub bardziej dyskretnie robiły to obie strony: i ta rządząca nominalnie, i ta „rządząca” opozycja. To drugie w cudzysłowie nie dlatego, że odmawiam im wpływów, tylko dlatego, że je przecenili. Pokazały to właśnie wyniki tych wyborów.

„Aż 57 procent Polaków chce zmiany” – słusznie zauważył po pierwszej turze kandydat Koalicji

Obywatelskiej, nie wiadomo dlaczego zakładając, że chodzi o zmianę, obojętnie jaką. Zapomniał jakby, że znana prawda wyborów prezydenckich (a kilka ich już mieliśmy, więc można było sobie przypomnieć) głosi, że w pierwszej turze głosuje się na konkretnego kandydata, a w drugiej „przeciw” temu mniej akceptowalnemu. I nie wiadomo dlaczego, jego doradcy nie wzięli zupełnie pod uwagę faktu, że jako przedstawiciel konkretnego ugrupowania, może mieć większy elektorat negatywny niż jego rywal.

A był ostrzegany. Jeszcze przed pierwszą turą pojawiły się wyniki sondażowe wskazujące, że jeśli dojdzie do ostatecznego pojedynku, to na wygraną z obecnym prezydentem RP ma szansę tylko jeden z dziesięciu kontrkandydatów. Chociażby dlatego, że nie mógł być utożsamiany z żadną partią, aczkolwiek nieśmiało próby takiego przypisania czyniono.

Gdyby opozycji naprawdę zależało na zmianie jako takiej, znając te sondaże, powinna od razu zgodnie przekazać całe swoje poparcie temu jednemu, który miał szansę jej dokonać. Bo jego siłą był oddolny ruch społeczny – tego nie da się atakować tak, jak mniej czy bardziej znane już ugrupowania partyjne.

Łomża regionalna



Nie robiąc tego, pośrednio udowodniono, że nie tyle chodziło o samą zmianę, ile o jej konkretny kształt. Nie chciałbym posunąć się do podejrzeń, że jej pomysłodawcy woleli przegrać w finale, niż pozwolić, by wszedł do niego ktoś inny. To przecież mogłoby zachwiać duopolem i okazałoby się, że nie wszystko musi być tylko albo czarne, albo białe. I że patriotyzm to niekoniecznie odmiana „patriotyzmu”.

Symboliczne ustawienie Pawlakowego (czy też Kargulowego) płotu dało asumpt do tego, żeby zająć pozycję po którejś z jego stron. Deklarując jednocześnie czy wolimy należeć do grupy ksenofobicznych i roszczeniowych prostaków, czy do cynicznych i rozpustnych agentów obcych państw.

A przecież idąc tropem dalszych porównań do przywołanego już scenariusza, wypadaloby przypomnieć, że najlepszym mediatorem między tymi dwoma tak różnymi rodakami – sąsiadami był niezaangażowany w rodowe anse softys.

Nawet, jeśli na siódmy dzień tygodnia zabrał spornego kota do siebie, żeby i u niego myszy łapał.

Tekst tego felietonu jest podszyty sentymentem historycznym i chciejstwem regionalisty. A ma też domieszkę goryczy. Z góry uprzedzam, że nie będzie to mikstura groźna dla wysokociśnieniowców. Choć czy można jeszcze czymś nastraszyć rodaków w dobie koronawirusa i powyborczego przeciągania liny?

Z dumą powtarzaliśmy i wciąż bezwiednie powtarzamy, że Łomża to stolica regionu. Nie województwa, choć dla niektórych obywateli III RP województwo i region to dwa terminy tożsame, na określenie tego samego terytorium. Z tym się absolutnie nie zgadzam, bo region nie ma ściśle określonych granic, nie jest przez kogoś wyznaczony, nazwany i rozliczany. Region powstaje wskutek naturalnego ciężenia ku centrum, wspólnej przeszłości, zespolonej a przynajmniej podobnej gospodarki, powiązań rodzinno-zawodowo-środowiskowych. Najważniejsza zaś jest wspólna świadomość, duma, radość.

Tak było w ziemi łomżyńskiej, która przetrwała realnie przez niemal cztery wieki, a po raz pierwszy nazwa pojawia się w źródłach w 1414 r. Natomiast w departamencie łomżyńskim (1807-1815), w guberni łomżyńskiej (1866-1915) i w województwie łomżyńskim (1975-1989) granice jednostek administracyjnych z siedzibą władz w Łomży znacznie się powiększyły w stosunku do staropolskiej ziemi łomżyńskiej. Im dłuższej taka zależność administracyjna istniała, tym

skuteczniej powiększał się i zasięg regionu. Nazywano go Mazowszem Łomżyńskim lub Mazowszem Północno-Wschodnim. Co superważne, poczucie więzi regionalnej przetrwało i w „latach chudych” dla powiatowej Łomży, czego dowodem dwudziestolecie międzywojenne i trzydzieści lat po drugiej wojnie światowej.

Nie oszukujmy się, znów mamy lata chude, Łomża pozostaje powiatem grodzkim, siedzibą powiatu ziemskiego oraz gminy. Trzy w jednym, ale obszarowo skromnie, a w dodatku wieść niesie, że Łomża się wyludnia i przeżywa gospodarczą zadyszkę. Powiat zaś to nie region, można co najwyżej mówić o podregionie (subregionie). Bo kto jeszcze chce ciężać do słabnącej Łomży? I pytanie ważniejsze: co robią władze słabnącej Łomży, by utrzymywać kontakty z byłym już regionem, jakie pojawiły się inicjatywy integrujące, kiedy odbyło się spotkanie na „szczeblu regionalnym”?

Raz jeszcze i wyraźniej powtórzę: nie występuję przeciwko wpisaniu Łomży do województwa podlaskiego, górę wówczas wzięła racja stanu. To brzmi poważnie, stało się, minęło dwadzieścia lat. Nikt jednak nie zabrania podtrzymywania więzi regionalnych. Diecezja łomżyńska zachowała swą tożsamość i biskup Janusz nie podzielił jej na części wojewódzkie. Narew płynie, jak płynęła i łączy, a nie dzieli. Wspólnej historii nikt nie jest w stanie zamazać i takich tendencji nie dostrzegam. Bardzo wiele wspólnych elementów zawiera kultura mazowszan północno-wschodnich, w tym potomków drobnej szlachty i braci Kurpiów. Gospodarcze kłopoty też winny zespalać i tak można wyliczać, ale chyba nikt nie ma zamiaru nawet o tym pomyśleć. Ot, choćby na początek przy stole łomżyńsko-ostrołęckim.

A może po prostu region łomżyński to już zamierzchła przeszłość i trzeba tę wartość umieścić na półce w archiwum? Na otarcie łez pozostanie nam wówczas Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej i ... „Wiadomości Łomżyńskie”.

A. CZ. DOBRŃSKI

📷 Wawrzyniec Kłosiński

Janusz Grzymkowski

(1928-2020)



W poniedziałek, 27 lipca b.r., w 92. roku życia zmarł Janusz Waław Grzymkowski, pułkownik artylerii, łomżyński nad Bałtykiem. Janusz należał do elity długowiecznych, oddanych i zasłużonych członków Oddziału naszego Towarzystwa w Koszalinie. Pogrzeb odbył się 1 sierpnia na cmentarzu w Kołobrzegu, z należytym przygotowaniem i przebiegiem.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się z asystą wojskową. Pułkownik w mundurze galowym. Podwójna warta honorowa. Po modlitwach – przewóz na ławeczce armatniej. Orkiestra i kompania honorowa. Przy miejscu spoczynku odegrany został hymn państwowy. Trzykrotna salwa. Podniosły nastrój. Wśród uczestników – wielu wyższych oficerów w galowych mundurach, z aksebantami i odznaczeniami. Wiele wieńców i kwiatów. Wraz z moim bratem Sylwestrem złożyliśmy wiązanki z szarfami: „Zasłużonemu Łomżyńskowi – Zarząd Główny TPZŁ” oraz „Drogiemu Januszowi – Koszalińscy Łomżyńscy”.

Nad grobem pożegnał pułkownika Szef Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego w Kołobrzegu.

Również ja, w imieniu łomżyńskości zegnaliśmy naszego Przyjaciela tymi słowami:

„W ostatni wtorek życia pułkownika Janusza byłem z Jego synem Wojciechem w domu pomocy. Był bardzo chory. Niewiele i niewyraźnie mówił. Uściskałem Jego rękę i przekazałem pozdrowienia. Odpowiedział wzrokiem, a w Jego wymowie zrozumiałem jedno słowo: dobrze! To jedno słowo określa Jego życie – bardzo długie, bardzo godne i spełnione życie. Był wychowany w rodzinie patriotycznej z tradycjami sięgającymi początków naszej niepodległości. Wieloletnia służba wojskowa potwierdziła zaszczyt Jego życia dla dobra innych oraz dla Ojczyzny. Przed służbą żołnierską dał się poznać jako sprawny sportowiec. Był piłkarzem Łomżyńskiego Klubu Sportowego; był szybki i wytrzymały. 100 m biegał w 12 sekund. Grał także w wojskowych drużynach piłkarskich podczas nauki w szkole oficerskiej.



Janusz był absolwentem Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu. Po jej ukończeniu służył w jednostkach artylerii, sukcesywnie awansował, pełniąc coraz wyższe funkcje. Od 1956 r. związany z Kołobrzegiem. W 1981 r. zajął się pracą społeczną. Organizował Związek Byłych Żołnierzy Zawodowców i był we władzach związku.

Przez całe życie Janusz był związany ze swoim rodzinnym miastem – z Łomżą. Z Łomży pochodziła Jego żona Alicja, z którą przeżył ponad 65 lat. Oboje byli harcerzami. Janusz często uczestniczył w zlotach i obozach Drużyny Weteranów im. Leona Kaliwody w Łomży i pełnił funkcję

komendanta. Uzyskał godność Zasłużonego Weterana Harcerstwa Łomżyńskiego oraz stopień Harcerza Rzeczypospolitej.

Janusz miał bardzo duże zasługi w działalności Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Ponad 30 lat temu był współzałożycielem Oddziału w Koszalinie i był ważnym, silnym filarem w zarządach oddziału. Wielokrotnie łomżyniacy przyjeżdżali do Kołobrzegu na uroczystości rocznicowe i niepodległościowe, w których uczestniczył i był honorowany pułkownik Janusz. Był naszą ikoną i znakomitością podczas tych uroczystości. Łomżyniacy i Łomża są dumni z Janusza

i za to od serca Mu dziękujemy. I dlatego to słowo DOBRZE, usłyszane podczas naszego ostatniego z Nim spotkania, ma wymiar symboliczny. Miałeś Januszu dobre i godne życie i my z Łomży winszujemy Tobie tego dobrego życia i za to piękne życie Ci dziękujemy!

A teraz żegnam Ciebie od łomżyniaków, żegnam Ciebie w imieniu Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Żegnają Ciebie harcerze łomżyńscy, żegna Ciebie Łomża! Spoczywaj w pokoju!

ANDRZEJ TOMASZEWSKI,
prezes Oddziału Koszalińskiego TPZZ



Marek Długosielski

(1950-2020)

facebooku pojawiły się wyrazy współczucia i wspomnienia o nim i o jego nieżyjących już rodzicach („To byli cudowni ludzie, miałam przyjemność pracować z Mamą Marka...”).

Zmarł Marek Długosielski – czołowy polski sprinter z początku lat 70.

Urodził się w 1950 roku w Łomży. Był absolwentem I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki. Lekkoatletykę zaczął uprawiać pod okiem słynnego białostockiego trenera Janusza Kuczyńskiego w „Podlasiu” Białystok. Na początku lat 70. należał do najlepszych sprinterów w Polsce. W późniejszym okresie startował w barwach klubu MKS-AZS Warszawa. Dwukrotny finalista mistrzostw

Polski – w biegu na 200 metrów (1972) oraz sztafecie 4 x 100 metrów (1974). Aż 20 razy ustanawiał rekordy okręgu podlaskiego w biegach sprinterskich (100 m, 200 m) oraz wraz z kolegami klubowymi z Podlasia Białystok w sztafecie 4 x 100 m.

Sportowe tradycje kontynuował jego syn Piotr. W 1999 roku Marek został mistrzem świata w biegu rozstawnym 4 x 400 metrów, a w latach 2012-2016 był sekretarzem generalnym Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Od wielu lat miał w Łomży wielu przyjaciół.

Spoczął 28 lipca b.r. na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

*Zdjęcie i inf. dzięki uprzejmości
red. Jerzego Górko.*

Wyjechał z Łomży wiele lat temu, a każdy jego – nawet krótki – powrót nad Narew wzbudzał w wielu kręgach serdeczne poruszenie. Niezwykle przyjazny, otwarty, zawsze skory do pomocy każdemu słabszemu; każdemu, kto tej pomocy potrzebował. Brat – dusza. Dlatego wiadomość o jego odejściu wywołała głęboki smutek wśród wielu łomżyniaków. Na



WIADOMOŚCI ŁOMŻYŃSKIE – kwartalnik Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej • www.lomzyniaczy.org

Redaktor naczelny: Wawrzyniec Kłosiński, e-mail: wawrek.klosinski@gmail.com

Zespół: Józef Babel, Łukasz Czech, Adam Dąbrowski, Adam Kozłowski, Adam Kozłowski, Maria Kaczyńska, Iwona Krzepkowska-Bulat, Irena Rymwid-Mickiewicz, Karolina Skłodowska, Gabriela Szczęsna, Maria Tocka. Korekta: Maria Kaczyńska.

Adres redakcji: ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża, e-mail: zgtpzl@lomzyniaczy.org

Wydawca: Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, prezes – Zygmunt Zdanowicz

WYDANO PRZY WSPARCIU FINANSOWYM URZĘDU MIEJSKIEGO W ŁOMŻY

Kontakt z czytelnikami, prenumerata i egzemplarze archiwalne: Beata Kościelecka (godz. 8.00-15.00) tel. 86 216-28-33

Numer konta: Alior Bank 35 2490 0005 0000 4530 6891 7661

Opracowanie graficzne: Ewa K. Czetwertyńska • Druk: Drukarnia Kamil Borkowski, ul. Łąkowa 3, 18-400 Łomża, tel. 86 216-31-03, biuro@kbook.pl

Redakcja korzysta z prawa do poprawiania, skracania nadesłanych tekstów, zmiany tytułów oraz niepublikowania materiałów niezamówionych.



*Pierwszy w tym roku jesienny spacer nad
Narwią w Rybakach, nieopodal Łomży*

 **Bartek Kłosiński**